

H. ALLORGE



**WALKA
ŚWIATÓW**

BIBLIOTEKA ISKIER
KSIĄŻNICA-ATLAS

HENRI ALLORGE

WALKA ŚWIATÓW

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD
WŁODZIMIERZA TOPOLIŃSKIEGO
Ciel contre terre.

OKŁADKĘ RYSOWAŁ :STEFAN NORBLIN



ILLUSTRATIONS DE ÉDOUARD ZIER

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I.

„SWAWOLNY ZAKĄTEK PANA NIKODEMA AZARD'A”

— Żeby z piekła nie wyszedł, kto wynalazł to narzędzie Tortur!
— wybuchnął pan Azard, zmęczony bezskutecznymi usiłowaniami nadania właściwej i pełnej gracji postawy sztywnemu kołnierzykowi, który uparcie nie dawał się ujarzmić spince.

Zasapany nieco pan Azard, niepozbawiony polotu poetyckiego, dodał:

— Banalne przekleństwo i zupełnie bezcelowe życzenie !
Wyrażmy to samo raczej językiem wykwinnym, wierszem:

Zapytuje więc słońce i gwiazdy i księżyc,
Czy przestanie nas sztywny kołnierzyk ciemnić?

Poczem autor pompatycznego dwuwiersza, porzucając na razie wyczerpującą pracę pasowania się z kołnierzykiem, udał się do swego gabinetu z postanowieniem wypalenia fajeczki. Był to dla pana Azard a zawsze akt, wykonywany z pełnym pietyzmem, według z góry ustanowionego rytuału, akt, sprowadzający całkowity błogostan i chwile najczystszej i najpełniejszego szczęścia na ziemi. Skierował swe kroki ku imponującemu arsenałowi fajek, nucąc refren znanej piosenki:

W pokoiku mym wzdłuż ściany
Wiszą fajki z morskiej piany.

Miał ich wiele ale faworytami były Karolina, Kunegunda i Zefiryra (pan Azard wszystkie ochrzcił pięknie brzmiącymi imionami. Wziął tedy Zefirynę, naładował ulubionym kaporalem i począł z rozkoszą otaczać się wielkimi obłokami dymu, który, w błękitnych harmonijnych kłębach unosił się ku sufitowi, ozdobionemu lampą w kształcie wielkiego zółwia.

Zbędne jest po tem wszystkiem wyjaśnienie, że pan Azard nie był zwykłym śmiertelnikiem. Jego śmieszności, drobne, genialne wynalazki i pomysły, niewyczerpana fantazja czyniły z niego oryginała nawet wśród dziwaków. Zresztą, był to młody człowiek z dobrego domu, gdy trzeba — dzielny i poważny. Ojciec pana Nikodema, z zawodu bankier, marzył o tem, aby syn jego został dzielnym inżynierem, poważnym kontrolerem finansów państwa, wreszcie świetnym oficerem, a w każdym razie pragnął dać mu wykształcenie techniczne. Matka, mająca zamiłowania artystyczne, wolała w synu widzieć malarza, albo rzeźbiarza. Młodzieniec, popychany w dwóch biegunowo różnych kierunkach, pokornie studjował i matematykę i malarstwo. Znudzony politechniką pocieszał się w wesołej kompani młodych adeptów malarstwa, pełnych beztroskiego humoru. Po śmierci obojga rodziców, których niemal jednocz śnie powaliła złośliwa grypa, pan Nikodem, zostawiony sam sobie i zabezpieczony materialnie, postanowił odtąd robić, co mu się podoba, i żyć zupełnie niezależnie. Zamieszkał więc na przedmieściu Paryża, w miłym domku, który nazwał *Swawolnym Zakątkiem*. Kontynuował zresztą swoje studja przyrodnicze, był zawsze au courant najnowszych odkryć, wszystko to dla własnej przyjemności; nadto był redaktorem działu kroniki naukowej w dzienniku *Epoka*, wciągnięty do redakcji przez swego przyjaciela, Jerzego de la Bianchere, dziennikarza.

Pan Azard był niezrównany, gdy chodziło o drobne prace amatorskie; zależnie od okoliczności mógł być mechanikiem, elektrotechnikiem, ślusarzem, stolarzem, murarzem etc. W swojej drwalni urządził uniwersalną pracownię. Interesował się również naukami ścisłymi, zwłaszcza fizyką i chemią. Wreszcie dla rozrywki chwycił paletę i pendzel, malując miłe dla oka szkice, któremi obdarzał swych, przyjaciół.

Niedługo jednak delektował się pan Nikodem kłębam dymu ze swej Zefiryny. Ze słodkiego farniente wyrwało go pytanie, narzucone przez ruchliwy jego umysł: „Co mi dzisiaj czynić wypada ?

Spojrzenie jego padło na czarną tablicę, na której kiedyś rozwiązywał zadania geometryczne lub algebraiczne, a która obecnie służyła jako rodzaj notatnika. I oto, co tam przeczytał:

„Dać burę Atalji za jej nadmierne koszykowe”.

„Sprowadzić weterynarza do Luby i Dziuby, a przy okazji dać zbadać Czarusia i Madeja”.

„Zobaczyć się z panem Marion, astronomem, w sprawie bolidów na Atlantyku”.

W tem miejscu zmuszeni jesteśmy dać kilka słów wyjaśnienia. Całe gospodarstwo pana Azard’a spoczywało w rękach starej służącej Estery. Ale, zważywszy na jej wiek podeszły i cierpki charakter, jej pan uznał ją za niegodną tego pięknego imienia i nazywał Atalją, z czym musiała się pogodzić, nie rozumiejąc nigdy, skąd to dziwne imię.

Godna ta osoba, kupując produkty dla swego pana, nie zapominała o sobie i za owe, jak notował pan Azard, koszykowe, od czasu do czasu dostawała reprimendę. Co się tyczy Luby, Dziuby, Czarusia i Madeja — to niebawem zawrzemy z nimi znajomość.

Pan Marion, słynny astronom, dobrze znany ze swych znakomitych prac i dzieł popularnych, w których potrafił ubrać ścisłą wiedzę w piękną szatę prawdziwej poezji, gościł u siebie często pana Azard'a.

Teraz, aby odnowić sobie w pamięci sprawę, budzących sensację bolidów, pan Nikodem chwycił numer *Epoki* i czytał co następuje:

"Przypominamy sobie, że dziwne meteory zostały zaobserwowane niedawno nad Atlantykiem. Oto nowe i ściśle szczegóły, dotyczące tych zjawisk i denerwujące uczonych: 20 marca p. Nelson Rogger, s, porucznik angielskiego okrętu "Suffolk" ,znajduje się na służbie o godzinie 23, minut 42, sekund 27, zauważył rodzaj spadającej gwiazdy o żywym blasku, widocznej w kierunku południowo-zachodnim w przybliżeniu pod 40". Pan Roggers zorientował się, że jest to bolid względnie mało oddalony, który spadał ze znaczną szybkością i znikł za horyzontem.

„Ale oto inna, jeszcze bardziej interesująca obserwacja: kapitan statku *Mauretania* , południowo Atlantyckiego T-wa, p. Le Rouzie, wracając z Rio de Janeiro, bliżej jeszcze zaobserwował bolid, o blasku oślepiającym, czerwonego koloru, nazwany przezeń diabelskim.

„Upadkowi tego meteorytu towarzyszył przeraźliwy syk. Niestety, p. Le Rouzie zmuszony jechać według marszruty, nie mógł sobie pozwolić na zbadanie miejsca, w którym ta olbrzymia masa

pochłonięta została przez ocean; pocieszał się tylko myślą, że meteor nie mógł zostawić żadnych śladów na powierzchni wód. Dwa szczegóły uderzyły pana Le Rouzic: przede wszystkim szybkość spadania nie była przyspieszona, jak tego wymagają prawa powszechnego ciężenia, przeciwnie raczej zdawała się maleć — hamowana przez nieznanne siły; nadto od podstawy zagadkowego ciała wytryskały niebieskawe promienie, które zdawały się przeszywać przestrzeń w kierunku powierzchni morza. Miejmy nadzieję, że uda się wkrótce zebrać więcej szczegółów, chociaż wyłowienie „niebieskiego gościa” z głębin Atlantyku — jest, niestety, zupełnie niemożliwe”.

— Ciekawe, istotnie — rzekł do siebie pan Nikodem, rzucając dziennik na biurko. — "Jest to materiał dla doskonałego felietonu".

W tym momencie ujrzał czarną masę, spadającą bez szumu na gazetę. W pierwszej chwili sądził, że to drobny odłamek osławionego bolidu — była to jednak tylko wspaniała kotka barwy hebanu, która skoczyła z wyżyn szafy na biurko i z cichym pomrukiem ocierała się o rękę swego pana,

— Dobrze, dobrze, Lubo — rzekł, pieszcząc ją, pan Nikodem — jesteś piękną djablicą, wyglądasz już doskonale po twej niedyspozycji. Wątpię, żebyś się przejadła myszami, przypuszczam, że uczuwasz przed nimi strach, jak piękne damy, do których tak jesteś podobna — z wyjątkiem barwy, gdyż nie myślę o murzynkach! Zresztą jestem szczęśliwy, widząc cię w dobrym zdrowiu.

Wypaliwszy fajkę, pan Azard najspokojniej wytrząsnął z niej popiół do filiżanki, z której właśnie wypił codzienną porcję kakao. Poczem zawiesił Zefiryneę na półeczce, wziął Kunegundę, schował ją do kieszeni i miał zamiar dzwonić na Atalję, gdy uszy jego uderzyły nieludzkie odgłosy. Wyszedł i ujrzał w ogrodzie gęś, prześladowając kruka i grożącą mu swoim dziobem.

— No, no, Dziubo — zawołał właściciel czupurnych ptaków — daj pokój swemu małemu przyjacielowi, wydajesz mi się od kilku dni zbyt nerwowa, prześladowasz swoich towarzyszków i masz się za lepszą od nich, uważając widocznie, że biała szata starczy za wszystkie cnoty. Jeśli się nie uspokoisz, zawezwę weterynarza, aby ci dał na przeczyszczenie.

Dziuba zdawała się rozumieć, zaprzestała gonitwy za krukami,

gęgając przyjacielsko w stronę swego pana.

Prócz starego psa Madeja domostwa pana Azarda strzegła gęś, Dziuba, stworzenie to bowiem znane jest ze swej czujności od czasu, gdy Kapitol jego przodkom zawdzięcza ocalenie. Co się tyczy kruka, który miał wiek poważny i zgryźliwe usposobienie, to znaleziono go pewnego dnia w ogrodzie — rannego śruciną; oryginał, zamieszkujący *Swawolny Zakątek*, podjął pielęgnację kruka, wyleczył go i uznał za swego pensjonarza.

--- Ty, Czarusiu --- ciągnął pan Azard — jesteś w błędzie, drażniąc Dziubę, to nie przystoi poważnemu filozofowi w twoim wieku. Dość tego, pogódźcie się i bądźcie rozsądni. Bierzcie przykład z Madeja.



Tu pan Azard spostrzegł swoją służącą, która niedbale zmiatała podwórze.

— Ataljo — rzekł — boję się, że pracując tak gorliwie, możesz sobie zaszkodzić. Ja wychodzę. Obiad będę jadł na mieście. Skorzystaj z tej okazji, aby przejrzeć rachunki za ostatni tydzień. Należy unikać pomyłek. Zapisz sobie dobrze w pamięci, że gdy

będziesz działać na moją szkodę — niebo srodze cię pokarze, jak twoją grzeszną imienniczkę i jej matkę Izabelę.

Przy tych słowach pan Azard opuścił podwórze i zamknął żelazną furtkę, straszliwie skrzypiącą na zawiasach. Atalja pokiwała głową, mrużąc:

— Co za śmieszny człowiek z mego pana, nigdy nie rozumiem, co chce powiedzieć.

ROZDZIAŁ II.

W KTÓRYM JEST MOWA O PEWNYM ASTRONOMIE, POLEWACZCE, ZIARNACH I KURACH.

Nik (tak dla krótkości będziemy odtąd nazywali p. Nikodema Azard'a) skierował się ku podmiejskiej stacji Bois-Colombes. Po drodze, według swego zwyczaju, pozdrawiał przyjaznym gwizdaniem sąsiedzkie psy, oraz badawczym spojrzeniem obrzucał ogródki okoliczne, szukając wzoru dla wprowadzenia ulepszeń u siebie.

Na dworcu kolejowym kupił kilka dzienników i skonstatował, że sprawa bolidów wciąż interesuje prasę, jakkolwiek nowych szczegółów niema. Zaledwie Nik zdążył pozdrowić zdawkowym ukłonem kilka osób, spotykanych codziennie na stacji, gdy pociąg przybył. W przedziale nasz podróżny zastał dwoje staruszków, którzy rozprawiając na temat kłopotów rodzinnych, obrzucili intruza niechętnym spojrzeniem. Tym z pewnością sprawa meteorów na Atlantyku była najzupełniej obojętna.

Na dworcu paryskim Nik nabył popołudniowe wydanie dziennika i, chociaż nie znalazł nic sensacyjnego na temat bolidów, z wielkim zajęciem odczytał najnowszą wiadomość o niezrozumiałym opóźnieniu parowca transatlantyckiego *Gigantic* (własność T-wa *Whitte Star Line*), który miał przybyć do Cherbourga. Opóźnienie to wprawdzie było nieznaczne i mogło być spowodowane drobnym uszkodzeniem maszyny, ale w takim razie zagadkowym stawało się milczenie stacji telegrafu bez drutu, w którą pływający olbrzym był zaopatrzony.

Istotnie, od pewnego czasu największe w świecie radiostacje



otrzymywały dziwne, niedające się odcyfrować, ani wyrozumieć depesze. Czyżby te niepojęte sygnały pochodziły z *Gigantic'a*? Niepodobna było przyjść z pomocą okrętowi, który niewiadomo gdzie się znajdował.

Nik na stacji Notre-Dames Champs wysiadł i bez zbytniego pośpiechu skierował się ku bulwarowi Mont Parnasse, gdzie mieszkał p. Marion.

Znakomity astronom wyciągnął obie ręce ku swemu młodemu przyjacielowi.

— Pańska wizyta, drogi panie Azard, nie jest bezinteresowna. Zgaduję bez trudu, że sprowadza pana chęć zasięgnięcia mojej opinii w sprawie słynnych bolidów.

— To znaczy, Mistrzu, że tłumaczą one w pewnej mierze śmiałość, która pozwala mi zajmować cenny jego czas.

— Zawsze pana chętnie widzę, pańska młodość i dobry humor rozweselają mnie, starego.

— Ależ, Mistrzu, czyż to potrzebne? Wszak pan jest wiecznie młody! Astronomia konserwuje. Obserwując gwiazdy, można doczekać sędziwego wieku. Długowieczność astronomów i aktorów jest powszechnie znana. Prawda, że nasi artyści dramatyczni żyją w pobliżu gwiazd, choć tylko... teatralnych, lecz zato mniej odległych od tych na niebie.

— Stale trzymają się Mistrza dowcipy. Trzeba jak Figaro, raczej się śmiać, aby po chwili refleksji nie płakać. Umarlibyśmy z rozpacz, biorąc na serjo głupotę ludzką, tak niezgłębiając, powiedział pewien filozof, że ona jedna może nam dać pojęcie nieskończoności. Proszę, oto fotografia obrazu, wystawionego w salonie przez nieznanego malarza.

Czy da pan wiarę, że artysta, odtwarzając efekty zmierzchu, wymalował półksiężyc, zwrócony rogami ku zachodzącemu słońcu ! To tak, jak gdyby ktoś wymalował drzewo z korzeniami do góry.

— Tak, lecz publiczność tego nie widzi.

— Drogi przyjacielu, nieświadomość publiczności (nie wyłączając ludzi bardzo kulturalnych) w sprawach astronomji jest zaiste zdumiewająca. Nie jest że to niepojęte, że prawie wszyscy ludzie żyli dotychczas i żyją jeszcze, nie mając najmniejszego wyobrażenia o dziwach wszechświata. Prawda, że zamieszkujemy planetę barbarzyńców, biedny, mały światek, który zaledwie wyłonił się z ognistej kuźni chaosu. Gdy jego dzieciństwo ustąpi miejsca wiekowi dojrzałemu, po wielu tysiącoleciach, może ludzkość stanie się mniej godną pogardy?

— Obyż tak było!

— Jest to nieubłagane prawo bytu i nieustannej ewolucji, zarówno w dziedzinie materji jak ducha. Zapewne, nic prawie nie wiemy i wiele jeszcze drażniących tajemnic pozostaje do zgłębienia. Otacza nas nieznanne: wyczuwamy istnienie rzeczy, których umysł nasz nie jest w stanie ogarnąć. Marzenia kojarzą się z namacalną rzeczywistością. Wiara i intuicja muszą przyjść z pomocą rozumowaniu. Nie możemy niczego przyjąć bez dowodów i niczemu a priori przeczyć.

--- Słusznie — potwierdził Nik, pragnąc jak najprędzej wrócić do interesującej go sprawy. — co się tyczy owych bolidów, przyznać trzeba, że są one co najmniej dziwne, co pan myśli o tem, Mistrzu?

— Poza niezwykłym blaskiem nie widzę w nich nic nadzwyczajnego. Wie pan równie dobrze, jak ja, że meteoryty spadają dość często; naszą uwagę jednak zwracają tylko te, które padają w zamieszkałych częściach lądu, tymczasem wielka ich liczba spada w morze i dostarcza tematu poetom i marzycielom, tworzącym legendy o tajemniczych, spadających gwiazdach.

— Jednakże bolidy, o których mowa, wyróżniają się pewnemi, wyraźnie skonstatowanemi szczegółami. Przedewszystkiera, jak sam pan wspomniał, mają wyjątkowo silny blask, potwierdza to fakt jednoczesnego zaobserwowania ich w wielu punktach naszego globu.

— Możliwe, że bolidy były zauważone przez obserwatoria Stanów Zjednoczonych, przez obserwatorium na górze Wilsona w

Kalifornii, albo *Victoria* w Kanadzie? W takim razie mielibyśmy wkrótce dokładne wiadomości o tym fenomenie.

— Czytał - pan, Mistrzu, że według relacji komendanta statku *Maurytanja* spadek był do pewnego stopnia zahamowany przez tajemniczą siłę?

— Owszem.

— I że u podstawy bolidu tenże komendant Le Rouzic zauważył niezwykle promienie, które jak gdyby wyprzedzały masę?

— Istotnie, brak nam jednak danych w sprawie co najmniej dziwnych obserwacji. Skłonny byłbym przypuszczać, że chodzi tu o zwykłe złudzenia optyczne.

— Jednakże komendant jest człowiekiem poważnym, wykształconym i obytym ze zjawiskami na morzu.

— Cóż z tego! Mógł się pomylić; oczy zwykłego śmiertelnika łatwo ulegają złudzeniom. Zresztą, powtarzam, czekajmy! Naczelna zasada wiedzy nakazuje mówić tylko o faktach.

— Nie znaczy to, aby nic wolno nam było stawiać hipotez. Na przykład, czy niemożliwy jest związek między temi zjawiskami, a opóźnieniem okrętu *Gigantic*?

— O, wymaga pan zbyt wiele. Zresztą nic nie wiem o tej nowej sprawie.

Nik przeczytał astronomowi znaną już nam wiadomość z dziennika i dodał:

— Gdyby tak zrządził nieszczęśliwy wypadek, że jeden z aerolitów spadł właśnie na ten olbrzymi parowiec, czyż nie zatopiłby go momentalnie?

— Wydaje mi się to nieprawdopodobne.

— Według relacji Le Rouzic'a bolid, przez niego zaobserwowany, pogrążył się w morzu w pobliżu okrętu. Możliwe zatem określić ściśle miejsce upadku i zbadać, czy leży ono na drodze *Gigantic*'a?

— Nic tak łatwo nie wprowadza w błąd jak meteory. Często obserwowano je niemal w pobliżu, a następnie okazywało się, że spadły w odległości setek kilometrów.

— W ten sposób nie możnaby sobie pozwolić na żadną dedukcję naukową, na podstawie tego, co wiemy. Byłem tego samego zdania, ale chciałem bardzo usłyszeć pańskie.

— Cieszy mnie, że widzę pana u siebie. Astronomja jest nauką

ściłą i pełną, gdyż obejmuje wszystkie inne. Ona jedna, drogi przyjacielu, jest prawdziwą nauką, ona jedna nadaje sens naszej pracy w życiu.

— Zwłaszcza, gdy jest uprawiana przez uczonego tej miary, co ty, Mistrzu.

Żegnając pana Marion, Nik wstydził się niemal, że nie został astronomem. Wyrzucał sobie, że obrał fałszywą drogę w życiu i rumienił się na myśl, że zajmują go tylko nadzwyczajności i cuda astronomiczne. Ale że zawsze z wyżyn trzeba zstąpić na ziemię, ku pospolitości życia codziennego, uprzytomnił, sobie tedy nagłe potrzeby nabycia nowej polewaczki w zamian starej, którą zupełnie przeżarły różne kwasy i odczynniki chemiczne, służące mu do doświadczeń nad podniesieniem kultury ogrodu. Kupił polewaczkę i wziął ją ze sobą do domu, gdyż, jak zwykle w podobnych wypadkach, pilno mu było wypróbować nowy nabytek. Zaledwie przybył do Bois - Colombes, przypomniał sobie, że zabrakło już pokarmu dla kur, udał się zatem do mączarza, celem nabycia pośladu.

— Nie ma pan worka? -- spytał kupiec.

— Nie, ale oto polewaczka, zechce ją pan napełnić.

To genialne rozwiązanie natychmiast zastosowano i Nik Azard, zadumany, skierował swe kroki ku domowi. Idąc, odruchowo wymachiwał naczyniem trzymanem w ręku. Wkrótce ze zdziwieniem zauważył, że otacza go mnóstwo wróbli. Zatrzymał się i obserwując z punktu widzenia naukowego to interesujące zjawisko, wyprowadził wniosek, że ptaki w ślad jego drogi z przemiłą skwapliwością zbierają ziarnka. Nik podziwiał cudowną organizację w przyrodzie, w której nic nie ginie. Wróciwszy do domu, zostawił polewaczkę w drwalni, sam zaś zasiadł przy biurku, aby skrupulatnie zanotować wszystko, co usłyszał od pana Marion. Po skończonej pracy wziął polewaczkę i skierował się do kurnika, by kurom nasypać ziarna. Lecz, o dziwo, z polewaczki trysnął strumień wody, zlewając dokładnie pierzaste stworzenia, które z żalosnym gdakaniem rozbiegły się na wszystkie strony.

— Niech mnie zdruzgocą bolidy, jeśli to nie pomysł Atalji! — Zaczął wzywać służącą, ale nadaremnie, udał się tedy do ogrodu, aby jej poszukać. Nie znalazł jej wprawdzie, zauważył za to w karczochach miseczkę z ziarnem, które kruk Czarus obrzucał

cierpkim i pogardliwym spojrzeniem. -- Rozumiem — powiedział sobie -- moja gorliwa Atalja chciała polać karczochy, a widząc, że z polewaczki wylatuje ziarno, wysypała je całkiem i napełniła polewaczkę płynem, którego obficie dostarcza moja studnia.

I zakończył rozmyślania spokojną uwagą:

— Z pewnością łatwiej przeniknąć tajemnicą najodleglejszych gwiazd, niż zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje w moim gospodarstwie.

ROZDZIAŁ III.

NIEOCZEKIWANY LIST.

Nazajutrz Nik obudził się w złym humorze i niechętnie wstał z łóżka. Dziwaczne mary, wywołane zapewne wzruszeniami dnia poprzedniego, zakłóciły mu sen. Śnił, że olbrzymi bolid spada na jego domek. W pobliżu dachu w aerolicie nastąpiła lekka eksplozja i w płomieniach tego wybuchu, ujrzał niby w glorii, Atalję, sypiącą z olbrzymiej polewaczki ziarna, które przy zetknięciu z ziemią zamieniały się w kury.

Rozmyślania na temat przykrego snu, w chwili, gdy pił swe codzienne kakao, prze rwała Nikowi piekielna kocia muzyka. Rozległ się przeraźliwy głos dzwonka, a raczej dwóch dzwonek, gdyż dzięki genialności Nika, dzwonek zwykły, umieszczony przy furtce, połączony był bezpośrednio z dzwonkiem elektrycznym w domu. Jednocześnie dały się słyszeć ogłuszające wrzaski gęsi — Dziuby; gniewliwy ten ptak ujrzał listonosza, ku któremu pałał dziwną nienawiścią, może dlatego, że nigdy jeszcze odeń nie otrzymał listu. W chwili otwierania furtki gęś swoim groźnym dziobem zaatakowała przybysza. Jej zaczepna postawa stanowiła zupełny kontrast z filozoficznym spokojem psa, Madeja, któremu z powodu podeszłego wieku, nie chciało się już szczekać.

Listonosz wręczył adresatowi dwa listy, z nich jeden polecony, i po otrzymaniu 25 ets. jako odszkodowania za dotkliwe ciosy Dziuby, zostawił Nika z jego korespondencją.

Pierwszy list był z miasta i bardzo krótki, od przyjaciela i kolegi



Nika, Jerzego de la Blanchere.

„Drogi przyjacielu — pisał Jerzy — nic będę mógł zobaczyć się z Tobą w najbliższych dniach, gdyż wyjeżdżam do Hawru, dokąd jutro przybywa z Ameryki transatlantyckim parowem *Ile de France* moja ukochana żona Viviana. Mam nadzieję że podróż odbyła szczęśliwie. Co za szczęście, że nie wsiadła na pokład *Gigantic'a*, umarłbym z niepokoju. Jakże współczują wszystkim, których drogie istoty znalazły się na tym okręcie,

„Wkrótce do Ciebie napiszę i spodziewam się, kochany przyjacielu, że nie omieszkasz przybyć do nas na herbatką. Opowiesz nam o swoich naukowych pracach i przywieziesz nowiny o Lubie, Dziubie, Czarusiu i Madeju. Łączę serdeczny uścisk dłoni. Twój Jerzy”.

List polecony pochodził z Bostonu, Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, od rejenta Eljasza Mac Gregora. Żeby lepiej wyrozumieć sens zagadkowego listu, Nik zapalił fajeczkę Kunegundę i czytał, co następuje:

„Szanowny Panie! Po długich i usilnych poszukiwaniach zdobyłem wreszcie pański adres. Pochlebia mi bardzo nawiązanie korespondencji z osobą tak wysoko przeze mnie cenioną, jakkolwiek smutny przypadek stał się tego przyczyną. Mój wielce szanowny klient i przyjaciel, p. John Milburne, pański kuzyn, sześć miesięcy

temu dokonał żywota. Nie był to żywot zbyt szczęśliwy, chociaż pan Milburne zaliczał się do najbogatszych przemysłowców w okolicy. Możliwe, że i pan zetknął się z jego powszechnie znanymi wyrobami. Dumnie nosił on nazwę króla pasty do bucików.

„Pan Milburne w swoim czasie dotkliwie odczuł stratę, najpierw starszej córki, a wkrótce potem ukochanej żony. W czasie wielkiej wojny padł na polu chwały we Francji jedyny syn jego — Tomasz. Na szczęście żyje jedna jeszcze córka, panna Alicja, która jest jedyną spadkobierczynią ojcowskiego majątku. Jednakże w testamencie mego klienta znalazł się punkt, który dotyczy Pana.

„Pozwoli Pan, że przed podaniem do wiadomości woli pana Milburne, przypomnę mu stopień jego pokrewieństwa ze zmarłym: Dziadek pana Milburne. Abel Martin, pojął za żonę Katarzynę Davidson i miał z nią dwoje dzieci, syna Henryka, który umarł bezpotomnie i córkę Marię, która stała się żoną Edwarda Milburne. Mieli oni jedynego syna, zmarłego właśnie Jana Milburne, którego ród kończy się na wzmiankowanej już pannie Alicji. Otóż, ów Abel Martin był bratem pańskiej prababki z linii żeńskiej, Filomeny Martin, małżonki Feliksa Guillemont. Zatem Jan Milburne i pańska szanowna matka, urodzona Guillemont, byli ciotecznym rodzeństwem, pan zaś jest w ósmym stopniu kuzynem panny Alicji. — Oto co zmarły pisze w swoim testamencie:

„Najgłębszym mem życzeniem było zawsze zawieźć mą córkę do Francji, mej pierwotnej ojczyzny, wyszukać tam mych kuzynów, pokazać jej Paryż i całe piękno tego najcudowniejszego pod słońcem kraju. Niestety, interesy i zły stan mego zdrowia nie pozwoliły mi tego dokonać. O ile wiem, francuska moja rodzina reprezentowana jest obecnie przez jednego tylko kuzyna w wieku lat około trzydziestu.

„Życzę sobie, aby najdroższa moja córka zwróciła się do niego. Gdyby mógł jej się podobać i zostać jej mężem, wszystkie moje pragnienia byłyby spełnione. Gdyby to życzenie, nie dało się urzeczywistnić, w każdym razie czwartą część majątku zapisuję memu kuzynowi, pod warunkiem, że jako elegancki, światowy i pełen dystynkcji młody człowiek, jak go sobie wyobrażam, wprowadzi swoją kuzynkę Alicję w sferę najlepszego towarzystwa, do arystokratycznych salonów Paryża, i znajdzie tam dla niej

godnego męża.

„Gdyby ta misja mu się nie udała, zapisuję mu, aby wdzięcznie wspominał swego dalekiego kuzyna, 10.000 dolarów oraz wartość wszystkich pudełek pasty, znajdujących się w chwili mego zgonu we Francji. Z tym skromnym darem łączę moje błogosławieństwo i najlepsze życzenia dla kuzyna, którego nie mogąc poznać na ziemi, mam nadzieję spotkać w lepszym świecie". Podpisano — Jan Milburne.

„Te słowa szlachetne i piękne nie potrzebują komentarzy. Cytując je, na nowo przeżywam moją boleść.

„Usilnie Pana proszę o łaskawą wiadomość, czy akceptuje Pan warunki i swoją część spadku, Dla informacji dodam, że majątek ś. p. Jana Milburne sięga 50000000 dolarów.

„Niezależnie od tego, co Pan zdecyduje, panna Alicja postanowiła osobiście zawieźć Panu błogosławieństwo swego ojca. Ma ona zaroi ar, o ile nie otrzyma innej wskazówki z pańskiej strony, w najbliższych dniach wsiąść na okręt *Limbourg* własność *Roland-America Line*. Jeśli pan uzna to za stosowne, proszę jej oczekiwać w Boulogne. Pozna ją pan po pudełeczku pasty, zawieszonem u szyi na czarnym sznurku. Byłoby wskazane, aby pan dla orientacji trzymał w sposób widoczny numer dziennika *Epoki*, którego jest pan współpracownikiem.

„Pozwoli Szanowny Pan wyrazić mi w tem miejscu nieśmiałą nadzieję, że marzenie Jana Milburne ziści się i że zostanie Pan mężem panny Alicji.

„W nadziei, że zechce Pan od tej chwili darzyć mnie tem samym zaufaniem, jakiego doznawałem ze strony drogiego zmarłego, pozostaję szczerze Panu oddany, Eljasz Mac Gregor".

— Istotnie, przypominam sobie, jak przez mgłę — myślał Mik — że kiedyś mówiono mi o jakimś wuju mojej matki, który emigrował do Ameryki. Co prawda, nigdy o nim nie myślałem.

— Mam wrażenie — monologował dalej Nik, puszczając gęste kłęby dymu z ulubionej Kunegundy — że gdyby mój biedny kuzyn Jan Milburne mógł ujrzeć z nieba Bois-Colom-foes i w nim mój zakątek, a w zakątku niejakiego Nikodema Azard'a, a w skróceniu Mika, to zapewne nie uznałby we mnie eleganckiego światowca, za jakiego uważał mnie za życia.

W tem miejscu monologu czarna kotka nagłym skokiem znalazła się na jego ramieniu.

— Ha, cóż — ciągnął dalej Nik — próbujmy szczęścia. Nawet gdy sprawy wezmą najgorszy obrót, dostanę 10,000 dolarów, co nie jest do pogardzenia w dzisiejszych czasach. A i zapas pasty, wystarczający do końca mego życia, choćbym czyścił co dzień buty i żył sto lat, stanowi prezent nielada. Czyż nie, mała tygrysico? Mógłbym nawet wrazić potrzeby tą samą pastą czyścić twoje lśniące futerko. Boją się tylko, że jesteś czarniejsza od pasty mego kuzyna z Bostonu.

Luba rozkosznie pomrukiwała, jak gdyby chciała zaznaczyć, że nie ma nic wspólnego z bułami.

— Coś mi się zdaje, że ten wspaniały rejent z Ameryki zapomniał o najważniejszych rzeczach: w jakim też wieku jest moja kuzynka Alicja, czy jest piękna, czy zdoła ją tylko jej dolary, czy jest miła? A może jest uparta, zła, wiecznie nadąsana, skwaszona, kapryśna? Prawda, że gdyby wszystko w czarnych widziała barwach, możnaby jej to, z uwagi na czernidło, produkowane przez ojca, wybaczyć. Ta myśl jednak nasuwa mi straszne podejrzenia. Co będzie, jeżeli ta daleka kuzynka pochodzi z mieszanego małżeństwa? Kto mi zaręczy, że ś. p. Jan Milburne nie miał żony murzynki, albo mulatki? I może dlatego tak królewsko pragnął wynagrodzić tego, kto ją w świat wprowadzi? W każdym razie muszę się, w miarę możliwości, przedzierzgnąć w pięknego młodzieńca, arbitra elegancji. Hola! Ataljo! Nigdy nie wiadomo, gdzie ona się podziewa!

Po dobrej chwili ukazała się stara służąca, zrzędząc:

— Do licha z takim gospodarstwem, wciąż mnie tu niepokoją !

— Ataljo — oświadczył Nik uroczyście — od tej chwili nakazuję ci zwiększyć dziesięciokrotnie pieczę nad mą bielizną i garderobą. Za dni kilka pragnę być największym elegantem Paryża, a co najmniej Bois-Colombes.

Służąca zrobiła wielkie oczy.

— Zrozumiesz mnie, gdy powiem, że wkrótce żenię się z moją piękną (tak się spodziewam) i bardzo bogatą kuzynką z Ameryki.

Atalja, wzniosłszy obie ręce do nieba, dała wyraz swemu powątpie waniu:

— Czy pan czasem nie chory? — spytała.

— Nie zaszczyca cię odpowiedzią na tak niewłaściwe pytanie — rzucił surowo Nik — wiedz, że prawdopodobnie, jako spadkobierca mego zmarłego teścia, zostanę królem pasty do butów.

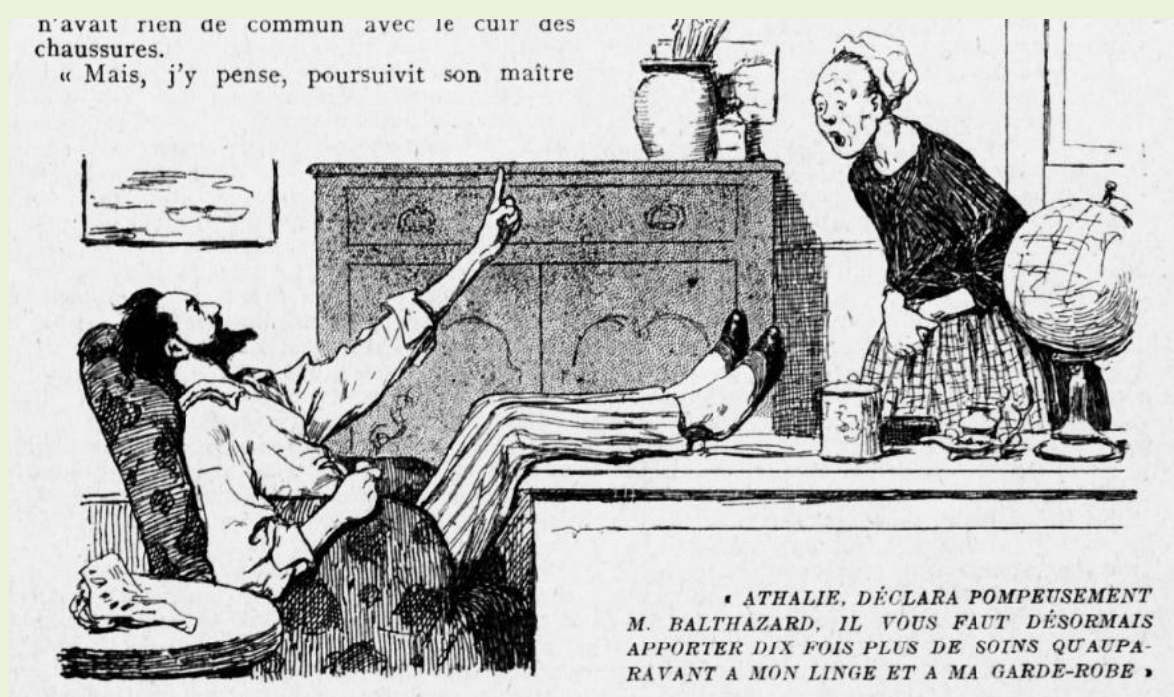
Służąca parsknęła śmiechem.

— I stanę się arcymiljonerem.

Wesołość Alicji ustąpiła miejsca zdumieniu.

— Wielki Boże — wykrzyknęła — jakżeż będę się do Pana zwracać, jako do króla.

- Będzie nie tytułować, jak monarchów, a tem bardziej króla pasty: Najjaśniejszy Panie!



ROZDZIAŁ IV.

Wdnokrąg się zaciemnia.

Po medytacjach na temat tak niezwykłego i wróżącego szczęście

listu Nik doszedł do wniosku, że ma do załatwienia dwie pilne sprawy: przede wszystkim musi zdobyć próbkę pasty, którą odziedziczył, a następnie dowiedzieć się o dacie przybycia do Francji parowca *Limbourg*, na którego pokładzie znajdowała się oczekiwana kuzynka.

Napisał tedy dla *Epoki* feljeton na temat bolidów na Atlantyku, wcześniej niż zwykle zjadł obiad i wyszedł z domu.

Najpierw udał się do swego szewca w Bois-Colombes, ten jednak nic nie słyszał o paście Milburne. Nik litował się nad tą ignorancją, ale nie śmiał jej skarcić. Inny kamasznik, o usposobieniu ponurem i temperamencie hipochondryka, złośliwie zaopinował, że pasta X. jest bez porównania lepsza od jakiejś tam pasty Milburne'a. Ta uwaga wywołała szlachetne oburzenie ze strony kuzyna fabrykanta, **niewiele** brakowało, aby rzucił w twarz nędzemu szewczynie stek homeryckich przekleństw. Wielkim wysiłkiem woli zdołał się jednak opanować, zadawałając się pioronującym spojrzeniem, którym obrzucił człowieka winnego obrazy majestatu i dumnie wyszedł, nie mówiąc nawet do widzenia.

W Paryżu podobna scena powtórzyła się kilkakrotnie. Ostatecznie Nik dał spokój szewcom i zwrócił się do wielkiego składu obuwia.

— Jaka jest dokładna marka fabryczna? — zapytał sprzedawca. Nik musiał przyznać, że nic o tem nie wie.

W pewnym wielkim renomowanym sklepie powiedziano mu, że pasta ta była na składzie, ale jej zapas się wyczerpał. Wreszcie Nik znalazł przedmiot swych poszukiwań w amerykańskim magazynie. Z rozkoszą przyglądał się pięknej etykiecie na pudełku, przedstawiającej młodą murzynkę, poczem triumfalnie schował pastę do kieszeni. Pragnął bardzo natychmiast wypróbować ten produkt, ale było to wręcz niemożliwe, znajdował się bowiem w najruchliwszej dzielnicy Paryża. Udał się więc na ulicę Scribe'a, gdzie mieściły się biura T-wa *White Star Co.* Po drodze kupił kilka dzienników. Wszędzie wysuwały się na plan pierwszy artykuły, omawiające opóźnienie *Gigantic'a*.

„Chociaż brak wiadomości od kilku dni — pisała jedna z gazet — może nas trwożyć, nie powinien jednak doprowadzać do rozpacz. Często w wypadkach poważnych uszkodzeń motoru okręty bywały przez dłuższy czas zupełnie odcięte od świata. Co prawda, tego

rodzaju wypadki stały się rzadkie od czasu wyposażenia okrętów w stacje telegrafu iskrowego, które pozwalają w każdej chwili słać we wszystkich kierunkach wezwania o pomoc. Nie jest przecież wykluczone, że wypadek, który uszkodził motor, mógł nadwyrężyć i stację nadawczą. To zapewne jest przyczyną, że radjostacje na kontynencie otrzymywały ostatnio depesze, nie dające się odcyfrować i bez żadnego związku. Wystrzegajmy się tedy nieusprawiedliwionych, a w każdym razie przedwczesnych obaw".

Inny dziennik głosił przeciwnie:

„Nie chcemy ukrywać, że w sferach marynarki, zupełny i niczem niewytłumaczony brak wszelkich wiadomości z *Gigantic'a* oceniany jest bardzo poważnie. Zapewne w siedzibie *White Star Line* okazują zrozumiały w tym wypadku optymizm, nie możemy jednak powstrzymać się od wyrażenia na tem miejscu naszych największych obaw. Rejestry marynarki nierzadko notowały straszne katastrofy, z których nikt nie uszedł z życiem i które na zawsze zostały osnute nieprzeniknioną tajemnicą. Nie chcemy twierdzić, że i tym razem stało się podobnie, brak jednak wszelkich wiadomości budzi w nas żywy niepokój".

— Oczywiście — pomyślał Mik — jedni do Sasa, drudzy do Lasa; to zaczyna być naprawdę interesujące.

Dochodząc do lokalu T-wa okrętowego, Nik ujrzał tłum podnieconych ludzi, domagających się nowin. Przedstawiciel T-wa zasłaniał się brakiem wiadomości, rzucając dla uspokojenia banalne słowa otuchy.

Nik udał się w kierunku opery, a idąc bulwarami, palił papierosa i dotkliwie odczuwał brak swej ulubionej fajeczki. Następnie siadł na werandzie wielkiej kawiarni i popijając grog, przerzucił świeżo nabytą książkę. Po kwadransie udał się do redakcji *Epoki*. W redakcji przejrzał swoją pocztę, oraz dzienniki i czasopisma, które zazwyczaj referował, i ponownie odczytał skreślony w domu artykuł o bolidach.

Drzwi się uchyliły; ukazał się w nich sekretarz redakcji — Noribert.

— Dzień dobry, panie Azard — rzekł, podając mu rękę — idę o zakład, że pański artykuł dotyczy słynnych meteorów.

— Naturalnie, oraz zawiera wywiad z astronomem p. Marian.

— Pi, to dość banalne. Trzeba pisać o *Gigantic'u* i niebezpie-

czeństwach, grożących wielkim okrętom. Proszę, odczytaj pan to.

Nik wziął papier, podany przez Noriberta; był to urywek z komunikatu agencji telegraficznej Havas'a:

"Havre. -- Największy i najnowszy okręt T-wa Transatlantyckiego *Ile de France*, oczekiwany wczoraj w porcie, nie przybył, przyczem żadnej radjodepeszy nie otrzymano. Wyjazd z portu Nowojorskiego odbył się normalnie. Komendant pan Marcelli Sever jest marynarzem bardzo doświadczoneym. Dotąd opóźnienie jest nieznaczne, ale zważywszy na niepokój, jaki wzbudza *Gigantic*, nie można się i tu wyzbyć obaw, które, miejmy nadzieję, okażą się nieuzasadnione".

— Ho, ho, to ciekawe — oświadczył Nik. — Dzieje się istotnie coś dziwnego. Czy są nowe wiadomości o owych niedających się odcyfrować i niewiadomego pochodzenia sygnałach?

— Owszem, oto depesza, w której jest o nich mowa.

— Zadziwiające, wszystko to niewymownie mnie interesuje. Nie jestem oczywiście w stanie odkryć naszym czytelnikom tajemnicy, ale przypomnę o strasznych tragediach na morzu i o wielkich katastrofach. Skoczę tylko na chwałę do Biblioteki Narodowej.

— Dobrze. Doda pan, oczywiście dla uspokojenia opinii, że niema powodu do zbytich alarmów.

— Zapewne, mówiąc jednak między nami, boję się poważnie, że nie zobaczymy już nigdy *Gigantic*'a, ani *Ile de France*. Przeczuję coś sensacyjnego i przerażającego.

— Oby się pan mylił. Do zobaczenia.

Nasz współpracownik *Epoki* udał się tedy do Biblioteki Narodowej, siadł w fotelu i zabrał się do przekształcania i uzupełnienia swego artykułu według wskazówek sekretarza redakcji. Pilnie baczył, aby zachować właściwą miarę optymizmu i pesymizmu, w ten sposób będą go mieli za proroka w razie katastrofy i nie okryje się śmiesznością w razie, gdy okręty zawiń szczęśliwie do portu. Zaznaczył wszakże, że gdyby istotnie katastrofy spowodowane były przez bolidy, miałyby to wpływ na dalszy rozwój naszej wiedzy. Wrócił do redakcji, wręczył swój rękopis, przyjęty z zadowoleniem przez sekretarza, poczem udał się na dworzec.

Nagle uderzył się w czoło.

— *Cóż* za gapa ze mnie, zapomniałem zupełnie o mojej drogiej kuzynce. *Cóż* za grzeszne zapomnienie!

I pośpieszył do biura T-wa Holand-Ameryka przy ulicy Scribe'a, położonego prawie na wprost wspólnej agencji *Red Star Line*, *White Star Line* i innych towarzystw. Dowiedział się tam że okręt *Limbourg* stanie nazajutrz w Boulogne-sur-Mer. Nie było czasu do stracenia. Straszna myśl, na którą dotąd nie wpadł, przemknęła mu przez głowę:

— A co będzie, jeśli i *Limbourg* się opóźni z tajemniczych powodów? Żeby tylko nie zginął na morzu wraz z kuzynką Alicją, którą wyobrażam sobie, jako doskonałą piękność! To byłoby okropne! Kto wie? W takim razie odziedziczę zapewne cały majątek Jana Milburne'a? Głupstwo! Moja kuzynka zrobiła już bez wątpienia testament; zresztą wolałbym raczej sam umrzeć, niż zawdzięczać bogactwo śmierci młodej dziewczyny, nawet gdyby nie była moją powinowatą. Niechże wszystkie gwiazdy bandery amerykańskiej mają ją w swej opiece i wskazują jej drogę!

Z drugiej strony ulicy ludzie, chciwi wiadomości o *Giganticu*, jeszcze tłoczyli się przed *White Star Line*. Zmęczony obłęzieniem personel kazał zamknąć lokal i opuścić żaluzje.

Przed Towarzystwem Transatlantyckiem nie było nikogo; nie wiadano jeszcze o opóźnieniu *Ile de France*.

— Nie pamiętam, kto mi wspomniał o tym okręcie —myślał w duchu Nik. Dopiero na dworcu zdołał sobie odpowiedzieć na męczące go pytanie.

— Mój Boże, wszak to Jerzy de la Bianchere w dzisiejszym liście pisał, że jego żona powraca tym okrętem.

— Do licha, mam nadzieję, że nie spotka jej żadne nieszczęście. Rozpacz Jerzego byłaby bezgraniczna. To młode małżeństwo jest tak dobrane! O ile jednak znam wyjątkową energję pani Viviany, jest ona zdolna stawić czoło wszelkim niebezpieczeństwom. Ufajmy!

Nik wracał mocno zakłopotany do swego wiejskiego Zakątka. Wchodząc do mieszkania, ujrzał Atalję, ścierającą z wielką energją kurze w jego gabinecie.

— Doskonale — pomyślał, ale wkrótce potem zasmucający trzask doszedł jego uszu; służąca niezręcznym ruchem szczotki strąciła starą, glinianą fajeczkę Zefirynę, która rozbiła się na podłodze.

— Nieszczęsna — krzyknął Nik — *coś* uczyniła! Stłuczona fajka! Cóż za ponura przepowiednia.



— Źle wisiąca — odparła Atalja z niezmaconym spokojem.

— Fajka tak wspaniale wypalona! Jestem oto wdowcem po drogiej Zefiryńce.

— Wielkie mi zmartwienie!

— Tak uważasz? Tego już za wiele!

— A no pewnie, trzeba, żeby pan został wdowcem, aby poślubić amerykańską kuzynkę.

ROZDZIAŁ V.

PAN AZARD PODRÓŻUJE.

Chociaż Nik, wiedziony przeczuciem, wrodzoną intuicją, albo po prostu niezwykłą zdolnością dedukcji, przewidywał, że dzieją się i oczekują nas niezwykle rzeczy, nie miał przecież wyobrażenia nawet o przedziwnych wypadkach, które miały nastąpić i których pierwszą szczegółową i autentyczną historję, spisaną na podstawie długich i drobiazgowych poszukiwań, stanowi niniejsza książka.

Byłoby zbyt nużące, zarówno dla czytelników, jak i autora, podanie bibliografji wszystkich dzieł, przeglądów dzienników i różnych dokumentów, z których czerpany był materiał. Niech nam wolno będzie przytoczyć kilka tylko pierwszorzędnej wagi źródeł:

Dziennik Urzędowy Rzeczypospolitej Francuskiej (ze względu na opublikowane w nim prawa i dekry, wywołane koniecznością oszłamiającej sytuacji), dalej sprawozdania z rozpraw parlamentarnych, omawiających tragiczną sytuację; podobne publikacje

oficjalne Królewskiego rządu angielskiego i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej; Biuletyn Akademji Medycznej, Biuletyn astronomiczny Obserwatorjum Paryskiego, etc., etc. Specjalną wzmiankę winniśmy panom: Nikowi Azard'owi z *Epoki* i Jerzemu de la Blanchere z dziennika *Nowiny*, naocznym świadkom większości niepojętych wypadków, za ich źródłowe i świetne artykuły. Również wicie zawdzięczamy godnej podziwu książce p. Marion p. t. *Przyczyny straszliwego popłochu*. Ukazało się w druku nadto wiele innych prac, które omawiały niesłychane wypadki, mogące zniszczyć ród ludzki, a nawet sprowadzić koniec świata. Nie możemy tu wszystkiego cytować, nawet z rozmysłem pomijamy śmieszne wywody pewnych moralistów, których zdaniem należało dopuścić do zagłady całej ludzkości, aby na jej miejsce zapanowała rasa bardziej kulturalna i szlachetniejsza. Jesteśmy zdania, że przeznaczeniem ludzkości jest raczej stały rozwój i powolne doskonalenie się w ciągu licznych tysiącoleci.

Mniej jeszcze oczywiście trafia nam do przekonania potworny pogląd niejakiego dra de Fidibus, profesora z Berlina. Ten pseudo-uczony w swojej książce p. t. *Odrodzenie świata* nie zawahał się nawoływać Niemcy, aby skorzystały z powszechnego zamętu i zawarły przymierze z nieziemskimi wrogami rodu ludzkiego, celem zniszczenia wszystkich narodów i odrodzenia ziemi przez wspólne rządy Niemców i przybyszów z zaświata.

To wyzwanie, rzucone całej cywilizacji, zasługuje jedynie na powszechne potępienie.

Podzielamy raczej opinię p. Marion, który ganiąc, ze zwykłym sobie zapalem, pospolitą głupotę, ignorację, nawyki i złe instynkty ludzi, pragnie jedynie, odległego, niestety jeszcze, triumfy Postępu. Zaklina potomnych, aby zawsze mieli w pamięci tę straszliwą tragedję i aby z tym większym zapalem kierowali się Sprawiedliwością i Dobrem, im większe jest okrucieństwo naszych bliźnich.

Ufamy wraz z nim, że ludzkość Jutra będzie mniej dzienna do złego, niż wczorajsza i dzisiejsza.

W momencie właściwym wrócimy jeszcze do tych poważnych refleksyj. W tej chwili obowiązek historyka każe nam śledzić wszelkie poruszenia i czyny pana Azard'a, co jest niezbędne dla zrozumienia dalszego ciągu powieści.

Nazajutrz tedy Nik spakował walizę i udał się do Boulogne-sur-Mer. Tajemnica okrętów *Gigantic'a* i *Ile de France* zajmowała wszystkie umysły i była tematem sężnistych, pełnych sensacji artykułów w dziennikach. Brak wszelkich wiadomości z okrętów zmienił niepokój w trwogę, a wreszcie wywołał panikę. Stacje telegrafu bez drutu wciąż otrzymywały nie dające się odcyfrować sygnały; aparaty, busole, a nawet sieć telefoniczna doznawały niewytłumaczonych zaburzeń. Podobnie reagował odbiornik radiotelefonu.

A oto fakt bardziej jeszcze zadziwiający.

Komendant, oficerowie, pasażerowie i załoga statku *Nigeria* T-wa *Cunard*, który przybył do Cherbourga, zgodnie zaobserwowali niezwykle zjawisko, podobne do zorzy północnej, lecz w kierunku wprost przeciwnym, bo południowym. Były to różowawe niegasnące odbłaski o silnem natężeniu, niepodobne do światła meteorów.

Gorącym pragnieniem Nika było sprawdzenie tych wiadomości osobiście, dla dwóch powodów jednak nie mógł wyruszyć na morze. Przedewszystkiem uważał za swój moralny obowiązek oczekiwać kuzynkę w Boulogne, a nadto zatrzymywała go obawa morskiej choroby, której łatwo zawsze podlegał. Raz jedyny przy wzburzonym nieco morzu zaryzykował podróż z Havru do Trouville, lecz wnętrzości jego doznały przy tem tak silnego wstrząsu, że poprzysiągł Neptunowi nigdy już nie zapuszczać się w jego królestwa płynne i zdradliwe.

Gdy przybył do starożytnego portu Boulogne-sur-Mer, pogoda była fatalna, deszcz lał jak z cebra.

— Takie to moje szczęście, a wszystko dlatego, że zapomniałem wziąć parasol.

Nik nie znosił deszczu w tym samym stopniu, co jego kotka Luba.

Sygnalizowano przybycie *Limbourg'a*; wkrótce zawinął do portu w oznaczonej godzinie. Wszystko szło dobrze. Nik stanął w miejscu, z którego mógł wygodnie śledzić wszystkich pasażerów. Nie zaniedbał zaopatrzyć się, zgodnie ze wskazówkami notariusza z Bostonu, w numer *Epoki*, który trzymał ostentacyjnie. Ale nieszczęsny dziennik, zlany obficie deszczem, przypominał brudną szmatą. Rozpoczęła się defilada pasażerów, z których jedni, zależnie od usposobienia, mieli wymaz twarzy ponury, inni buntowniczy na

skutek uciążliwych formalności komory celnej. Nagle ukazała się osoba w nieokreślonym wieku, kanciasta, niezgrabna, o spojrzeniu inkwizytorskim i nieufnym z pod złotych binokli z wielkimi, okrągłymi szklami. Z lewego jej ramienia na czarnym sznurku zwieszało się pudełko pasty.

— Nie wierzą swoim oczom — myślał Nik. — Czyż to moja kuzynka? Tak by się zdawało. Odwagi!

I nieustraszenie wysunął się naprzód.

Ale już podróżniczka, która zauważyła numer *Epoki*, podeszła ku niemu i pytała, akcentując z cudzoziemska:



— Czy pan Azard?

— We własnej osobie — odpowiedział z ukłonem Nik. — Jak się miewa moja droga kuzynka?

— Pańska kuzynka ma się dobrze — sucho odparła Amerykanka. — Ale ta rewizja celna, to oburzające! Wstyd, skandal, hańba, czy nie był pan w stanie uwolnić mnie od niej?

— Niestety, moja władza nie sięga tak daleko.

— I w taką szkaradną pogodą.

— To prawda, nie zdołałem również powstrzymać deszczu. Trzeba się poddać z rezygnacją prawom tego świata. Życie jest niewesołe. Z prawdziwym smutkiem dowiedziałem się o zgonie mego kuzyna.

— O, niech się pan nie sili na kondolencje, które nie mogą być szczere.

Słowa te momentalnie zmroziły Nika.

— Kuzynka — myślał sobie — jest zdecydowanie nieznośną osobą. Mam wielką ochotę puścić ją w trąbę; wolę towarzystwo Luby, Dziuby, Czarusia i Madeja, a nawet Atalji.

By nie mieć sobie nic do wyrzucenia, zasypał ją gradem pytań:

— Czy mogę być pani użyteczny, może pani pragnie wypocząć? Czy są pani potrzebne jakieś informacje; a może pani zakupić bilet do Paryża?

— Bierze mnie pan za osobę zbyt ograniczoną — odrzekła. — Dziękuję, nic mi nie trzeba. Wszystko jest przewidziane i gotowe. Bilet już mam, jedynie pragnę znaleźć się jak najprędzej w ekspresie, który za chwilę odchodzi do Paryża.

Nik z galanterją ofiarował ramię swojej towarzyszce, która jednak zdawała się nie widzieć tego ruchu i nie pozwoliła mu nawet nieść podróznego neseseru.

Zaledwie znalazła się w przedziale, zainstalowała się wygodnie w kąciku i odprawiając Nika gestem, rzekła stanowczo :

— Jestem bardzo zmęczona i senna. Pozwól mi pan chwilę odpocząć.

— To całkiem naturalne — zgodził się skwapliwie Nik i pośpieszył do drzwi, wiodących na korytarz, radosny, niby więzień, któremu udało się wyrwać z ciemnej, zimnej celi. Więcej niż porzucenie nieprzyjemnego towarzystwa, cieszyła go myśl wypalenia

fajki.

— Nareszcie sami, moja droga Kunegundo! — pomyślał z ulgą.
— Stałaś mi się droższą jeszcze od chwili, gdy biedna Zefiryna zginęła marnie z ręki niezgrabnej Atalji.

I, nie zważając na niezadowolone spojrzenia innych pań w wagonie, zaczął puszczać tak obfite kłęby dymu, jak gdyby chciał współzawodniczyć z lokomotywą. Starał się jednak zniknąć z oczu swej towarzysze podróży. W chwili, gdy po raz ostatni z rozkoszą zaciągnął się fajką, drgnął nagle. Śpiąca bowiem przebudziła się już i zmierzała prosto ku niemu. Czem prędzej schował fajkę do kieszeni, ryzykując spalenie marynarki.

— Fe, co za szkaradny odór tytoniu!

— Istotnie — przyznał obłudnic — powietrze jest nie do zniesienia.

Powrócili do przedziału.

— Ale, co pan tam ma w kieszeni? — zawołała.

Okropność. Cybuch Kunegundy sterczał wyzywająco do góry.

— Jest to aparat, służący mi do doświadczeń chemicznych — z pewnością w głosie odparł Nik.

I żeby zmienić temat rozmowy, zapytał:

— Czy pani nie ma innego imienia, kuzynko, tylko Alicja, które tak dźwięcznie brzmi w moich uszach?

— Panie — rzekła — nie doprowadzaj mnie do rozpaczki. Nie jestem twoją kuzynką, lecz jej guwernantką i wdową po przedwcześnie zmarłym i nieodżałowanym panu Papacock, buchalterze firmy Milburne.

— Czyż przedwcześnie? Jest mu z pewnością lepiej tam w niebie.

— Jestem wychowawczynią panny Alicji od chwili śmierci jej matki.

— Biedna kuzynka! Ale jakże się to stało, że nie przyjechała z panią, jak to było planowane. Mam nadzieję, że nie spotkało ją nic złego.

— Nie, ale sprawy postępowania spadkowego zatrzymały ją chwilowo i nic pozwoliły wsiąść na pokład *Limboung'a*. Przyjechałam sama, by w jej imieniu serdecznie pana pozdrowić. Co wyraziła pani w sposób tak sympatyczny!

— I aby znaleźć dla niej umeblowany apartament,

— Doskonale, cieszą się niezmiernie z poznania pani i spodziewam się, że w oczekiwaniu kuzynki nie wzgardzi pani gościnnością mego... — chciał powiedzieć *Swawolnego Zakątka*, ale w porę się poprawił — mojej skromnej willi pod Paryżem — w Bois-Colombes.

— Co, mieszkać pod jednym dachem z nieżonatym, młodym człowiekiem? Nigdy... to byłoby *shocking*.

— Wobec tego, mam nadzieję, że zechce pani chociaż złożyć mi wizytę. Przedstawię pani moje małe przyjaciółki, Dziubę i Lube, oraz starych moich towarzyszy: Czarusia i Madeja.

— Owszem, naturalnie o ile te młode osoby należą do towarzystwa, a pańscy przyjaciele są dobrze wychowani.

— Może pani być spokojna. Dziuba ma duszę niewinną i białą jak jej szata. Madej jest bardzo poważny, co zaś do Luby i Czarusia, to oboje są stateczni i mili, ubrani zawsze czarno.

ROZDZIAŁ VI.

ZAKĄTEK GOŚCI PANIĄ PAPACOCK.

W domu Nik zastał depeszę tej treści (od rejenta pana Gregora): "Panna Alicja przybędzie do Cherbourga na statku *Zoulouland* T- wa *Red Star Line*".

— Nieźle — pomyślał sobie Nik — jeszcze jedna podróż w perspektywie, ale chyba przyjemniejsza niż pierwsza; przynajmniej wolno mi się tego spodziewać.

Przez telefon dowiedział się z agencji *Red Star Line*, że okręt *Zoulouland* powinien stanąć w Cherbourgu za pięć dni; miał zatem czas.

Na razie pochłonęło go zupełnie przygotowanie mieszkania na przyjęcie pani Papacock, która przyrzekła złożyć mu nazajutrz wizytę.

Czytelnik bez trudu nam uwierzy, gdy powiemy, że Zakątek pana Azarda był nieco zaniedbany. Miły, artystyczny nieład, który dogadzał Nikowi, a nie był zwalczany przez Atalję, panował wszędzie. Nik postanowił nadać zarówno willi, jak ogrodowi i całej

habendzie więcej prezencji. Kazał nieudolnej służącej zamiatać, okurzać, czyścić, froterować, nie dając jej chwili wytchnienia. Sam zresztą chętnie pomagał, wykazując więcej gorliwości niż zręczności. Bądź co bądź, dzięki elektrycznemu odkurzaczowi, oczyścił wszystkie meble, Atalja bowiem czuła lęk przed tą maszyną i nie umiała się z nią obchodzić. Zresztą i Nik z braku czasu rzadko jej używał.

Doprowadził do porządku zapchany wylot małej ogrodowej fontanny, przyczem woda, która niespodzianie wytrysnęła, oblała Dziubę hałaśliwie protestującą przeciw nieoczekiwanemu natryskowi. Nik dla świętego spokoju zamknął gęś w kurniku. Zajął się następnie malowaniem brudnych i wytartych futryn i boazerji, pędzlując zamasyście różnymi farbami na prawo i lewo.

Dokonał jeszcze wielu innych prac, których wyliczenie zbyt byłoby nużące i wywiązał się z zadania, jak zwykle doskonale, jeśli nie brać pod uwagę drobnych niedokładności, spowodowanych bądź brakiem cierpliwości, bądź bogactwem fantazji.

Wreszcie doszedł do przekonania, że zmiana nazwy jego siedziby jest sprawą bodaj najważniejszą, gdyż nieco frywolne miano *Swawolny Zakątek* mogłoby zrazić panią Papacock, a następnie i pannę Alicję, postanowił więc na nowo ochrzcić swoją posiadłość. Lecz jaką nazwę wybrać? — była to trudność nielada. Tak popularna nazwa *Bellewue* nie mogła tu mieć zastosowania, gdyż nawet z okienka na strychu widoczne były tylko okoliczne dachy i kominy fabryczne. Możliwy byłoby ochrzcić mianem jakiegoś drzewa lub rośliny np. *Willa pod kasztanami*, *Willa Różana* i t. p. Niestety, Nik miał w swoim ogrodzie wszelkie odmiany drzew, bez wyraźnej przewagi jednego gatunku. Zaczął robić przegląd i naliczył jeden kasztan, jedną lipę, jeden krzak róży, dwa krzaki bzu, które notabene nigdy jeszcze nie kwitły, i kilka innych gatunków roślin.

Z drugiej strony, nic nie usprawiedliwiłoby żadnej z tak powszechnych nazw, zaczerpniętych z pośród imion żeńskich, chyba, żeby willę ochrzcić imieniem służącej, która na to nie zasługiwała. Zresztą nazwa *Willa Estera* lub *Willa Atalia* przypominałaby raczej jakiś pensjonat dla dziewcząt. Na myśl o tern Nik wybuchnął śmiechem. Ostatecznie zdecydował się na wybór nazwy *Odpozynek* i natychmiast wypisał to nowe miano na dużym arkuszu papieru,

którym zakleił dawną nazwę. Nie wyglądało to zbyt artystycznie, ale doskonałości wszak niema na tym świecie.

W międzyczasie Nik przerzucał dzienniki poranne, południowe i wieczorne. W dalszym ciągu brak było wiadomości z okrętów *Gigantic* i *Ile de France*. Sfery marynarskie okazywały najwyższe zdenerwowanie. Niepodobna było dłużej ludzić się nadzieją. Z drugiej strony, to tajemnicze zniknięcie dwóch wielkich okrętów nie dawało się niczem wytłumaczyć. Wprawdzie może okręt ulec katastrofie, z której nikt nie ujdzie z życiem, ale trudno przypuścić, aby podobny los w krótkich odstępach czasu i w tych samych okolicznościach spotkał dwa wielkie parowce. Świadczyłoby to raczej o jakiejś strasznej tajemnicy.

Nazajutrz rano dziennik *Nowiny* zawiadomił, że jego Współpracownik Jerzy de la Blanchere otrzymał chwilowy urlop, w celu badania niepokojących przyczyn opóźnienia parowca *Ile de France*, na którego pokładzie znajdowała się jego ukochana żona. Dotychczasowe, jego zabiegi i depesze, wysyłane przez radiotelegraf, nie dały żadnego rezultatu.

--- Biedny Jerzy! Nieszczęśliwa Viviana! – szepnął Nik.

I okrutna myśl przeszła mu przez głowę.

— Czemuż to pani de la Blanchere nie wsiadła na okręt *Limbourg*, a pani Papacock na *Ile de France* ?

Szybko jednak porzucił tę złośliwa myśl i z rezygnacją oczekiwał wizyty niemiłej guwernantki panny Alicji Milburne. Na krótko przed oznaczoną godziną wizyty, robiąc ostateczny przegląd domostwa, zauważył z przerażeniem, że ścieżki w ogrodzie są zanieczyszczone. Na żakietowy garnitur założył fartuch i z grabiami w ręku zabrał się do pracy. Nie ukończył jeszcze roboty, gdy rozległ się dźwięk dzwonka. Nik pośpieszył ku furcie, miał jeszcze na tyle przytomności umysłu, by odrzucić grabie, które upadły niefortunnie między wspaniałe pieczołowicie hodowane gwoździki, zapomniał jednak o fartuchu, obficie poplamionym różnemi farbami. Pani Papacock, widząc przed sobą na poły ogrodnika, na poły malarza, w żakiecie, zrobiła minę dość zdziwioną.

— Może przeszkadzam? — spytała.

— Ależ nic podobnego, właśnie oczekuję pani.

— Z trudnością zdołałam odnaleźć pańską willę, numer jest ledwie

widoczny, Ale, ale, co się stało z nazwą willi, wypisaną na furtce?

Nik niespokojnym okiem rzucił w kierunku furtki i zdrętwiał na widok arkusza papieru, który złośliwie przzerwany w połowie odsłaniał część dawnego napisu, tworząc zabawną nazwę: *Willa Swawolny... czynek.*

W tej samej chwili dały się słyszeć przeraźliwe krzyki: to kruk atakował dziobem nogi pani Papacock.

— Uspokój się, Czarus — rzekł Nik — bądź że rozsądny.

— Ach, to przyjaciel, o którym pan wspominał — rzuciła pani Papacock z uśmiechem pełnym pogardy.

Nik w duchu był zadowolony, że zamknął Dziubę, która nic znosiła nowych twarzy.

— Proszę, zechce pani wejść dalej, jest: pani mile widzianym gościem w tym domu.

— Pozwalam panu zdjąć fartuch.

— To prawda. Zapomniałem. Przepraszam stokrotnie. — To mówiąc, wprowadzi! guwernantkę do swego gabinetu.

— Proszę mi wybaczyć, że nic przyjmuję pani w salonie, ale restaurują go w tej chwili.

W istocie sprawa przedstawiała się w ten sposób, że salon, którego pan Azard nie używał zupełnie, zavalony był rupieciami: książkami, gazetami, papierami, a nawet przyrządami fizycznymi. Chcąc uporządkować ten pokój, należałoby sprowadzić wóz meblowy, ale Nik nie myślał nawet o podjęciu tej pracy, godnej Herkulesa. Gabinet zresztą pod względem ładu i porządku niewiele różnił się od salonu. Biurko do tego stopnia było zavalone papierami, że przypominało krajobraz z ośnieżonymi szczytami skał.

Pani Papacock z widocznym wstrętem zatrzymała wzrok na półeczce z fajkami, do której Nik na znak żałoby po smutnym zgonie Zefirynty przywiązał strzęp czarnego krawata.

— Przyznaję, że w moim gabinecie jest trochę nieporządku.

— Trochę, to bardzo skromnie powiedziane — odcięła ironicznie Amerykanka.

Nagle Luba według swego zwyczaju skoczyła na biurko — rzecz dziwna! Jej łapki i ogon na wszystkich papierach pozostawiały krwawe ślady. Pani Papacock krzyknęła z przerażenia :

— Co to za potworne stworzenie! Wygnaj je pan natychmiast!



— Co, wygnąć moją małą przyjaciółkę Lubę? Raczej umrzeć! Ale cóż to, krew? Ha, jeśli ją kto zranił, pomszczę tę zbrodnię straszliwie! Ach, nie, już wiem co to, musiała się przespacerować po świeżo malowanej kuchni. Trzeba jej niezwłocznie przemyć łapki i ogon terpentyną.

— Z was dwojga to zwierzątko nie jest najgłupsze.

— Dziękuję, grzeczność nakazywała powiedzieć, z nas trojga.

— Pan mnie obraża. Zdam z tego sprawę panie Alicji. Natychmiast wyślę depeszę na *Zoulouland*. Niech ją Bóg strzeże przed zaślubieniem...

Nagle zagłuszył jej słowa dzwonek telefonu. Nik schwycił słuchawkę.

— Hallo, czy to pan Azard? Tu Noribert, sekretarz *Epoki*.

Sprawa okrętów wikła się coraz bardziej. Ma pan temat do wspaniałych feljetonów.

— Co nowego?

— Statek *Dacota* T-wa Amerykańskiego sygnalizuje przez radio, że otrzymał na morzu wezwanie o pomoc z parowca linii *Red Star Line*: „S. O. S. Niebezpieczeństwo tajemnicze i groźne. Na pomoc! Jesteśmy w rozpaczycy! Szerokość”...

— Co dalej?

— W tym miejscu, niestety, depesza z przyczyn nieznanych się urywa. Oczywiście, wskutek tego okrętu nie odnaleziono.

— A jaka jego nazwa?

— *Zoulouland.*

ROZDZIAŁ VII.

W JAKI SPOSÓB ZOSTAŁA ZORGANIZOWANA

WYPRAWA.

Tym razem Nik był naprawdę wzruszony.

— Ależ to przechodzi ludzkie pojęcie, a nadewszystko — to okropne. W podnieceniu zapomniał poinformować panią Papacock o strasznej nowinie.

— Czego pan się dowiedział i co pana przejęło do tego stopnia? Co się stało?

— Stało się — rzucił — że czarna lista rośnie, a tajemnica z każdą chwilą jest okropniejsza. Po *Gigantic'u* i *Ile de France* przyszła kolej na *Zoulouland.*

— Co się wydarzyło okrętowi, na którym znajduje się Alicja? Mów pani

Nik powtórzył wszystko, co mu zakomunikował Noribert. Pani Papacock przeraźliwie krzyknęła i bez życia upadła na fotel.

Nik chwycił teczkę z biurka, począł nią wachlować zemdloną, a widząc, że to nie pomaga, odpiął kołnierzyk bluzki, aby mogła swobodnie oddychać. Pani Papacock niebawem otworzyła oczy i odepchnęła go od siebie.

— Shocking! — zawołała. — Proszę mnie zostawić w spokoju! Bardzo niewłaściwie pan się zachowuje!

— Niech pani będzie zupełnie spokojna. Musiałem panią ratować. Nie ma pani powodu do jakichkolwiek obaw.

— Zaklinam pana na wszystkie świętości, ratuj swą kuzynkę!

— Może pani być pewną, że nie zaniedbam niczego. Wzięła mnie pani zapewne za lekkoducha i nicpotem, ale w gruncie jestem, gdy trzeba, bardzo poważny. My wszyscy, Francuzi, jesteśmy tacy. Proszę mi wybaczyć moje figle, teraz działajmy wspólnie, aby wyrwać biedną kuzynkę z niebezpieczeństwa, w którym się znalazła.

— Tak, połączmy nasze wysiłki! Proszę zapomnieć, że byłam może chwilami za mało uprzejma. Zastanówmy się wspólnie, co należy czynić.

— Sądzę, że najlepiej wynająć statek i puścić się na poszukiwanie trzech zaginionych okrętów.

— Jestem tego samego zdania. Wydatki nie powinny nas przerażać. Panna Alicja na wszelki wypadek otworzyła mi w *American-Foreign Bank* nieograniczony kredyt.

— Będzie to dla nas dużą pomocą. Zresztą mam myśl! Wszystkie dzienniki zapaliły się do tej tajemniczej sprawy. Otóż, jest nas dwóch dziennikarzy, osobiście zainteresowanych w tej tragedji: Jerzy de la Blanchere i ja. Możliwe, że nasi redaktorzy zechcą zorganizować ekspedycję o której mowa, i częściowo pokryją koszty. Wiadomości bez wątpienia sensacyjne, przez nas zebrane, będą przeznaczone wyłącznie dla *Epoki* i *Nowin*.

— Doskonale! Zatem każdy ze wspólników będzie miał do pokrycia trzecią część kosztów!

— Świetnie! Co do mnie, ofiaruję sumę, jaką zdołam zebrać, niestety, nie będzie to dużo...

— Pana osobisty udział w wyprawie jest dla nas cenniejszy, niż pańskie pieniądze. Zaczniemy tedy działać i zastanówmy się nad szczegółami organizacji tego trudnego przedsięwzięcia,

— Doją się, że wyprawa nie będzie pozbawiona groźnych momentów, radzę przeto, aby pani w niej nie uczestniczyła,

— Nic mnie nic powstrzyma, potrafię stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu, jak przystoi prawdziwej Amerykance.

— Brawo! Dla przypieczętowania naszego porozumienia, pozwoli pani uścisnąć swoją prawicę.

Pani Papacock natychmiast uczyniła zadość temu życzeniu; nowi przyjaciele wymienili serdeczny, energiczny uścisk rąk.

— Moja biedna Alicja — ciągnęła guwernantka z czułością, o którą nikłby jej nie posądził — jakież niepokój we mnie budzi! Uważam ją prawić za swoją córkę.

— Może mi pani coś o niej opowie.

— Jest to dziewczę słodkie, kochające, pełne zalet serca i umysłu, nieco marzycielskie i czule, co zapewne odziedziczyła po swych francuskich przodkach. Te właśnie, obce Amerykankom, cechy chara

kteru budziły w ś. p. ojcu poważną troskę o jej przyszłość.

— Kochana kuzynka! Już odczuwam dla niej przyjaźń serdeczną.

— Przytem wszystkiem piękna jak anioł; jest brunetką, obdarzoną subtelnym wdziękiem blondynek. Chce pan zobaczyć jej podobiznę?

— Czy chcę — błagam o to!

Pani Papacock wydobyła złoty wysadzany perłami medaljon i otworzyła go z czułością. Wewnątrz znajdowała się artystycznie, na emalji wykonana miniatura. Nik długo wpatrywał się w zachwycający obraz i dziwne wzruszenie opanowało jego duszę.

— Tak — powiedział — jest śliczna. Jasne oczy mają wiele pięknego blasku i wyrazu, przeziera przez nie dusza czysta, szlachetna i wzniosła.

— Widzą, że jest pan zdolny ją zrozumieć. W tej chwili jednak, jeśli jeszcze pora, należy o nią walczyć ze złym losem.

— Odnajdziemy ją stanowczo. Jestem tego pewien.

— Oby słowa pana się sprawdziły! Bierzmy się energicznie do dzieła, każdy w swoim zakresie.

— Nie tracąc ani chwili! Ufajmy!

W rzeczywistości, gdy minął pierwszy zapal, pana Azard'a począł ogarniać wielki niepokój. Jakież to przejścia czekały Nika, domatora, lubiącego nadewszystko wygody i robiącego zawsze, co mu się podoba.

Nie przerażało go niebezpieczeństwo, ale raczej drobne przykrości, a przedewszystkiem choroba morska. Do tej pory Nik wierzył święcie, że łatwiejby mu się udało wejść na klęczkach na wierzchołek wieży kościoła Panny Marji w Paryżu, niż przebyć kanał La Manche. Teraz miał się puścić, na niewielkim zapewne okręcie, na pełne morze.

— Niku, przyjacielu — powiedział sobie — zdaje mi się, że robisz głupstwo. — A jednak nie bardzo żałował powziętych decyzyj. Początkowo kuzynka z Ameryki budziła w nim tylko ciekawość i bawiła go cała ta spadkowa historia. Teraz, gdy Alicja znalazła się w istotnem niebezpieczeństwie, zbłąkana na bezmiernych przestworzach oceanu, niewiadomo gdzie i w jakich okolicznościach, nie potrafił myśleć o niej bez tkliwości.

— Obowiązek rodzinny — pomyślał — każe mi ją ratować... A zresztą, czegoż się nie robi dla tak doskonałej istoty?

Przedewszystkiem należało odszukać Jerzego de la Blanchere, a to była sprawa niełatwa.

Zatelefonował do redakcji *Nowin*, skąd nie dowiedział się nic pozytywnego, ponieważ Jerzy od jakiegoś czasu przestał bywać w redakcji. Nik wpadł tedy na myśl zasięgnięcia informacji u szwagra swego przyjaciela, pana Feliksa Luce, dyrektora T-wa instalacyj elektrycznych. Dowiedział się od mego, że Jerzy zajęty jest wyłącznie sprawą poszukiwań *Ile de France* i że o godzinie 18-tej będzie na pewno w redakcji *Nowin*, Nik czem prędzej udał się na stację i szczęśliwie zdążył jeszcze na oznaczoną godzinę do Paryża. W redakcji w oczekiwaniu Jerzego porzucił dzienniki. Nic zawierały one w dalszym ciągu żadnych nowin o trzech zaginionych okrętach. Jedyne coraz liczniejsze podawano szczegóły o zaobserwowanych dziwnych zjawiskach, jak zorze północne lub zaburzenia magnetyczne. Z tego powodu dziennik *Niezależny* na widocznym miejscu tłustym drukiem zapytywał: „Dlaczego dotąd nie zorganizowano pomocy dla *Gigantic'a, Ile de France i Zoulouland'a* ?“

Autor tego artykułu na zasadzie opinii, zasięgniętej u największych powag w sferach marynarskich, odpowiadał: To dlatego, że niewiadomo dokładnie, gdzie zachodzą owe zjawiska świetlne, które zdają się mieć bezpośredni związek ze sprawą zniknięcia okrętów, gdyż, jak zauważono, światła te nikły w jednym miejscu i ukazywały się znów w innym; To ponieważ okrętom nic wolno według fantazji zbaczać z wytkniętej drogi, a może i nie śmiały one obierać kierunku tajemniczych i groźnych światła. „Trzeba jednak z tem skończyć — konkluduje autor. — Żądamy, aby władza państwowa zorganizowała ekspedycję ratunkową, złożoną w razie potrzeby z okrętów wojennych“.

— Wielki już czas — pomyślał Nik, aby zrealizować nasz pomysł, w przeciwnym razie wyprzedzą nas inni.

Wreszcie zjawił się Jerzy de la Blanchere. Rysy jego twarzy zdradzały wielki niepokój.

— Ach to ty, drogi Niku — wykrzyknął — jestem złamany, nie masz pojęcia, jaką przeżywam mękę.

— Znajduję się w zupełnie podobnej sytuacji. Oczekuję kuzynki z Ameryki, może nawet narzeczonej, zgodnie z życzeniem jej ojca

która, wyobraź sobie, jest na pokładzie *Zoulouland'a*.

— Ach, to nie to samo.— Twoje nieszczęście jest większe, przyznaję. W każdym razie zrobię wszystko, aby ratować moją kuzynkę i przychodzę właśnie, żeby rozmówić się z tobą w tej sprawie. Trzeba działać jak najspieszniej.

— Niestety, nie masz pojęcia, jakie trudności piętrzą się na każdym kroku. Kołatałem już wszędzie; nie odmawiają zasadniczo, ale tracą drogi czas na rozmyślaniach, deliberacjach i wybiegach. Kręcę się jak głupi między T-wem Transatlantyckim, ministerstwem Marynarki i prezydjum Rady Ministrów. Nie mogą się zdecydować. Godzą się w zasadzie, że trzeba coś zrobić, ale nie są w stanie dojść do porozumienia, gdy chodzi o realizację planów.

— Wcale mnie to nie dziwi, działajmy więc sami.

Tu Nik wyłożył swój projekt.

— Doskonale — zapalił się Jerzy — właśnie zrozpaczony szedłem do mego redaktora, aby go namówić na sfinansowanie wyprawy. — Dodam, że T-wo Transatlantyckie skłonne jest bezinteresownie dać okręt i kapitana. To nie do pogardzenia.

— Zostają do pokrycia koszty żywności, węgla, oliwy, utrzymania i wynagrodzenia załogi, ubezpieczenie etc. Wszystko razem podzieli się na trzy części, które pokryją nasze redakcje i pani Papacock, guwernantka, w imieniu mojej kuzynki. Chciałbym ze swej strony też wziąć udział w kosztach, ale suma, jaką rozporządzam, jest zbyt drobna, chyba żebym sprzedał mój mały domek.

— Co? Sprzedać twój Zakątek! Nigdy, mój drogi. To byłoby szaleństwo!

— W każdym razie ofiaruję swą pracę w charakterze sekretarza komendanta, któremu będę redagował dzienne raporty.

— To już jest dużo rozsądniejsze, chociaż ten obowiązek na mnie raczej spaść powinien. Chodźmy razem do mego redaktora, we dwóch łatwiej uda nam się go przekonać. Twoja pomoc, płynąca z serca, dodaje mi sił, których doprawdy już mi brakło.

Niebawem nasi przyjaciele zostali przyjęci przez redaktora *Nowin*, człowieka suchego, zimnego, praktycznego, pełnego stanowczości i inicjatywy.

Pojął on natychmiast korzyści, płynące z propozycji Jerzego i Nika, dla swego pisma, porozumiał się ze swym przyjacielem,

redaktorem *Epoki*, i otrzymał jego aprobatę. Organizacja wyprawy weszła wreszcie na tory realne. Nik pośpieszył do hotelu, w którym stanęła pani Papacock, aby ją o tem powiadomić. Okazało się, że i ona nie traciła czasu.

— Byłam — oświadczyła — u pana Greenfielda, dyrektora Amerykańskiego Banku dla handlu z zagranicą. Sprawa załatwiona, zgadza się otworzyć nam kredyt nieograniczony na rachunek panny Alicji. Zresztą, zapewne nieduża suma będzie nam potrzebna, gdyż zdołałam zainteresować sprawą, przebywającego chwilowo w Paryżu pana Wappletona, redaktora wielkiego dziennika amerykańskiego *New-York Express*. Przeznacza on na wyprawę tyleż co *Epoka* i *Nowiny* łącznic, z warunkiem otrzymywania jednocześnie z niemi wszelkich wiadomości.

— Winszuję. Widzę, że zna się pani na interesach. Możemy zatem ustalić następujące udziały:

T-wo Transatlantyckie: okręt i komendant.

Resztę:

<i>Nowiny</i>	1/3
<i>Epoka</i>	1/5
<i>New-York Express</i>	2/5
<i>Panna Milburne</i>	1/5.

— Tak jest.

— Omówimy teraz szczegóły. Zobowiązałem się, że będę sekretarzem komendanta. Pani, jeśli zechce, może zarządzać gospodarstwem i w ogóle finansami. Jerzy, jako były żołnierz, będzie młodszym oficerem i podejmie się badań naukowych, raportów dla ministerstwa Marynarki i komunikatów dla trzech dzienników, które nas subwencjonują. W razie potrzeby będę mu pomagał. W wypadku walki z piratami, bandytami, albo potworami morskimi, jego doświadczenie wojskowe może nam być pomocne. Niech każdy spełni swój obowiązek, a wszystko pójdzie dobrze

— All right.

Po przybyciu do Bois-Colombes Nik natychmiast przywołał służącą.

— Atalio, przygotujcie moją i swoją walizę, wyruszamy na ocean.



Służąca w przerażeniu upuściła wycierany właśnie talerz i rozbiła go na drobne kawałki.

— Wybiera się pan do Ameryki?

— Prawdopodobnie; chwilowo wyruszamy na ratunek mojej kuzynce, gdyż statek, którym jedzie, znalazł się w niebezpieczeństwie. Zabieram cię, Ataljo. Za trzy dni odbijemy z Havru.

— A któż zajmie się Lubą, Dziubą, Czarusiem i Madejem? A kto będzie wili pilnować przed złodziejami?

— Wynajmę stróża.

— Proszę pana, nic z tego nie będzie. Oto już dwadzieścia lat służę u pana i jego ś. p. rodziców, jeśli jednak ma pan zamiar wywozić mnie do Ameryki, opuszczę to miejsce natychmiast, żebym nawet jak pies miała umierać z głodu na ulicy.

Po wypowiedzeniu, tych słów wdzięcznych i kategorycznych, Atalja rozplakała się żałośnie, ocierając łzy rąbkiem brudnego fartucha.

Pan Azard wybuchnął śmiechem.

— Dobrze, dobrze, wyjadę sam. Uspokój się już, wróć do swojej kuchni, a głównie nie tłucz talerzy.

ROZDZIAŁ VIII.

PEŁZAJĄCE WODOROSTY.

W opinii publicznej dawało się odczuć coraz silniejsze zderzenie. Tylko krańcowi optymiści i zainteresowane T-wa okrętowe nie tracili jeszcze nadziei. Publiczność wciąż odwiedzała agencje, ale panika, która początkowo panowała, minęła, zastąpiło ją ponure przygnębienie, przerywane chwilami pełnymi furji protestami.

Posel do parlamentu Barrier zgłosił interpelację pod adresam ministra marynarki, zapytując, jakie środki zamierza przedsięwziąć, aby przyjść z pomocą zaginionym. Znaczna część izby poparła tę interpelację, która omal nie doprowadziła do upadku gabinetu. Minister musiał się zobowiązać do wysłania na wody Atlantyku całej eskadry wojennej pod dowództwem wiceadmirała.

Jak zwykle jednak dużo rozprawiana, a działano mało. Zato Nik, Jerzy i pani Papacock byli bardzo czynni. Zdołali przekonać o koniecznym pośpiechu T-wo Transatlantyckie i okręt *Franche-Comte*, przeznaczony na wyprawę, czynił już przygotowania do drogi. Był to statek średniej pojemności, ale szybki, zaopatrzone w doskonale maszyny i wyposażony w potężną radjostację.

Komendant statku pan Florenville był marynarzem z krwi i kości. Prócz niego T-wo Transatlantyckie reprezentował p. de Vasśaucourt, człowiek pełen dystynkcji i wiedzy, dzielący swój czas między praktykę marynarską i badania naukowe, zwłaszcza z dziedziny botaniki.

Załoga była tak nieliczna, iż odnosiło się wrażenie, że okręt jest pusty. Przewidywana możliwość wzięcia na pokład licznych rozbitków nie pozwoliła na zbytne przeciążenie. Zabrano jedynie dwóch lekarzy, pp. Samary i Delacour, oraz kilka pielęgniarek.

W dniu, w którym *Franche-Comte* miał wyruszyć w drogę, dzienniki doniosły, że rząd Stanów Zjednoczonych wysłał na poszukiwanie *Gigantic'a* i *Zoulouland'a* wielki krążownik wojenny. Przewidywano, że Anglja zazdrosną o swe panowanie na morzach, nie da się nikomu wyprzedzić i wyśle większe jeszcze siły. Nasi

przyjaciele zatem ruszali w samą porę.

„Franche-Comte” rozwinął całą szybkość i wkrótce znalazł się na linii *drogi*, którą zaginione okręty musiały odbywać.

Pan de Vassaucourt, kapitan Flarenville i Jerzy de la Blanchere niemal wyłącznie interesowali się losami Ile de France, natomiast Nicka i panią Pappacock niepokoił "Zoulouland". Zresztą najzupełniejsza harmonia i pogoda panowały na pokładzie.

Lecz Nick *znalazł* się niebawem poza towarzystwem. Ledwie *nasi podróżnicy pozostawili za sobą brzegi Normandii, zaczęła go męczyć straszliwa morska choroba. Zdawało mu się, że wnętrzności i żołądek wyjdą mu gardłem. Ta bezsensowna translokacja organów trawienia w skutkach zmuszała go do żywienia* swoim kosztem ryb morskich, które zresztą nie były mu za to wdzięczne. Smutnie oparty o balustradę lub rozciągnięty w swojej kabinie, wzywał śmierci lub wzdychał do powrotu na stały ląd, który wydawał mu się teraz ziemią obiecaną.

Poświęcenie pani Papacock nie miało granic. Roztoczyła iście macierzyńską opiekę nad Nikiem, rzucając zresztą od czasu do czasu kilka słów gorzkich, ot tak, żeby nie wyjść z wprawy! Miała ona przeciw chorobie morskiej środek, zalecony jej w swoim czasie przez starego lekarza, Portugalczyka, środek jakoby jedynie skuteczny.

Niewiadomo, czy to działało cudowne lekarstwo, przyzwyczajenie czy też spokój, panujący na morzu, dość, że Nik niebawem zaczął się czuć lepiej, odżył i na nowo zajęty był tylko myślą odszukania swej kuzynki Alicji.

Wyprawa napotykała pierwsze przeszkody. Wprawdzie nic groźnego nie działo się jeszcze, kapitan jednak stwierdził, że igła magnesowa chwilami skacze, jak szalona, wskazując najrozmaitsze kierunki.

Trzeba było zrezygnować z kompasu i orientować się według słońca i gwiazd. Nagle niebo zaciągnęło się groźnemi, gęstemi chmurami o barwie ołowiu i fioletu, szybko ogarniającymi cały horyzont.

— Albo się bardzo mylę, albo będziemy mieli burzę, jakiej świat nie widział od potopu. Jak długo jestem marynarzem nie widziałem tak brzydkiego nieba — oświadczył *p.Florenville*.

--- *Czy być może – zawołał Nik, blady z przerażenia. Na myśl, że*

okręt zacznie tańczyć na olbrzymich falach, czuł, że wnętrzości skręcają mu się i płaczą, niby kłębki wełny, którymi zwykła się bawić jego kolka Luba.

— Muszę przyznać, że horyzont jest istotnie zastraszający, takich chmur przed burzą nigdy jeszcze nie obserwowałem.

Zarządzono niezbędne ostrożności, aby okręt nie ucierpiał zbyt od gwałtowności burzy.

Nagle stało się coś nieoczekiwanego i niepojętego. Pan Florenville, siedzący baczenie horyzont, omal nie upuścił swej lunety w morze.

— Patrzcie — zawołał — chmury się zatrzymały!

— Istotnie, są teraz nieruchome! — powiedział p. de Vassaucourt.

W tej samej chwili komendant wydał okrzyk bezgranicznego zdumienia.

— A, do stu milionów fur beczek prochu! Chmury ruszyły teraz w odwrotnym kierunku!

— Niemożliwe!

— Niemożliwe, a jednak prawdziwe. Sam pan widzi.

Istotnie, chmury po chwilowym zatrzymaniu się ciągnęły z powrotem posłuszne jakiejś tajemniczej nieprzebranej sile.

— Jest to bez wątplenia zmiana wiatru, choć nieprawdopodobnie raptowna.

— Właśnie, że wiatru wcale niema, tak mi się przynajmniej zdaje.

— Mogą to być jakieś górne prądy powietrzne.

— Podlegające jakimś nowym, nieznanym prawom.

— Najważniejsze — oświadczył Nik, głaszcząc się z lubością po brzuchu — że unikniemy burzy.

— Swoją drogą chciałbym bardzo zrozumieć, co to się dzieje — powiedział komendant.

Jednocześnie zauważono na horyzoncie w kierunku południowym bardzo odległe czerwone blaski.

— Słynna *zorza północna* — rzucił Jerzy.

-- Przyszłość wyświecili nam wszystkie te tajemnice - zawyrokował p. Florenville.

Pan de Vassacourt tymczasem wrócił do swego ulubionego zajęcia i wyławiał wodorosty, aby uzupełnić swój zielnik roślin morskich. Pomagał mu w tym zajęciu jeden z marynarzy, manewrujący rodza-



jem sondy, zaopatrzonej w haczyki. Botanik uważnie badał wyłowione rośliny i zachowywał tylko okazy najciekawsze. Resztę wrzócano z powrotem do morza tem do morza. Inni pasażerowie, chociaż profani, interesowali się temi badaniami.

— O, proszę spojrzeć — zawołała pani Papacock — co za śmieszna roślina — i pokazała algę koloru pomarańczowego, niepodobną zupełnie do innych.

— Istotnie — zdziwił się p. de Vassaucourt — nie widziałem takiej nigdy, choć znam florę mórz dość dobrze, a pan, komendancie, co o tem powiesz?

Pan Florenville szeroko otworzył oczy.

— Nie znam również takiego wodorostu.

Zaczęto roślinę oglądać szczegółowo. Był to rodzaj nieregularnej gwiazdy z wibrującemu odnogami. Gdy marynarz dotknął palcem jednej z macek, skurczyła się natychmiast.

— Ach, to się rusza — zawołał.

— Zupełnie jak czułka.

— Patrzcie, patrzcie — wtrącił Jerzy — cała roślina jest w ruchu.

W istocie, wszystkie odnóża algi kurczyły się lub wydłużały zwolna, lecz bezustannie. Wkrótce cała gwiazda, niby olbrzymi pajak, sunęła po pokładzie.

— Jest to czerwona kałamarnica — oświadczył marynarz.

— Nie, jej macki są z tkanki roślinnej, a nie zwierzęcej, jak *to* wykazuje badanie przez lupę, jest to z pewnością jakaś nieznaną odmiana algi.

— Może to być po prostu roślina mięsożerna, a rybożerna - dodał Nik.

— Zbadamy to z łatwością.

Pan de Vassaucourt posłał po kawałeczek mięsa *i siekanej ryby, ale roślina na zetknięcie z tą pożywką nie reagowała.*

--- *A wiec - wywnioskował komendant -- jest to po prostu pęłzająca alga.*

— Boże! — przeraził się marynarz. — W tem muszą być jakieś czary. Trzeba ją wrzucić do morza!

— Niech cię Bóg broni — rzekł de Vassaucourt — jest to okaz wielkiej wagi, złożę o nim raport Akademji Umiejętności.

— Chce pan usłyszeć moje zdanie? — zapytał Nik. — Otóż sądzę, że znaleźliśmy się w sferze działania tajemniczych sił i niebawem będziemy mogli zaobserwować jeszcze wiele innych rzeczy nadzwyczajnych.

— Ach, gdybyśmy spotkali *Zoulouland'a* — westchnęła pani Papacock.

— Owszem, przypuszczam, że wkrótce dowiemy się czegoś o nim, sądzę bowiem, że zniknięcie trzech okrętów spowodowane jest tą samą nieznaną przyczyną, co zauważone już światła, ruchy chmur i zjawisko samoporuszającej się algi.

— Tedy więc... — zaczął komendant.

W tym samym momencie marynarz przeraźliwie krzyknął i przeżegnał się. Wszyscy, śledząc jego spojrzenie, ujrzeli nadzwyczajną roślinę, dosłownie idącą w określonym kierunku po pokładzie.

— Rozumiem — powiedział Nik, ukazując, cebrzyk pełen wody, ku któremu wyraźnie zmierzała alga. Wszyscy ze zdumieniem i przerażeniem ujrzeli, jak wodorost zwolna i z niesłychanym wysiłkiem przebył drogę, dzielącą go od cebrzyka, poczem wyprostowane jego macki zaczęły szukać szpar, o które mogłyby się zaczepić. Napotykać gładką powierzchnię, alga poczęła kręcić się wokół cebrzyka, wreszcie natknęła się na miotłę, która posłużyła jej za pomost. Wdrapała się, jak po drabinie, Aż do wody, w której, jak się zdawało, pogrzyła się z lubością.

--- Ależ to cudownie!

I rozkaz raz jeszcze zapuścić sondę, w nadzieji wyłowienia innych okazów.

Żelazne haczyki chwyciły tym razem skłębioną masę wodorostów zupełnie pospolitych. Już zamierzano wyrzucić cały połów do morza, gdy Jerzy niespodziewanie zawołał:

--- A to co ?!

I ukazał na przedmiot stożkowaty, cały pokryty zielskiem i

mnóstwem drobnych muszelek.

— Czyżby kawałek drzewa?

— Albo raczej butelka.

Oczyszczono przedmiot i istotnie ukazała się butelka od szampana, starannie zakorkowana i zalakowana. Wewnątrz widać było dość duży zwitek papieru.

— Pozdrówmy, panowie — rzekł komendant — ten klasyczny list nieznanym rozbitków. Oby nie przyniósł nam zbyt smutnych wiadomości.

Łatwo zrozumieć, z jak wielką ciekawością i jednocześnie trwogą wzięto się do odkorkowania butelki, jak gdyby kryła w sobie wyroki przeznaczenia. Co też zawiera?

Jerzy i Nik wyrzekli się tego zadania, zanadto byli wzruszeni.

Komendant nie bez trudu wyciągnął korek, wyjął papier i rozwinął go. Był to zwitek wielu oddzielnych kartek, zapisanych pismem maszynowym.

— Ach, to po angielsku — zawołał — na panią, pani Papacock, spada zaszczyt tłumaczenia.

ROZDZIAŁ IX.

BUTELKA

Łatwo zrozumieć, z jaką wielką ciekawością i jednocześnie trwogą wzięto się do odkorkowania butelki, jak gdyby kryła w sobie wyroki przeznaczenia. Co też zawiera?

Jerzy i Nik wyrzekli się tego zadania, zanadto byli wzruszeni.

Komendant nie bez trudu wyciągnął korek, wyjął papier i rozwinął go. Był to zwitek wielu oddzielnych kartek, zapisanych pismem maszynowym.

--- Ach, to po angielsku --- zawołał --- na panią, pani Papacock, spada zaszczyt tłumaczenia.

Amerykanka włożyła okulary i zaczęła:

„Na pokładzie *Zoulouland'u*, dnia . . .”

Głuchy okrzyk wydarł się z jej piersi i padłaby zemdlona, gdyby Nik w porę nie podbiegł i nie podtrzymał jej silnym ramieniem.

Ciekawość jednak przewyciężyła wkrótce osłabienie i Amerykanka ciągnęła dalej:

„Proszę usilnie tych, którzy znajdą to pismo, aby doręczyli je memu kuzynowi p. N. Azard’owi, kopję zaś mojej guwernantce pani Papacock i p. Eliaszowi Gregor’owi, rejentowi w Bostonie.

„Zaczynam od uspokojenia wszystkich, których mój los obchodzi, a więc przede wszystkim mej najlepszej guwernantki, którą kocham jak rodzoną matkę“.

W tem miejscu wzruszona lekarka i tłumaczka w jednej osobie musiała przerwać, aby otrzeć łzę.

„Chwilowo jestem bezpieczna. Wszystko jednak, na co tu patrzę, jest takie niezwykle, że śmierć, mam wrażenie, chociaż byłaby równie straszną, przestała dla mnie być czemś nadzwyczajnym.

„Żyjemy, moi towarzysze niedoli i ja, niby we śnie tysiąc razy fantastyczniejszym od bajki z tysiąca i jednej nocy. Wszystko, czego jesteśmy świadkami, jest do tego stopnia niewiarogodne, że ktokolwiek przeczyta to prawdziwe moje opowiadanie, weźmie je za majaczenie obłąkanej (to straszne słowo wcale mnie nie przeraża).

„Siniąło rzec mogę, że szaleństwo wydaje mi się mniej straszne, niż realne nie dające się zaprzeczyć fakty, rozgrywające się codziennie w naszych oczach.

„A jednak wierzyć musicie, jest nas bowiem tu kilkaset osób, które o rzeczach widzianych będą mogły kiedyś świadczyć; zresztą jest więcej niż prawdopodobne, że wkrótce te straszne wypadki przestaną być tajemnicą i cały świat będzie mógł na nie patrzeć. Oby tylko nie sprowadziły one końca: tylekroć mylnie zapowiadany, może on przyjść nagle i w momencie, gdy nasi biedni, mali uczeni, zaślepieni pychą --- najmniej się tego spodziewają.

„Zbaczm jednak od tematu na tory zbyt poważnych rozważań, moje obawy mogą być płonne, a w każdym razie przedwcześnie. Gubię się w głębokich rozważaniach,

Które raczej powinnam zostawić filozofom. Przechodzę tedy do ścisłego opisu rzeczy

Widzianych.

„*Zoulouland* normalnie odbywał swoją drogę do Europy. Pogoda

była wspaniała i wszystko szło jak najlepiej. Cieszyłam się bardzo na myśl ujrzenia wkrótce Francji, ojczyzny moich przodków i, jak zwykle się mówić, drugiej ojczyzny każdego kulturalnego człowieka. Dawno już marzyłam o Paryżu, tej olśniewającej i pociągającej ku sobie wszystkich stolicy, i o kuzynie, którego ojciec mój w ostatnich latach życia niejednokrotnie ze szczerem uczuciem wspominał.

„Rozmawiano dużo o niepokojącym opóźnieniu *Giganttc'a*, ale najwięksi tylko pesymiści śmieli przypuszczać, że i nas mogą oczekiwać niepożądane przygody. Śmiano się, żartowano, komendant pan Prescott uspokajał nas i wierzyliśmy mu. Obawy jednak się wzmogły, gdy telegraf bez drutu doniósł nam o braku wszelkich wiadomości z okrętu *Ile de France*. Szczególnym pesymistą okazał się kierownik naszej stacji radjo-telegraficznej, może dlatego, że raz już przeżywał rozbicie okrętu i cudem tylko ocalał. Mówiono wiele o niezwykłych zjawiskach świetlnych, zaobserwowanych w południowej stronie horyzontu przez niektóre okręty i przypominających zorzę północną. Istotnie, od szeregu dni i nocy podziwialiśmy te światła, przyczem wszelkie możliwe przypuszczenia sypały się, jak z rękawa. Prawdę mówiąc, odbłaski te nie przypominały znanych powszechnie zjawisk pod postacią piękna wieczornego zmierzchu, lub porannej zorzy. Były to jak gdyby fantazyjnie z nieba ku ziemi zwisające draperje, a bardziej jeszcze przypominały owe szeregi bazaltowych kolumn, pospolicie organami zwanych, podziwiane w niektórych krajach, jak np. w grocie Fingal'a albo we Francji, w okolicach miasteczka Borl. Były one barwy niedającej się ściśle jaskrawo-czerwane, najczęściej pomarańczowo błękitne lub fioletowe. Co chwila zmieniały swój istna feeria, której towarzyszył szczególny szmer, coś w rodzaju jednostajnego oddalonego trzaskania.

"Pewnego wieczoru, którego nigdy nie zapomnę, gdyż był to początek naszej po dzień dzisiejszy nieustającej trwogi, blaski zdawały się bliższe i żywsze."

„Ujrzeliśmy nagle przebiegające we wszystkich kierunkach błyski projektora. Barwa ich była pomarańczowa. Projektor zdawał się szukać czegoś na morzu, a snop jego światła z groźnym uporem smagał powierzchnię wód. Wreszcie odkrył nas i uderzył swymi promieniami. O, cóż za smaczne uczucie nagle nami owładnęło! Był

to jak gdyby bolesny dreszcz spowodowany prądem elektrycznym cewki Ruhmkorffa. Fluid ten przenikał nas, pokonywał, czuliśmy się pozbawieni duszy, a nade wszystko woli, i zupełnie opanowani przez nieznaną siłę. W tym to właśnie momencie, jak się później dowiedziałam, nasz telegrafista wysłał depeszę wzywającą ratunku, tej treści: „S. O. S. Niebezpieczeństwo tajemnicze i groźne. Na pomoc! Jesteśmy w rozpacz! Szerokość —“ Straszliwe jednak promienie projektora padły na jego kabinę i w jednej chwili aparat oraz anteny stały się nieme i sparaliżowane, podobnie jak nasza energia. Było to tem bardziej pożałowania godne, że telegrafista właśnie miał wskazać szerokość i długość geograficzną, określające miejsce przebywania okrętu. Ci, których doszło nasze wezwanie, nie wiedzieli, gdzie nas szukać.

„Nagle, przerażenie, które nas opanowało — minęło. Owładnęło nami nieprzeparte i szalone pragnienie, aby podążyć ku temu świetlnemu zjawisku i spalić się w niem, niby motyle w płomieniu lampy.

„Tak, byliśmy literalnie . Chcieliśmy szukać komendanta i błagać go, żeby skierował okręt ku dziwnemu, a jednocześnie pociągającemu światłu. Lecz kapitan dawał już załodze stosowne rozkazy.

„Ujrzyliśmy go, niby w aureoli, zupełnie otoczonego fantastycznym pomarańczowym światłem; robił wrażenie automatu, lub osobnika całkowicie podlegającego czyjejś sugestji. Ręką pocierał czoło, jak gdyby chciał pozbyć się jakiejś bolesnej trwogi i szalonych mamideł.

„Kazał jechać całą parą w kierunku projektora.

„Głos miał zupełnie zmieniony, zdawał się być nieświadomym swoich czynów, jakby pogrążonym w śnie somnambulicznym.

„Zapomniał w tej chwili o swoich obowiązkach, o wyznaczonej marszrucie, o ciężkiej odpowiedzialności wobec T-wa okrętowego, wobec nas wszystkich, naszych krewnych i naszych narodów. Wszyscy byliśmy pewni, że prowadzi nas na śmierć. Mimo to jednomyślnie i z entuzjazmem aprobowaliśmy jego rozkazy. Marynarze wykrzykiwali radośnie. *Zoulouland* zwrócony ku południowi z zawrotną szybkością pędził w stronę pomarańczowego płomienia, którego blaski wciąż go otaczały, pociągając nieodparcie.

„Drobne szczegóły dadzą choć słabe pojęcie o tej szczególnej sile przyciągania.

„Podarłam dziennik na drobne kawałki i obserwowałam, jak uniosły się w tym samym kierunku. Wkrótce potem pies komendanta, wspaniały wodołaz, na którego prawdopodobnie tyrańskie promienie działały tak samo jak na nas i który szczekał ku nim jak oszalały, rzucił się w morze i zaczął płynąć ku projektorowi. Trzeba było cisnąć za nim w morze boję, aby wciągnąć go na pokład w chwili, gdy już *tonął* z wieńczenia. Mewy, rażone tem nieszczęsnem światłem, natychmiast zwracały swój lot ku szatańskim blaskom. Płyneliśmy z tak z zawrotną szybkością ku Nieznanemu, pławiąc się pomarańczowym światłem, którego nateżenie wciąż wzrastało. Skutki wzmożonej siły świetlnej dawały nam się dotkliwie we znaki. Trzeba było się chronić, aby uniknąć wstrząsów elektrycznych, które stawały się nie do zniesienia. Żarówki świeciły słabiej, świadcząc jak gdyby, że i prąd elektryczny był pochłaniany przez promienie projektora. Telefony przestały działać. Wkrótce rozpalone do niemożliwości dynamo zmniejszyło szybkość; zdawało się słabnąć pod działaniem jakiegoś potężnego hamulca. Trzeba je było zatrzymać, aby uniknąć krótkiego spięcia. Cały statek pogrążony był teraz w zupełnej ciemności, tylko straszliwe promienie pomarańczowe rozświetlały noc. Mimo to, nasze pragnienie zbliżenia się ku wielkiej tajemnicy nie słabło. Zapalono świece, których chwiejne płomyki chyliły się w kierunku ogniska projektora.

„Nikt z nas nie mógł usiedzieć w ukryciu, namiętna ciekawość wszystkich ciągnęła na pokład, a raczej do górnego salonu, za którego grubemi lustrzanemi szybami łatwiej znosiliśmy dokuczliwość promieni.

— „Chodźcie — wołał pan Carlotti, lekarz, Włoch z pochodzenia, najbardziej ruchliwy ze wszystkich pasażerów — promienie nie są już takie straszne. Pośpieszyliśmy ku niemu właśnie w chwili, gdy wartownik sygnalizował: „dwa okręty na horyzoncie”. Otóż z jednego z nich pochodziło owe tajemnicze światło. W dalszym ciągu jednak nie znaleźliśmy jego istoty i przeznaczenia. Niebawem dostrzeegliśmy sygnalizowane statki i byliśmy w stanie przy pomocy lornetek stwierdzić ich przynależność... Jeden musiał być amerykański, drugi zdawał się być własnością T-wa Transatlantyckiego...



Gdzież mieliśmy głowę?! Odruchowo wszystkim wyrwał się jeden okrzyk: — „ależ to *Gigantic* i *Ile de France*!?” Światłne promie nie pochodziły z *Gigantic'a*. Po większem jeszcze zbliżeniu, zaobserwowaliśmy na obu okrętach rzeczy niezwykle. Znajdowały się na nich dziwne konstrukcje metalowe, wieże, portale, łuki, skomplikowane siatki z drutów, wielkie lustra, najeżone ostremi kolcami okucia żelazne.

„Wszystko było oświetlone niedającym się określić blaskiem, który nieustannie zmieniał natężenie. To rozlewał się na znacznej przestrzeni, to znów przygasał lub obejmował całe niebo. Wówczas musiał być widoczny z dużej odległości i, obserwującym go z oddali statkom, mógł przypominać zorzę północną.

„Snop promieni projektora znacznie się zwęził i nie był już tak silny, zawsze jednak skierowany był w ten sposób, że oświetlał komendanta, śledził go we wszystkich poruszeniach i dosłownie pilnował każdego jego kroku.

„Gdyśmy się zbliżyli na kilkaset metrów do obu statków, z jednego z nich wzniosła się dziwnego kształtu latająca maszyna, przypominająca ogromnego bąka, lub kolosalną osę.

— Jest to helikopter — objaśnił inżynier p. Jackson. — System ten — ciągnął — znany jest dotąd tylko w teorii. Nie rozumiem, w jaki sposób ta maszyna działa tak doskonale.

„Aparat już opuszczał się na nasz okręt. Przy pomocy nieprawdopodobnie śmiałego manewru stanął z doskonałą precyzją

na tyle *Zoulouland'a*. Wyszły zeń dwie okropne postaci, olbrzymiego wzrostu, wysmukłe, pokryte, jak się zdawało, wielkimi, zielonkawymi płaszczami, o twarzach jak gdyby zamaskowanych. U pasa mieli jakieś niezwykle małe aparaciki. Jeden z nich zbliżył się do nas, zakreślił na pokładzie koło, świecące żywym, fosforycznym blaskiem i obejmujące jego samego, towarzysza i helikopter.

„Poczem utkwiał wzrok w komendancie i wówczas ujrzeliśmy — cóż za straszne uczucie, mogłam to skonstatować lepiej od innych, ponieważ stałam bliżej, — monstrum owo miało troje oczu, jedno powyżej nosa, tak mniej więcej umieszczone, jak na rysunkach, wyobrażających cyklopów mitologicznych. To trzecie oko w tej chwili było zamknięte, co się tyczy dwu innych, prawe robiło wrażenie zwykłego oka ludzkie go, lewe jednak rzucało promień żółto-pomarańczowy. Tem właśnie okiem potwór z uporem przesywał komendanta.

— Panie i panowie — rzekł wówczas bezdźwięcznie pan Prescott — zaklinam was i rozkazuję, przejdźcie wszyscy na przedni pomost, tylny rezerwuję dla załogi. Zachowajcie państwo zimną krew i bądźcie mi posłuszni, jak również i tym, którzy są potężniejsi i mądrzejsi od nas.

„Nieszczęśliwy Prescott najwyraźniej rzucał te słowa, podyktowane mu przez inną, obcą wolę i dlatego wywołał wśród nas, prócz niedającego się opisać wzruszenia, również odruchy buntu.

„Liczni pasażerowie, a pomiędzy nimi dr. Carlotti, inżynier Jackson i oficerowie amerykańscy, zaprotestowali.

— Jesteśmy wolnymi obywatelami! Nie mamy zamiaru słuchać rozkazów groźnych olbrzymów, którzy rozporządzają nieznaną nam bliżej siłą okultystyczną. Bynajmniej nas nie przeraża ta śmieszna fantasmagoria.

„Poczem rzucili się naprzód, ale na fosforycznej linii zatrzymali się, nagle unieruchomieni. Trzykrotnie, lecz zawsze bezskutecznie usiło wali przekroczyć tę linię. Uderzając o niewidzialną zaporę, cofali się z okrzykami wściekłości.

„Wówczas p. Jackson wyjął rewolwer, lecz dwa straszne „djabyły“, jak zgodnie ochrzciliśmy potwory, obrzuciły go żółto-pomarańczowym spojrzeniem i p. Jackson, jak automat, cisnął swoją broń w morze.

— Panowie — rzekł komendant —zaklinam was w waszym interesie, oddajcie wszyscy broń.

„Nikt się nie ruszył, jeden z demonów skierował ku namów, przypominający młynek do kawy, aparacik, który miał u pasa. Był to rodzaj karabinu maszynowego. Wyrzucał jednak nie kale, lecz niewidoczne promienie. W jednej chwili wszystkie naboje naszych rewolwerów eksplodowały, raniąc mniej lub więcej ciężko ich właścicieli lub sąsiadów.

„Jednocześnie zapaliły się wszystkie - zapalki w kieszeniach. Wywołało to, rzecz prosta, panikę.

„Jeszcze nie minęło nasze przerażenie, gdy inny pasażer, Hiszpan p. Montilla, bystry jak myśl, z wściekłością rzucił w djabłów nóż i jednego z nich zranił w rękę. Z rany potwora sączył się zielony płyn, prawdopodobnie krew. W tej samej chwili, to, cośmy uważali za jego płaszcz, rozchyliło się nieco i wówczas z przerażeniem skonstatowaliśmy, że są to skrzydła jak u olbrzymiego nietoperza. Jego towarzysz skoczył ku Hiszpanowi i nagle, stała się rzecz niepojęta, potwór otworzył swe trzecie oko, z którego błysnął jaskrawo-czerwony promień. Hiszpan chwycił się ręką za czoło i padł martwy. Osłupienie i lęk zmroziły nam krew w żyłach. Pośpieszyłam wraz z innymi kobietami zająć się rannymi.

„Ranny *djabel* zdawał się zupełnie oszołomiony. Był jak gdyby zaskoczony widokiem sączącej się krwi. Pokazałam mu chusteczkę i dałam do zrozumienia, że chcę mu obandażować rękę. Obrzucił mnie swym pomarańczowym spojrzeniem, lecz dziwnie łagodnie. Wówczas zrozumiałam, że chce mi powiedzieć: — Dziękuję, proszę się zbliżyć i swobodnie przekroczyć świetlany krąg.

„Poszłam i, ku memu zdziwieniu, fosforyczna linja nie zatrzymała mnie. Wszyscy obecni również byli zdumieni. Przewiązałam ranę, doznając dość dziwnego uczucia na widok chustki, splamionej zieloną krwią. Potwór rzucił mi wdzięczne spojrzenie swym zwykłym ludzkim okiem barwy blado-niebieskiej.

„Zmuszona jestem przerwać to opowiadanie. Dla lepszego zabezpieczenia owinę te kartki w pergamin i wszystko włożę butelki. Notatki te odbiłam w pięciu egzemplarzach i w pięciu butelkach powierzę je fałom. Ci, którzy opróżnili te butelki wesolej kompanji, nie wpadliby zapewne nigdy na myśl, do czego one posłużą.

„Obyż te kartki dostały się w dobre ręce ! Niechaj pozbędą trwogi ci, których mój los niepokoi. Nie grozi mi niebezpieczeństwo. Gdybyście przybywali z pomocą, unikajcie pomarańczowych promieni. Strzeżcie się wszechmocnej wiedzy tych, którzy są mądrzejsi od nas, a przede wszystkim, jeśli drogie wam jest nasze życie, nie róbcie nic złego zielonym *djabłom*”.

CZEŚĆ DRUGA.

ROZDZIAŁ X.

TRAGICZNE SZCZAŃKI.

Gdy pani Papacock skończyła czytanie listu, zapanowało na chwilę przykre milczenie. Wszyscy, zdawało się, zdrętwieli pod wrażeniem niezwykłego opowiadania.

— Biedne dziecko — jęknęła guwernantka — na jakież ciężkie próby jest wystawiona.

— Nieszczęśliwa kuzynka! -- dodał Nik.

— Trzeba przyznać — rzekł komendant Florerville, gładząc podbródek — że trudno w to wszystko uwierzyć, tak .. istotnie trudno...

— Czy ta młoda osoba — spytał z zakłopotaniem doktor Samary — jest zupełnie zdrowa na umyśle?

— Najzupełniej -- odparła dotknięta nieco guwernantka, --- zawsze bardzo żywą inteligencję, zdrową logikę i upodobanie raczej do nauk ścisłych, niż do literatury. W czasie swych studjów wyróżniała się szczególnem zamiłowaniem do nauk przyrodniczych i mogłaby z powodzeniem brać udział w najpoważniejszych dyskusjach na to tematy.

— Ach, więc tem lepiej, a raczej tem gorzej ! — rzekł komendant.

--- Jedno jest tylko pewne. — wtrącił pan de Vassaucourt --- że opowiadanie, które słyszeliśmy, należy do rzędu niesamowitych.

--- Nie uważam tego — oświadczył Nik. — Wszystko się ściśle ze sobą wiąże. Nie znając nawet mojej kuzynki, jestem pewien, że podała ściśle tylko fakty. Potwierdzają one moją śmiałą hipotezę.

— Niech, że pan ją ujawni.

— Byłoby to przedwczesne, do tego stopnia jest nieprawdopodobna i szalona. Pozwolicie państwo, że poczekam na dowody bardziej jeszcze zdumiewające.

— Sądzi pan zatem, że będziemy świadkami wypadków jeszcze dziwniejszych?

— Jestem tego pewien. Widzieliśmy już przecież pełzający wodorost.

— Ale, ale — zapytał pan de Vassaucourt — co się z nim stało?

— Sądzę, że jest tam, gdzieśmy go zostawili.

Zbliżono się do kubelka. Algi w nim nie było.

— Jakóbie — przywołał botanik marynarza — coście zrobili z tą cenną rośliną?

— Za pozwoleniem pana, to była sztuczka djabelska.

— Mówcie prędzej, coście z nią zrobili?

— Ściągnęłaby biedę na cały okręt, wrzuciłem ją do morza.

— Nieszczęsny! Zaslugujecie, żeby z wami uczynić podobnie. Nie przebaczę wam, dopóki nie wyłowicie takiego samego okazu.

— A nadto — dorzucił Nik — drugą butelkę, zawierającą dalszy ciąg opowiadania mojej kuzynki.

— Ach tak — rzekła pani Papacock — lecz przede wszystkim należy śpieszyć jej z pomocą.

— Niestety, nie wiemy, gdzie się znajdują te trzy okręty.

— Nic łatwiejszego, należy tylko kierować się czerwonym światłem.

— Tak się to zdaje, ale często całe niebo jest niem objęte.

— Nadto, gdy się znajdziemy w promieniach pomarańczowego projektora, będziemy bezsilni, jak owady wirujące wokół latarni okrętowej.

— Gdyby nawet tak było — zawołała guwernantka — będzie nas więcej do walki z potworami, a w każdym razie wspólnie łatwiej zniesiemy ciężkie próby, które los nam zgotuje.

— Hm — mruknął jeden z lekarzy — więc pani naprawdę wierzy w całą tę historję?

— Czy wierzę? Tyleż, a nawet więcej niż w medycynę.

— Mamy ważniejsze zadanie — przerwał Nik — niż rzucać się w paszczę wilka. Zresztą, moja kuzynka sama zapewnia, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. Zgoda, zbliżmy się do okrętów, ale ostrożnie, starając się głównie zdobyć jakąś pozytywną wiadomość, która nam posłuży bądź do ataku, bądź dla obrony. Nasz doświadczony komendant, znający z pewnością prądy na Atlantyku, będzie nas mógł poprowadzić. Sądzę ze znalezienia algi i butelki, że znajdujemy się już na linii prądu, który biegnie od miejsca postoju zaginionych okrętów. Starajmy się trzymać tego prądu, a wówczas będziemy mieli sposobność dokonania ciekawych odkryć.

— Oto, co się nazywa mówić rozsądnie — zgodził się pan Florenville.--- Całkowicie podzielam zdanie pana Azard'a i zastosuję się do niego, o ile to tylko będzie możliwe. Nadto proszę, aby pan w dalszym ciągu wziął na siebie obowiązek obmyślenia środków obrony przeciw pomarańczowym promieniom. Pan de Vassaucourt zajmie się sondowaniem i swemi badaniami, które, miejmy nadzieję, będą owocne. Pan de la Blanchere będzie prowadził dziennik okrętowy i zredaguje sensacyjne sprawozdania, które prześlemy przez radio naszym redakcjom.

— Tak — odpowiedział Jerzy — jedynie praca zdolna jest zmniejszyć trochę moje zdenerwowanie, spowodowane brakiem wiadomości od żony.

— Cierpliwości — rzekł Nik — wierzę, że wkrótce będziemy je mieli.

— Obyż to było prawdą! Chciałbym ujrzeć Vivianę, choćby po to tylko, aby razem z nią zginąć!

Marynarz Jakub na nowo, według wskazówek pana de Vassaucourt, zapuszczał sondę. Bura, którą dostał, zdwajała jego gorliwość. Ale jakby na złość nie wyławiał nic ciekawego. Owszem, wyciągnął drugą butelką, ale ku powszechnemu rozczarowaniu zawierała tylko kopią znanego nam już dziennika.

Ogarniające wszystkich zniechęcenie przerwał sygnał wartującego marynarza, powiadamiający, że za lewą burtą okrętu widać płynące jakieś ciało. Komendant natychmiast skierował lunetę we wskazanym kierunku. Po chwili oświadczył:

— Jest to topielec — jeśli mnie wzrok nie myli.



Reszta towarzystwa również uzbroiła się w lornetki, wyjąwszy panią Papacock i Jerzego, których obezwładniało bolesne wzruszenie.

— Może to panna Alicja...

— Może to Viviana...

Nik usiłował ich uspokoić, chociaż sam był poważnie zatrwożony. Okręt stanął, spuszczone łódź celem wyłowienia płynącego ciała.

Był to istotnie trup mężczyzny lat około 40 o typie meksykańskim. Ciało było już w stanie rozkładu, a twarz straszliwie zniekształcona. Widać było na niej ślady uderzeń, doktor zaś Delacour znalazł niebawem u podstawy czaszki wielką ranę, która musiała spowodować śmierć.

— Ten człowiek — powiedział — został zabity w czasie walki. Jednocześnie obszukał kieszenie nieboszczyka i znalazł w nich zapisane kartki prawne już nieczytelne wskutek wilgoci, oraz różne drobne przedmioty bez znaczenia.

— A to co?! — zawołał, pokazując kawałek białego metalu.

— Jest to śruba — odparł Nik — ale niespotykanego kształtu.

— Miech pan weźmie w rękę, jaka ciężka.

— To ciekawe, nic jej nie zaszkodziła słona woda. Nie może to być ani cyna, ani aluminium.

--- Słowo daję, przysięgłbym...

— To platyna ! Oczywiście! — powiedział doktor Samary.

— Odkądże to robi się takie śruby z platyny? To kosztuje grubszy grosz, przecież platyna jest cztery do pięciu razy droższa od złota. Jest

to zatem klejnot, ale szczególnego kształtu.

— Jeszcze jedna tajemnica do przeniknięcia.

— Tak jest. Ale przede wszystkim trzeba sprawić temu biedakowi marynarski pogrzeb.

Po zbadaniu papierów topielca okazało się, że był to niejaki Pablo Saltillo z Vera Cruz. Sporządzono akt zejścia, zaszyto ciało w worek i po przytwierdzeniu do nóg ołowianej kuli, spuszczone trupa do wody. Ta żałobna ceremonia przygnębiająco wpłynęła na pasażerów *Frache-Comte*. Na skutek jakiego to dramatu zginął ten człowiek? Czy będzie to kiedyś wiadome ?

Tegoż dnia wieczorem zaobserwowano silniejsze niż zwykle łuny *zorzy północnej*, występujące zresztą na południu.

Jakub-marynarz pogroził im pięścią, mrużąc:

— Ach, gdybym mógł zgasić wszystkie te piekielne ognie!

Poczem, przejęty zabobonnym strachem, przeżegnał się i rzekł do pana de Vassaueourt:

— Ja tam sobie myślę, że najlepiej byłoby zawrócić czem prędzej w kierunku Havru.

— Więc zostawilibyśmy na pastwę zielonym diablom wszystkich jeńców ?

— I tak ich nie uratujemy.

— Przypomnijcie sobie różnych świętych pańskich. Iluż to z nich walczyło zwycięsko z szatanem! Trzeba ich naśladować.

Ten argument zdawał się wreszcie trafiać do przekonania bojaźliwego Bretończyka. Miał on chęć jeszcze replikować, gdy rozległ się głos wartownika:

— Łódź za prawą burtą okrętu!

Statek natychmiast zwrócił się we wskazanym kierunku. Widocznem było, że barka jest pozbawiona steru. Gdy można już było przez lunetę rozróżnić szczegóły, zdawało się, że jest pusta. Jakub znowu się przeżegnał.

— Jest to łódź upiorna — szepnął.

Gdy okręt podpłynął bliżej, ujrzano kształt ludzki na dnie barki.

— Jeszcze jeden trup — rzucił de Vassaiscourt, którego zdawała się przenikać zabobonna trwoga jego pomocnika.

— Zaraz zobaczymy — rzekł komendant.

Wciągnięto ciało na pokład i dwaj lekarze poddali je badaniom.

— Jeszcze żyje — oświadczył pan Samary.— ale niewiele mu brakuje do śmierci, niezadługo pograżyłby się w odmętach tamtego świata, głębszych od Atlantyku. Zresztą, nie jestem pewien, czy uda się go przywołać do życia.

Obaj lekarze zakrzętnęli się koło rozbitka, który, jak się zdawało, nic nie jadł od dłuższego czasu.

— To szczególne — zawołał nagle doktor Delacour i pokazał, co znalazł w kieszeni nieznanego: klucz, kawałek nitu i niewielką płytkę. Wszystkie trzy przedmioty z białego metalu były bardzo ciężkie.

— Znowu platyna — odezwał się Nik — co to może znaczyć!?

— On sam nam wszystko wyjaśni — odparł doktor.

Istotnie, chory powracał zwolna do życia. Na szczęście był on bardzo silnie zbudowany. Wkrótce otworzył oczy, był jednak jeszcze bardzo osłabiony. Otoczono go najstaranniejszą opieką. Był to Francuz ze sfery, jak się zdawało, rzemieślniczej.

— Kto pan jesteś i co się panu przytrafiło? — spytał komendant.

— Nazywam się Michał Delattre. Miałem warsztat ślusarski w Dunkierce, ale zle mi się powodziło, wyemigrowałem więc do Ameryki, aby tam poszukać szczęścia. Nie osiągnąwszy celu, postanowiłem wracać do kraju. Ach, gdybym mógł przewidzieć straszne niebezpieczeństwa, na jakie zostałem narażony, nigdybym się nie zdecydował wejść na pokład tego przeklętego *Ile de France*.

— Co, był pan na *Ile de France*?! — wykrzyknął Jerzy, drżąc z trwogi, — W takim razie może mi pan udzielić wiadomości o mojej żonie, pani de la Blanchere.

— O tak — odpowiedział Delattre — jest to godna osoba. Przyczyniła się ona do uratowania mi życia. Nie ulękła się *zielonych djabłów*.

— Mam nadzieję, że jest zdrowa.

— Była nią przynajmniej, gdy opuszczałem okręt po tragedji, a raczej jednej z widu tragedyj, wywołanych nieszczęsną platyną.

— Co za tragedje?

W tej samej chwili czerwone blaski *zorzy północnej* wypełniły cały horyzont i ich groźny refleks padł na twarz chorego, gdy jednocześnie uszu jego doszedł odległy rytmiczny trzask.

Rozbitek pobladał straszliwie, w oczach jego mignęło śmiertelne przerażenie i jęknął:

— Ratujcie mnie! Nie oddawajcie szatanom! — i padł bez ducha na posłanie.

ROZDZIAŁ XI.

ZNOWU MOWA O „DJABLACH”.

Łatwo się domyśleć, z jakim niepokojem obecni schylili się nad rozbitkiem, który już po raz drugi budził obawę zabrania z sobą na tamten świat strasznej tajemnicy. Lekarze, w których wszyscy pokładali nadzieję, wznowili wysiłki.

Z wielkimi ostrożnościami przeniesiono Michała Delattre do szpitala okrętowego. Umieszczono go w kabinie, której okienko, wychodzące na północ, osłonięto zieloną gazą, aby nie przenikało zatrważające chorego światło.

Chory niebawem ocknął się z omdlenia. Zastosowano słabe środki podniecające i z całą oględnością dano mu trochę pożywienia.

--- Czy może nam pan teraz opowiedzieć swoje przygody? — zapytał Jerzy.

— Owszem, zostaliśmy zahipnotyzowani przez *djabłów*, jak ptak przez żmiję.

— Ach tak! Przy pomocy projektora z pomarańczowymi promieniami?

Delattre drgnął, zdradzając pełne przerażenia zdumienie.

— Skąd pan wie?

Powiadomiono go o znalezieniu butelki, zawierającej rewelacje panny Alicji Milburne.

Rozbitek opowiedział wówczas, w jak łatwy sposób potwory opanowały *Ile de France*; odbyło się tu wszystko zupełnie tak samo, jak na *Zoulouland'zie*.

— Ale ostatecznie — zapytał pan de Vassaucourt — kto to są te istoty fantastyczne i skąd się wzięły? Przypuszczam, że to one również zatrzymały i opanowały *Gigantic'a*.

— Tak jest — potwierdził Delattre.

— Także przy pomocy pomarańczowych promieni?

— Nie, ale przez swoje pomarańczowe spojrzenie. Nie byłem świadkiem tego wypadku, który zapoczątkował szereg niezwykle zdarzeń. Opowiadały mi go jednak różne osoby wiarogodne, a zwłaszcza pewien profesor Czech, p. Wosnic, człowiek zadziwiający — zna prawie wszystkie języki kulturalnego świata — często w mem sprawozdaniu będę go wspominał. Czy chcecie państwo, abym wam powtórzył wszystko, co z ust jego słyszałem i co potwierdziły liczne inne osoby?

— Prosimy bardzo !

Wszyscy nadstawili uszu, z trudnością hamując swoją ciekawość.

— Tedy — ciągnął opowiadający — *Gigantic* płynął całą parą ku wybrzeżom Europy, gdy pewnego wieczora o zmierzchu warta sygnalizowała jakieś szczątki jakby barki za prawą burtą okrętu. Zaprzestano wreszcie rozmawiać o sprawie, która od dnia poprzedniego była jedynym tematem. Trzeba dodać, że na jakieś dwadzieścia godzin przedtem zaobserwowano z *Gigantic'a* rzecz dość niezwykłą, mianowicie — taki... jak to się nazywa...

— Może bolid?

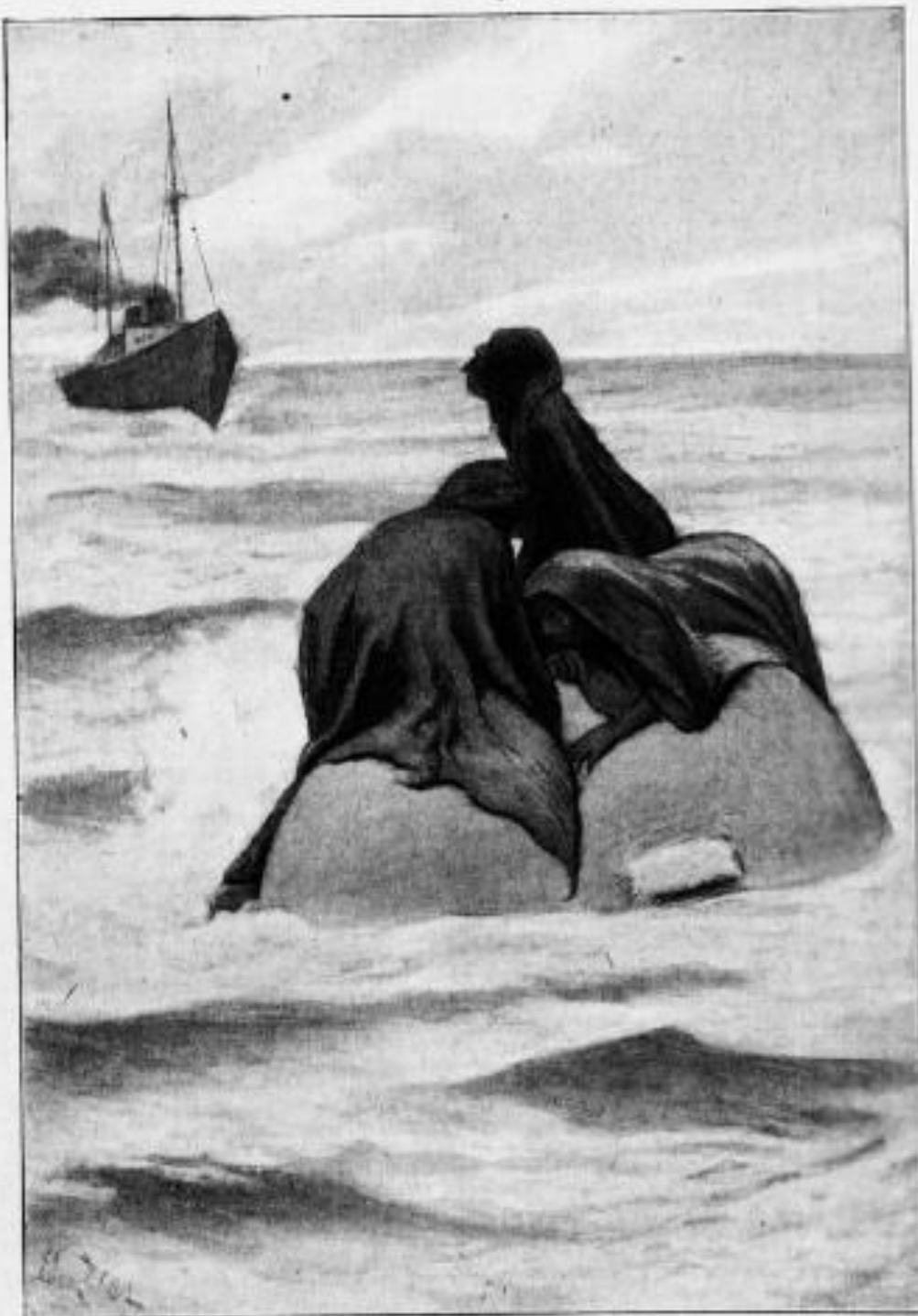
— Otóż to.

— Słyszeliśmy o tem, zjawisko to widziane było przez liczne okręty i wszystkie dzienniki o niem pisały... W przeciągu kilku dni spadło kilka takich bolidów.

— O takim bolidzie właśnie chcę mówić. Był to, rzecz można, wielki blok metalu, rozpalony do czerwoności, który padając z nieba, pograżył się w morzu, wywołując przytem silną detonację. Ale teraz wszyscy zapomnieli o tym wypadku, zajęci jedynie dostrzeżonemu szczątkami. Jedni z pasażerów przypuszczali, że to bolid unosi się na falach, inni jednak uznali to za niemożliwe, zważywszy, że rozżarzone do białości bloki skalne lub mineralne mogły tylko pójść na dno, względnie eksplodować przy zetknięciu z powierzchnią wód rozpry skując się na drobny pył.

— Tak — zgodził się Nik — tylko że nie był to zwykły bolid.

— Dobrze pan mówi. Gdy padły na tę masę promienie zachodzącego słońca, zaobserwowano, że był to blok białego **matowego** metalu w kształcie kopuły. Później dostrzeżono na wierzchołku tej wielkiej beczki rozpostarte jak gdyby ciało ludzkie. **Nie** ulegało już wątpliwości, byli to rozbitkowie, czepiający **się** kurczowo szczątków



jakiegoś statku. Nie można ich było pozostawić na pastwę losu. Okręt znacznie zwolnił biegu, poczerń spuszczone szalupę ratunkową. Wielki Boże, gdyby się ktoś spodziewał! *Gigantic* zrobiłby tysiąc razy lepiej, gdyby jechał spokojnie dalej, pozwalając tym rozbitkom utonąć w morzu.

— Dalibóg — oświadczyła pani Papacock — jestem zupełnie tego samego zdania.

— Łódź przyholowała szczątki mniemanej barki wraz z trzema ciałami. Sądono początkowo, że były to trupy, ale już, wkrótce rozbitkowie zaczęli dawać znaki życia. Wyglądali bardzo dziwnie — barczyści, wysokiego wzrostu, śmiesznie skurczeni i owinięci, jak się zdawało, w wielkie zielone płaszcze z kapturami naciągniętemu na głowy. Twarze ich były w trzech czwartych przysłonięte płótnem, jak gdyby obandażowane. Przeniesiono ich do szpitala i oddano pod opiekę lekarzom. Tymczasem marynarze wciągnęli na pokład zagadkowe szczątki. Skonstatowano wówczas, że był to rodzaj olbrzymiego i ciężkiego pocisku, zaopatrzonego w górnej swej części w mocne pierścienie, co dało możliwość wciągnięcia go przy wielkich wysiłkach na pokład.

— Tak właśnie wyobrażałem sobie tę scenę --- zaproponował Nik.

— Ho, ho! Ma pan trafną wyobraźnię. Co zaszło następnie między lekarzami, a *djabłami*, gdyż to oni byli właśnie, nikt się pewno nie dowie. Nie byle jak umiały się te potwory maskować. Nie pokazały jeszcze nikomu ani swych oczu, ani skrzydeł, ani wielkich nóg, ani czarnoksiężskich sztuczek. Wzięto ich za umarłych prawie, miano dla nich litość, podczas gdy oni podstępnie przygotowywali się do zapanowania nad nami. Mówię „nad nami”, gdyż mam na myśli nie tylko pasażerów i załogę *Gigantic'a*, a *Zaulouland*, a może i innych jeszcze okrętów. *Jeśli nie uda się ich zwalczyć, wkrótce ujarzmią całą ziemię.*

— Przesadza pan.

— Widać zaraz, że pan się do nich jeszcze nie zbliżał. Powtarzam więc, że nie wiadomo, co zaszło w szpitalu, słyszano tylko, jak jeden z lekarzy wezwał komendanta p. Dirka, który, choć znany ze swej jowialności, wracając od nich, miał minę grobową. Zdawał się tracić głowę, albo raczej robił wrażenie żołnierza, wykonującego automatycznie niezrozumiałe dla siebie rozkazy.

— To, to właśnie!

— A więc doniósł pasażerom, że rozbitkowie dotknięci są jakąś tajemniczą chorobą i że ze względów ostrożności, zmuszony jest ich izolować w kabinach, rezerwując im ponadto salę na tylnym pokładzie. Nikt nie protestował, chociaż wszyscy mieli wrażenie, że

nie mówił prawdy, jeden tylko pan Wosnic, który mnie wtajemniczył w te wszystkie szczegóły, ośmielił się rzucić okiem poza strefą dozwoloną. I wiecie państwo, co zobaczył? Oto komendant w towarzystwie oficerów mechaników oprowadzał po hali maszyn trzech *djabłów*. Teraz dopiero można było ich oglądać w całej okazałości. Byli to olbrzymi, wysokości co najmniej 2 i pół metra, a na swych wielkich, bandyckich twarzach mieli troje oczu, bardziej błyszczących niż u kota.

— Wszystko to jest jasne — rzekł Nik.

— Sądzi pan! — wykrzyknął de Vassaucourt.

— Wkrótce potem — ciągnął Delattre — komendant podał do wiadomości, że na skutek drobnego uszkodzenia maszyn zmuszony jest okręt zatrzymać, jednocześnie zapewniał, że niema najmniejszego powodu do obaw. Niebawem rozległy się uderzenia młotów, zgrzyty pił i różne hałasy, świadczące o gorączkowej pracy, światło elektryczne znacznie ograniczono, w wielkich salonach zaimprovizowano warsztaty, a załoga, posłuszna jak stado baranów, została użyta do roboty. O tajemniczej chorobie nie było już mowy.

— Wspaniale! — zawołał Nik.

— Raczej straszne — zaprotestowała pani Papacock.

— Ten piekielny hałas, zwłaszcza w nocy, był nieznośny i oburzający. Pracowano na zmianę dniem i nocą. Łatwo się domyśleć, że śmielsi z pośród pasażerów udali się z protestem do komendanta; skarga ich jednak nie odniosła żadnego skutku. Wrzący oburzeniem przed rozmową z p. Dirkiem, wracali potulni jak owieczki, chcąc się bowiem dostać do komendanta, trzeba było przejść pod poma rańczowem światłem lamp, które potwory natychmiast zainstalowały. Promienie te zabijały wszelką samodzielność myślenia; pod ich działaniem ludzie uważali za całkiem naturalne, że okręt stoi, zamiast jechać do Europy, że trzymani są, jak na pokucie w swoich kabinach i że o wszystkim decyduje trzech *diabłów*,

— W taki sposób — powiedział Nik — skonstruowano wielki projektor, helikopter i wiele innych dziwnych aparatów, posługując się zapasami metalu, nagromadzonemi na okręcie, węglem z jego składów, parą, z kotłów, siłą mechaniczną maszyn i prądem z dynamo, których kilka zdemontowano i rozebrano.

— Dalibóg, możnaby przypuścić, że pan tam byk Gdy już wielki

projektor był gotów, użyli go jakby magnesu, przyciągając drugi statek, *Ile de France*, ze wszystkimi pasażerami, wśród których i ja się znajdowałem. W międzyczasie *Gigantic* wyłowił z morza innych jeszcze *djabłów*, którzy w takichże pociskach spadli z nieba i dawali o sobie znać ognistymi racami. Zresztą byli już na pewno oczekiwani przez swych towarzyszków. Wszystko było z góry dobrze uplanowane. Ostatecznie mieliśmy nie trzech, lecz dwunastu *djabłów* nad sobą.

— A co się stało później?

— Wszystko opowiem bardzo chętnie, zwłaszcza, że sam to widziałem.

— Ale przede wszystkim — prosił p. Samary z niedowierzaniem w głosie — niech pan nam szczegółowiej opisz te dziwaczne istoty, przezwane *zielonemi djabłami*.

— Chętnie. Mówiłem już, że mają około 2'5 metra wysokości, długie nogi, wielkie, w kształcie orlich szponów stopy, pierś potężną jak miech kowalski, głowę olbrzymią, uszy duże, jak wylot waltorni, i do tego wszystkiego bardzo mały brzuch. W głowie mają troje oczu, z których jedno zazwyczaj zamknięte.

— Tak, to wiemy: zwykle ludzkie oko o blasku bladoniebieskim, drugie o blasku pomarańczowym do narzucania rozkazów, trzecie o żywej barwie czerwonej do zadawania ran, a nawet śmierci.

— Doskonale. Butelka dobrze panów poinformowała. Potwory mają skrzydła na wzór nietoperzy, ale latać nie mogą. Ułatwiają im one jedynie wstawanie, chodzenie, skakanie. Skóra potworów podobna jest do naszej, ale pokryta gęstym zielonym puszkim. Ubrania nie noszą, chyba, gdy jest bardzo zimno, lub gdy deszcz pada. Chłód znoszą łatwiej od nas jest między nimi jeden, prawdopodobnie starzec, gdyż włosy ma białe, inny zdaje się młodzieńcem, uwłosienie jego bowiem jest jasno zielone. Pozostali ciemno-zielonej barwy są w sile wieku.

— A skąd pochodzą te demony? — spytał komendant Florenville.

— Nie warto pytać — odrzekł Nik — przybyli z jedynej planety, z którą możliwe jest porozumienie.

— Robi pan wrażenie — zawołał zdumiony Delattre — takiego samego czarownika, jak tamci. Czy wiecie państwo, jak ich nazwano? To pan Wosnic wymyślił tę nazwę: *Areanthropowie*.

— *Areanthropowie* — zdziwiła się pani Papacock — cóż to

znaczy?

— Zdaje się, że po grecku to ma znaczyć ludzie z Marsa, ludzie z planety Mars.

ROZDZIAŁ XII.

PIERWSZA TRAGEDJA Z POWODU PLATYNY.

— Wszystko to bardzo ciekawe — powiedział Jerzy — ale błagam pana o wiadomości o mojej żonie.

— Już przechodzę do tego — powiedział Delattre — ale muszę przecież przestrzegać kolejności wypadków. Niech pan będzie spokojny.

— A jaki był los — zapytał komendant -- dwóch pozostałych okrętów po ich opanowaniu?

— Zostały przekształcone tak jak *Gigantic* na pływające warsztaty, w których wrzała praca nad budową nieprawdopodobnych maszyn i fantastycznych projektorów. Projektory te rzucały promienie raz widzialne, to znów niewidzialne, w celu, jak mi się zdaje, czerpania energii elektrycznej z powietrza.

— Stąd bez wątpienia — zauważył de Vassaucourt — te szczególne *zorce północne*.

— Ma pan słuszność! O, te potwory są potężne! Nie dość, że zaprzęgli do ciężkiej roboty całą załogę, zmusili również do pracy tych z pośród pasażerów, którzy byli bądź mechanikami, bądź inżynierami, elektrotechnikami, lub chemikami. I ja znalazłem się w ich liczbie.

— Czy mógłby pan podać dokładny opis cudownych aparatów, w których budowie brał pan udział?

— Niestety nie, gdyż nie mam wykształcenia teoretycznego. Ten brak przygotowania zawsze mi przeszkadzał. Zresztą *djabły* używały zwykłych maszyn do wytwarzania poszczególnych części cudownych aparatów, do montowania zaś ich nikt z nas nie był dopuszczany. Mogę tylko oświadczyć panom z całą pewnością, że są oni mądrzejsi od naszych najwybitniejszych uczonych, i że mogą

rozkazywać nie tylko żywiolom, jak to zwykło się mówić, ale prawdopodobnie jakimś fluidom, których istnienia nikt z nas nawet nie podejrzewa. W każdym razie robią oni co zechcą z elektrycznością i ciągną z niej o wiele więcej korzyści od nas. Jestem przekonany, że gdyby taka była ich wola, mogliby zniszczyć wszystkich mieszkańców Ziemi, o tyle niższej pod względem kultury od Marsa.

— Jeszcze jedno pytanie — zagadnął z miną pedanta doktor Delacour. — Niech sobie będą ci intruzi Marsjanami, czy Areanthropami, mniejsza o to, ale jaki ma pan istotny dowód, że pochodzą oni z wojowniczej planety?

— Powiedzieli nam to sami.

— Więc mogliście się z nimi porozumiewać?

— O, co do mnie, to bardzo mało. Ale pan Wosnic dość prędko opanował ich przekłętą język. Zresztą, zorganizowali oni kurs języka areanthropicznego, posługując się przy wykładach aparatem kinematograficznym. Pokazywali nam jakiś przedmiot na ekranie, a jednocześnie profesor, jeden z djabłów, wymawiał jego nazwę. Ja niewiele się nauczyłem, pan Wosnic jednak wkrótce już mógł z tymi bandytami swobodnie rozmawiać i służyć im za tłumacza. Pani de la Blanchere również posiadała ich mowę.

— Chętnie w to wierzę — powiedział Jerzy.

— Tak samo panna Milburne.

— Nie dziwi mnie to — oświadczyła pani Papacock.

— Z drugiej strony jeden z Marsjan nauczył się dość prędko angielskiego i francuskiego. Podczas jednego z seansów zademonstrowano nam na ekranie system słoneczny ze wszystkimi planetami. Pamiętam to dokładnie: najbliżej słońca był Merkury, później Venus, a następnie Mars. W tem miejscu profesor kilka razy pokazał na planetę i na siebie. Nazywają swój przekłętą glob *Zzag-fouff*, to znaczy, ziemia pragnąca a nasza planeta ma u nich miano: *Trautt-pix-fouff* — innem słowy: ziemia wilgotna i barbarzyńska. Słońce nazywają: *Lluzz-fouff-tek*, czyli promienny ojciec wszystkich planet.

— Staje się to coraz ciekawsze — powiedział pan de Vassaucourt, notując usłyszane wyrazy.

— Cóż on jeszcze mówił?

— Ze jesteśmy istotami niedoskonałymi, czemś w rodzaju gadających zwierząt, gdy tymczasem Areanthropowie posiadli głęboką wiedzę i mądrość. W porównaniu z Marsjanami, którzy są już u szczytu cywilizacji, ludzkość na ziemi jest jeszcze w powijakach. Wszystkie te nonsensy tłumaczył nam i wyjaśniał pan Wosnic.

— Większość słuchaczy zapewne niewiele rozumiała z tych konferencji.

— Oczywiście, niektórzy nawet zasypiali i chrapali, wówczas mówca Marsjanin obrzucał ich spojrzeniem strasznego, czerwonego oka, było to jak gdyby uderzenie w twarz, które natychmiast budziło śpiochów.

— Bardzo to pomysłowe, ale według relacji panny Milburne — zauważył doktor Samary — ze strony pasażerów *Zoulouland'a* zdarzały się gorące protesty, a nawet zamachy na życie Marsjan, jest to dla mnie niezrozumiałe wobec potęgi ich wzroku.

— Tłumaczy się to tem, że trzecie oko, zabójcze dla jednego przeciwnika, tłumowi szkodzi niewiele. W dodatku siła magnetyczna, dzięki której mogą wzrokiem zabijać, wyczerpuje ich nerwowo, wobec czego nie mogą jej nadużywać bez szkody dla siebie. Co zaś do promieni pomarańczowych, są one nieprzemienne, ale tylko wówczas, gdy padają wprost na ofiarę. Zresztą pewne substancje, jak np. kauczuk, neutralizują ich działanie. Podaję te szczegóły na odpowiedzialność p. Wosnica, gdyż sam nie odkryłem lego.

— Czy mi się zdawało — powiedział pan Delacour — że wspominał pan o innych jeszcze buntach, które się wiążą z tak zwanymi platynowemi tragedjami?

— Istotnie. Wielu nas, mechaników i metalowców, uderzył niezwykle wygląd pocisków, w których te zawałidrogi przybyły na naszą Ziemię. Nietrudno było nam się przekonać, że była to platyna a więc metal, licząc skromnie, cztery razy droższy od złota. Również z platyny była większość narzędzi i przedmiotów, sprowadzonych przez *djabłów* z ich planety. Należy sądzić, że mają poddostatkiem tego metalu tak rzadkiego na Ziemi. Kazano nam piłować te pociski na czysto, przyczem okazało się, że nie są one z czystej platyny, j byłyby bowiem zbyt ciężkie. Platynowa była tylko zewnętrzna powłoka, reszta zaś, główna masa, była z innego nieznanego u nas metalu, równie twardego, jak żelazo, ale o wiele lżejszego. Naturalnie

nazwaliśmy go *Martium*. Djabły używały obu tych metali do swych przeklętych maszyn elektrycznych, na których nikt z nas się nie znał.

— Widzę już, do czego pan zmierza — odezwał się Nik.

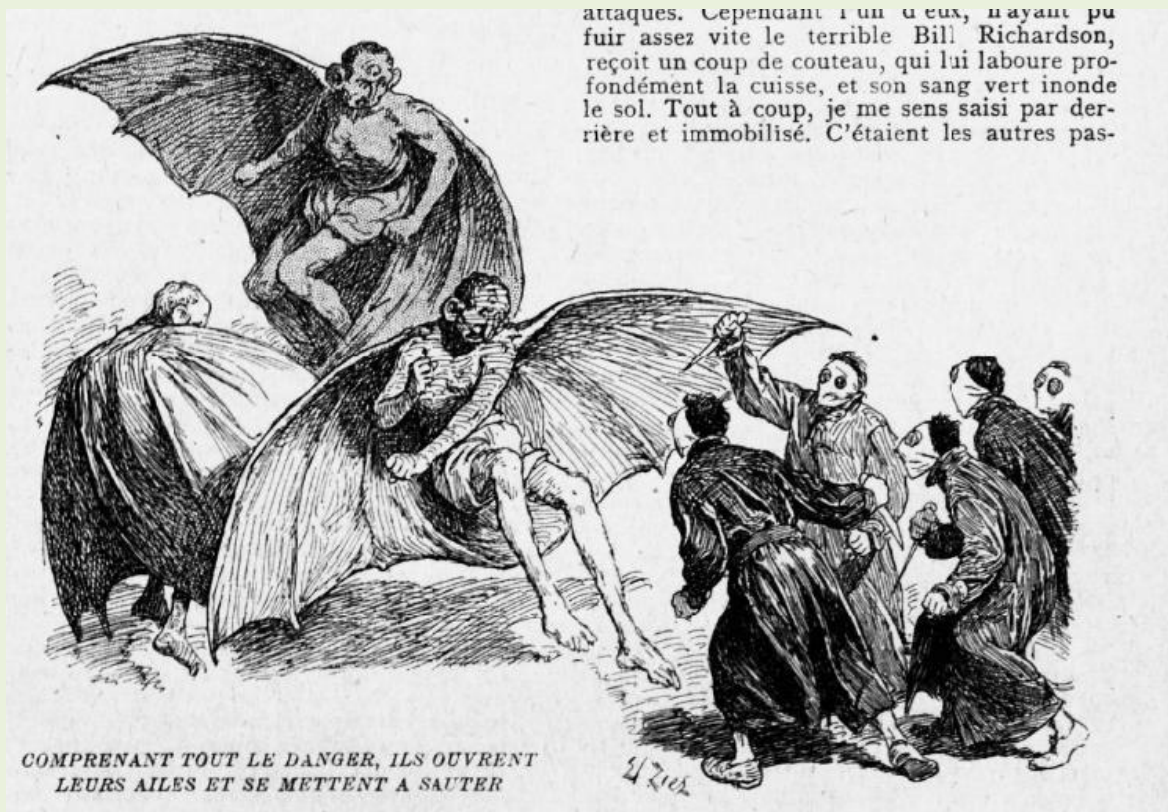
— Właśnie. Otóż trzeba państwu wiedzieć, że na *Ile de France* był wraz ze mną jeden z moich przyjaciół, niejaki James Stillford, Anglik, który znowu spotkał na *Gigantic'u* towarzyszków swej młodości. Pracowaliśmy wszyscy pod rozkazami *djabłów* i inżynierów, całkowicie im oddanych, Udało się nam trzymać razem i stanowiliśmy garstkę gotowych na wszystko ludzi. Pewnego wieczora James zebrał nas i powiada: „Towarzysze, czy nie znudziło wam się orać jak bydłota? Czas już uwolnić się z tego jarzma i za jednym zamachem zdobyć majątek. Czy wiecie, jaka jest wartość platyny? Jest jej tutaj za miliony, a nawet za miljardy. Zbuntujmy się i zamordujmy *djabłów*! Co do mnie, doskonale władam nożem. Jest to broń najwygodniejsza! Przekłuję każdego w kilku miejscach, bo nie wiem przecież, gdzie takie potwory umieszczone mają serce. Sprzedamy całą tę platynę i wszyscy będziemy bogaci”. — „Nieszczęsny — powiadam mu — chcesz ich zabić?” — „Ba — mówi na to — cóż takiego, przecież to nie ludzie, co najwyżej uczone małpy”. — „Ależ ostatecznie, nie zrobili nam niczego!” — „Jakto? Tyranizują nas i wyzyskują! Zresztą mogli siedzieć spokojnie u siebie”. — „Spiorunują nas swem czerwonym okiem i swerni pomarańczowymi promieniami”. — „Wcale nie. Zauważyłem, że te promienie nie przenikają ani kauczuku, ani czarnego szkła; owiniemy się więc w gumowe płaszcze, na twarze nałożymy maski i okulary”. — „Hurra! — krzyknął głucho Bill Richardson, istny Herkules, znakomity bokser z Chicago — więc zgoda”. — „Zgoda, na Jowisza!” Nie popierałem tego niebezpiecznego go planu, ale Stillford zdołał zupełnie uspić moje skrupuły i obawy. W największej tajemnicy poczyniliśmy niezbędne przygotowania, później wyczekaliśmy sprzyjającego momentu, który nadarzył się wkrótce.

— Czy pomiędzy pańskimi sprzymierzeńcami nie było pewnego Pablo Saltillo, Meksykanczyka?

--- Owszem, skąd pan wie ?

--- Później wyjaśnię.

— Jeśli pan sobie życzy... Widzę, że nie należy się niczemu już dziwić. Byli jeszcze z nami niejacy Manuel Garrulos i kubańczyk



Rafael Mires. Wybraliśmy chwilę, w której wszystkie djavły zgromadziły się wokół nowej maszyny elektrycznej, chcąc ją wypróbować. Wydobywały się z niej dziwne iskry, coś w rodzaju języczków niebieskawego płomienia, przyczem rozlegał się głośny trzask. Skorzstaliśmy z ich odwróconej od nas uwagi, czempędzej nałożyliśmy gumowe płaszcze i maski i z nożami w rękach rzuciliśmy się na Areanthropów. Natychmiast zaczęli nas bombardować promieniami ze swych czerwonych oczu, ale bez skutku. Widząc to niepowodzenie i rozumiejąc niebezpieczeństwo, rozwinęli skrzydła i zaczęli skakać to tu, to tam, jak wielkie kury, unikając w ten sposób naszych ciosów. Jednakże straszny Bill Richardson zdołał dopaść jednego z nich, raniąc go głęboko w udo, co wywołało obfity, zielony krwotok. Nagle uczułem, że ktoś mnie chwycił z tyłu i obezwładnił. Był to atak pasażerów, którym djavły rozkazały swem pomarańczowym spojrzeniem wszystkich nas unieszkodliwić. Podobny los spotkał Manuela Garrulos. Bill Richardson i James Stillford oparli się o siebie plecami, aby stawić czoło niebezpieczeństwu z obu stron jednocześnie. To samo uczynili Saltillo i Mires. Nie przewidzieliśmy, że te potwory, nie mogąc nas uśmiercić trzecim swem okiem, będą w stanie pokonać nas rękami

naszych braci.

— Nigdy nie można wszystkiego przewidzieć.

— Mieliśmy za to drogo zapłacić. Jeden z Marsjan na próżno raził nas pomarańczowymi promieniami projektora, byliśmy odporni, ale nagle, najzłośliwszy z pośród nich wraca ku maszynie elektrycznej, kieruje ją na nas, naciska kilka guzików i sprężyn i oto szatański mechanizm, na wzór miotacza ognia, wyrzuca płomieniste kule na Stillforda i trzech jego, towarzyszków. Słyszeliście państwo zapewne o kulistym piorunie. Było to coś w tym rodzaju, tylko na małą skalę. Te kuliste iskry przemknęły przez dziurki od guzików w gumowych płaszczach i eksplodowały pod ubraniem. Zelektryzowani spiskowcy padli bezwładnie na ziemię. Przeniesiono ich do szpitala, Manuela Garrulos zaś wraz ze mną zamknięto w areszcie.

— I to właśnie — zakonkludował Nik nazywa pan pierwszą platynową tragedją?

— Tak, druga była o wiele straszniejsza.

ROZDZIAŁ XIII.

DRUGA TRAGEDJA Z POWODU PLATYNY.

— Jest pan z pewnością zmęczony — powiedział doktor Samary — trzeba trochę odpocząć.

— Jestem głodny — westchnął Delattre.

— Może pan się cokolwiek posilić. W tym stanie wycieńczenia organizmu musimy pana odżywiać bardzo ostrożnie.

— Co to za przyjemność wrócić do dawnych, smacznych potraw. Nie mówiłem jeszcze państwu, że trzy okręty, pozostawione same sobie na morzu, posiadały bardzo nieznaczne zapasy żywności. Otóż *djabły* natychmiast zorganizowały wytwórnię skondensowanych odżywczych past i eliksirów, których jeden gram mógł zastąpić kilo mięsa. Produkowali również skoncentrowane ekstrakty, których jedna kropla starczyła za cały obiad.

— O, to bardzo ciekawe — zauważyli obaj lekarze.

— Ale te pasty i eliksiry były ckliwe do obrzydliwości. W obawie śmierci głodowej trzeba było się zadowolić temi chemicznymi związkami, których składniki czerpano z powietrza i wody morskiej. Mogę panów zapewnić, że na samą myśl o dobrym befsztyku z kartoflami, lub soczystym rozbefie, wpadałem w czarną melancholję. Na domiar złego nasi tyrani trzymali pod kluczem wszystkie wina i likiery.

— Będzie się pan znowu rozkoszował temi smakowitemi rzeczami. Ale proszę opowiadać dalej.

— Siedziałem tedy w celi razem z Garrulosem. Pozostali spiskowcy, rażeni pociskami elektrycznej maszyny, nie zginęli, jak się tego obawiałem, lecz tylko na krótko stracili przytomność. Niebawem połączyli się z nami w areszcie. Natychmiast prawie postawiono nas przed trybunałem wszystkich *djabłów*. Najstarszy z nich, ten, który miał owłosienie prawie białe, przewodniczył, najmłodszy, ranny przez nas, był nieobecny.

— Czy nie było między nimi djablicy?

— Nie, te potwory nie posiadają towarzyszek. Zdaje się to być dla nich źródłem wielkiego szczęścia i błógiego spokoju.

— Impertynent! — wykrzyknęła pani Papacock.

— Stokrotnie przepraszam! Powtarzam tylko to, co oni sami mówili p. Wosnicowi. Wróćmy jednak do trybunału. Muszę wyznać, że nie byliśmy zbyt pewni siebie, stając przed nim. Pan Wosnic służył za tłumacza. Wszyscy pasażerowie, oficerowie i marynarze otoczyli nas kołem.

„Nędznicy — przemówił stary Marsjanin — chcieliście nas zamordować i ukraść metal, który u was zdaje się być bardzo ceniony. Zawiniliście zatem podwójnie, tem bardziej, że z naszej strony nie spotkało was nic złego. Przybyliśmy na Ziemię, aby przez naukę ją odrodzić i dać ludziom więcej szczęścia. Ale teraz widzimy, że mieszkańcy Ziemi są większymi barbarzyńcami, niż przypuszczaliśmy, i nie zasługują na to, aby być szczęśliwymi, skoro sami ściągają na siebie zły los. Musicie umrzeć i nie jest wykluczone, że zniszczymy całą rasę ludzką, aby zastąpić ją przez naszą. Z waszej to winy staniemy się odtąd okrutni i nielitościwi, z waszej winy zagłada spotka waszych braci, naczelne bowiem prawo natury każe, aby istota niższa ustąpiła miejsca wyższej. Przygotujcie się na śmierć.

Skończyłem.

— To było kategoryczne.

— Tak, te stworzenia nie bawią się w krasomówstwo i mają je w pogardzie. Wszystko mówią bez ogródek, nie są bynajmniej czułościwymi. Z dziedziny uczuć znają tylko, przyjaźń, miłość ojcowską i synowską. Są lojalni, wierni i bezinteresowni. Są jednak sprawiedliwi,

— A więc uważa pan, że sprawiedliwie skazali was na śmierć?

— Przyznaję, żeśmy na nią zasłużyli. Nikt zresztą nie śmiał wziąć nas w obronę, nawet p. Wosnic, człowiek bardzo dobry, ale bojaźliwy. Wówczas panna Milburne...

— Kochana kuzynka! — zawołał Nik.

— ...śmiało podeszła i odezwała się mniej więcej w te słowa:

— Czcigodny ojczy, ludzie ci istotnie bardzo zawinili i zasługują na karę. Ludzkość jest bardzo niedoskonała, ale na naszym globie znamy rzecz piękniejszą niż sprawiedliwość — miłosierdzie. Sprawiedliwie jest czasem ukarać, ale piękniej niekiedy przebaczyć.

— Tak jakbym ją słyszała — rzekła pani Papacock.

— Ludzie ci — mówiła panna Milburne — całe życie cierpieli nędzę, co na tym świecie zdarza się często i prowadzi do złego. Chcieli ukraść i zabić. Ale wy sami, czyż nie zabraliście tych trzech statków, które należą przecie do *ziemian*. Wprawdzie, nie pozabijaliście nas, ale trzymacie w niewoli, nie pozwalając połączyć się z ludźmi nam drogimi, co sprawia nam większe cierpienia, niż śmierć. Nie zgadzam się zresztą, aby cała ludzkość była zła, w olbrzymiej większości składa się ona z jednostkami dzielnych i należy raczej brać pod uwagę jej dobre uczynki, niż grzechy. Proszę o łaskę dla tych sześciu ludzi!

— Dziwne dziecko z długimi włosami — odpowiedział stary Areanthrop (w ten sposób zwykle nazywali kobiety) — niezwykle i może głębokie usłyszałem od ciebie słowa. Z całym oddaniem opiekowałaś się moimi rannymi braćmi. Na skutek twej prośby i przez szacunek dla ciebie, chcą darować życie tym zbrodniarzom. Oto mój wyrok: należy puścić ich na morze w łodzi wraz z kawałkiem owej platyny, której tak pożądamy, i z zapasem prowiantów na dwa dni. Jeśli spotkają jakiś okręt, będzie to ich szczęście. Co się tyczy ludzkości, zgadzam się odroczyć jej zagładę, a nawet nie-

wolę, jeśli jednakże raz jeszcze przekonam się, że jest do gruntu zepsuta, wielkie prawo Postępu i Rozwoju zatriumfuje. Skończyłem.

— Widzicie — wtrąciła pani Papacock — że i kobiety mogą się na coś przydać.

— Nigdy temu nie przeczyłem. Podziękowaliśmy gorąco pannie Milburne, los nasz jednak w dalszym ciągu nie był do pozazdroszczenia. Wsadzili nas na łódź, którąście państwo widzieli, dano nam niewielką ilość ekstraktów odżywczych i, jakby na szyderstwo, kawał platyny, wagi około 15 kilo. Ponadto każdy z nas miał w kieszeniach drobne przedmioty z tegoż metalu, a więc śrubki, płytki i ułamki, których nam nie odebrano.

— Było was więc sześcioro — powiedział komendant. — Odnaleźliśmy ciało Pawła Saltillo, co się stało z pozostałymi?

— Ach to straszna historja! — ciągnął Delattre ponuro — Drzę jeszcze na samo wspomnienie. Postawiliśmy maszt, zaciągnęliśmy jaki taki żagiel, ale wiatr był niepomyślny i oddalał nas od drogi, po której kursują okręty transatlantyckie. Zwinęliśmy więc żagiel i czekaliśmy lepszego losu, wszyscy w bardzo kwaśnych humorach. Nagle Bill Richardson zaklął i rzekł do Jamesa szyderczym tonem: „Doprawdy, przyjacielu, wciągnąłeś nas w głupią historję. Aby sądzić, że nam się uda tak łatwo wymordować *djabłów*, trzeba być wielkim głupcem”. „Może być — odciął Stillford — ale nie podoba mi się uwagi takiego rzeźnika jak ty”. Przy tych słowach Bill rzucił się na James’a z pięściami. Ten począł się bronić, że był jednak słabszy od swego przeciwnika, chwycił drąg żelazny, który zauważył na dnie łodzi i śmiertelnie ugodził nim Bill’a w skroń. Bill, padając, zdążył jeszcze chwycić James’a za rękę i obaj stoczyli się do morza, ginąc bez ratunku.

— Okropne! — wykrzyknął de Vassaucourt.

— Mores i Garrulos wstrętne się uśmiechnęli i zaciążyło nad nami długie milczenie. Jeszcze nie minęła godzina, gdy te dwie kanalje biorą na stronę Pawła Saltillo, mówiąc: „Biedny Pawle, nie miałeś szczęścia, pozwoliłeś się niezbyt chlubnie obezwładnić w walce, nic możesz więc uczestniczyć w podziale platyny”. — „Na Boga! — wykrzyknął Meksykańczyk — a czyż wy nie zostaliście rozbrojeni przez *djabłów*?“ — „To nie to samo — myśmy padli z bronią w rękę, jak gdyby zelektryzowani. Jesteśmy walecznymi

żołnierzami, a ty jeńcem wojennym, który nie ma prawa do niczego". — „To jeszcze zobaczymy — ryknął Paweł, starając się pochwycić cenny metal, lecz tamci zasypali go gradem ciosów, a gdy omdlał, wyrzucili za burtę.

— Cóż za obrzydliwa scena — wzdrygnął się Nik.

— A ty — pyta mnie słodkim głosem Mores — nie rościsz pretenzji do swojej części? — Ja mu na to: „Mam skromne upodobania i bogactwo wcale mnie nie nęci. Jedyne moje życzenie, to powrócić do ojczystego kraju i wziąć się na nowo do rzemiosła, które mi da środki do życia. Zostawiam wam cały ten cenny metal, nie potrzebuję go". — Masz rację — rzekł Mores.

Wiatr się odwrócił, dał teraz w pożądanym kierunku. Zaciągnęliśmy żagiel, ale, że był źle umocowany, ciągle opadał. Umieraliśmy z głodu, gdyż w czasie tragicznych walk butelka i pudełko z ekstraktami odżywcze wpadły do morza. Nadto omdlewa- liśmy ze zmęczenia i dokuczało nam zimno. Nikt nie odważył się zasnąć w obawie, że będzie uduszony, albo wrzucony do morza podczas snu. Mijały dni nieskończenie długie. Wszyscy trzej byliśmy bliscy szaleństwa. „Zdaje mi się — rzekł Garrulos — że widzę dym na horyzoncie. Zapewne jakiś okręt, możemy być uratowani. Spójrzno, Mores. Ty masz oczy lepsze ode mnie". Mores stanął na palcach na przodzie łodzi, zasłonił sobie oczy ręką, wychylił się i patrzył. Wówczas Garrulos, zebrawszy resztki sił, uderzył go silnie głową w plecy. Mores wpadł do morza, ale jako wyborny pływak, usiłował natychmiast wrócić do łodzi. Wczorajszy jego przyjaciel strasznymi ciosami bosaka w głowę zepchnął go w odmętę.

— Więc został pan sam z Garrulosem?

— Tak. To sam na sam nie było zbyt przyjemne. Garrulos patrzył na mnie dziwnym wzrokiem. Zdradzał już początki pomieszania zmysłów. — „A więc to prawda, przyjacielu, że nie chcesz już swej części łupu?" — „Najzupelniejsza prawda". — „Masz rację, pieniądze nie dają szczęścia, jaką to może mieć wartość?" — „Około stu tysięcy dolarów". — „Jesteś tego pewien?" — „Najpewniejszy". — „Mój stary Michale, mam dla ciebie wiele sympatji, gdybyś wpadł kiedy w nędzę, wezmę cię do służby, będziesz mi czyścił buty". I wybuchnął śmiechem. Później długo i z rozczuleniem oglądał kawał platyny. Wreszcie podniósł go i kołysał na rękach, jak dziecko, nucąc



coś pod nosem. Najwidoczniej stracił rozum. Wtem nagły poryw wiatru targnął łodzią. Garrulos niezbyt mocny w nogach, pociągnięty przez ciężar platyny, runął do morza i odrazu poszedł na dno, nie rozstając się ze swym skarbem.

— Nie żałował pan jednego, ani drugiego.

— Przyznam się, że nie. Ta przeklęta platyna zdawała się sprowadzać śmierć. Rozciągnąłem się w łodzi, konając z pragnienia i głodu. Nadmiar złego, burza złamała maszt i porwała żagiel. Patrząc w niebo, widziałem ciągle znienawidzone odbłaski, prześladowające mnie i jak gdyby wzywające ku tym wszechpotężnym

potworom. Wreszcie zupełnie straciłem przytomność. Później zostałem przez partów dostrzeżony, uratowany i oto jestem pełen wdzięczności za waszą dobroć!

— Co pan myśli o tem wszystkim? — zapytał Nik komendanta.

— Znając ludzi — odrzekł pan Florenville — obawiam się strasznego zatargu z tymi Areanthropami. Przewiduję rzeczy okropne.

W tej chwili warta sygnalizowała pancernik, który zdawał się zmierzać ku *Franche-Comte*.

ROZDZIAŁ XIV.

ŚLADAMI MARSJAN.

Łatwo się domyśleć, że pasażerowie *Franche-Comte* nie ukrywali przed światem tych sensacyjnych rewelacyj. Jerzy de la Blanchere przesłał natychmiast zdumiewające nowiny drogą telegraficzną do dzienników, z którymi była zawarta umowa. Dzienniki te niezwłocznie zaspokoili namiętną ciekawość swych czytelników, podając pierwsze wiadomości o zaginionych. Z westchnieniem ulgi przyjęto wieść, że wszyscy jeszcze żyją i że nie grozi im chwilowo żadne niebezpieczeństwo. Jednocześnie wzrosło pragnienie ujżenia utracony bliskich i opinia publiczna tern silniejszy zaczęła wywierać nacisk na rządy, aby nieszczęśliwych podróżnych wyrwały wreszcie z niewoli strasznych *zielonych diabłów*. Władze trzech zainteresowanych państw obwieściły, że przedsięwzięto środki, jakich wymagają okoliczności, i że pancerniki udały się już na miejsce tajemniczych wypadków na Atlantyku. W istocie, okręty wojenne wypłynęły, z dużym jednak opóźnieniem, głównie z powodu ładowania na nie w ostatniej chwili wielkiego zapasu gumowych płaszczy, mających zabezpieczyć załogę przed działaniem pomarańczowych promieni.

W Anglii i w Stanach Zjednoczonych zakładano się o duże sumy co do rezultatów ekspedycji. We Francji dzienniki ogłaszały konkursy i ankiety, wyznaczając wysokie nagrody. Wszyscy oczywiście komentowali na swój sposób wiadomości prasowe. Astronomowie dowodzili ścisłości swoich hipotez co do życia na Marsie i wyjaśniali profanom rację bytu osobliwych cech mieszkańców tej planety. Najwięcej godne uwagi i najciekawsze były bezwątpienia artykuły pana Mariona w *Epoce*.

„Nie zapominajmy — pisał znakomity astronom — że chociaż Mars bardzo przypomina Ziemię, różni się przecież od niej pod wielu względami. Na tym o wiele mniejszym od naszego globie siła ciężenia jest znacznie mniejsza, dlatego to Marsjanie są wielcy, rośli i zaopatrzeni w skrzydła, które być może pozwalają im u siebie latać. Podlegając u nas znacznie większej sile dośrodkowej, czują się źle i są ociężali, jak ludzie, którym skrępowano ręce i nałożono ołowiane buty, albo zbroję średniowieczną, krępującą ruchy. Zato większa gęstość powietrza na ziemi stwarza lepszy punkt oparcia dla ich skrzydeł. Natomiast dokuczają im wysoka temperatura naszego globu, znacznie wyższa niż na Marsie.

„Cudowne wynalazki, o których nam donoszą, nie powinny nas dziwić, gdyż obserwacje astronomiczne od dawna kazały się domyślać u Marsjan potężnej wiedzy i wyższej niż nasza cywilizacji. W istocie ich planeta w porównaniu z naszą jest o wiele starsza; wówczas, gdy tamta jest w wieku dojrzałym, ziemia przeżywa okres dzieciństwa. Stąd wniosek, chociaż słaba to dla nas pociecha, że Mars przypuszczalnie zaniknie na wiele tysiącoleci przed naszym globem.

„To bodaj daje odpowiedź na dręczące pytanie, w jakim celu mieszkańcy jego do nas przybyli.

„Pragną oni na ziemi założyć swoją kolonję, jak to niejednokrotnie astronomowie przepowiadali. Ziemia młodsza, piękniejsza, bogatsza, pełna zieleni, z rozległymi morzami, rezerwuarami życia, obfitującymi w sole, wodór, tlen i tysiące innych bogactw. Ziemia z pięknymi rzekami i unoszącymi się w powietrzu obłokami jest rajem w porównaniu z zimnym zawsze Marsem.

„Marsjanie mają u siebie wieczną suszę, w miejsce oceanów olbrzymie bagna, czerpiące wilgoć z topniejących śniegów i lodów biegunowych. Ziemia jest dla nich jednym wielkim kwitnącym ogrodem, budzi w nich uwielbienie podobne do tego, jakie odczuwa umierająca z pragnienia karawana w pustyni na widok oazy z cienistymi palmami i źródłem krystalicznej wody. Nie mamy powodu do obaw ze strony tych nieoczekiwanych gości. Nie wierzę, aby nasza zagłada była ich celem. Sądząc z tego, co nam donoszą, chcieliby raczej nas wykształcić i odrodzić, podnieść do swego poziomu, używając w razie potrzeby nawet przemocy. Nie oburzajmy się zbyt pośpiesznie na imperjalizm i ucisk, nie uważajmy się przedwcześnie za skazanych na niewolnictwo! Chociaż bardzo różne od nas, istoty te nie są ani drapieżnymi, ani dzikusami, przeciwnie, nie tylko w przerośni, ale i faktycznie stoją od nas o całe niebo wyżej. Niebezpieczeństwo tkwi w tem, że nie mając naszej wrażliwości i naszych nerwów, mogą nas źle rozumieć. Sądzę, że, postępując łagodnie i z całym spokojem, moglibyśmy żyć z nimi zgodnie i korzystać z ich cudownej wiedzy. Przeciwnie, traktując ich niesprawiedliwie, obraźliwie, zaczepnie i z okrucieństwem, wywołałyśmy wojnę na śmierć i życie, w której zostaniemy pobici i wprost unicestwieni. Wyobraźcie sobie starcie chłopów, uzbrojonych wyłącznie w pałki, z oddziałami wyborowego żołnierza,

zaopatrzonego w karabiny, armaty, granaty, rewolwery, gazy trujące i w to wszystko, co zły genjusz człowieka wynalazł dla mordowania bliźnich. Wynik takiej bitwy nie może być wątpliwy. Wezwijmy tedy na pomoc całą naszą rozwagę i mądrość, aby zwycięsko przetrwać ten straszny zwrot w historii Ziemi".

Niewielka tylko garstka inteligentnych czytelników zrozumiała i oceniła całą doniosłość tych mądrych rad. Ogół w myślach, zawartych w artykule pana Marioria, widział tylko przesadę i bojaźliwość starego uczonego. Ludzie ograniczeni patrzyli na *zielonych djabłów* jedynie jak na dzikie bestje, mądrzejsze i straszniejsze od nich. W cudowne, wynalazki nikt nie wierzył, biorąc opowiadania o nich za wymysł i fantazję ludzi, wyprowadzonych z równowagi umysłowej przez wzruszenie i strach wobec nieznanego niebezpieczeństwa.

— Wszystko to tylko dziennikarskie brednie — mówiono.

— Kilka pocisków; armatnich uwolni nas od tego uskrzydłonego robactwa.

Niestety, w razie bombardowania *Gigantic'a*, *Ile de France* i *Zoululand'a* *wystawieni* byliby na większe niebezpieczeństwo pasażerowie i załoga tych męzczyźni, kobiety i dzieci byli statków, niż Marsjanie. Ci mężczyźni, kobiety i ich zakładnika mi i najlepsza obrona. Znalezienie sposobów obejścia tej przeszkody było największą troską dowództwa pancerników, przybyłych na miejsce, skąd widoczne były *zorce północne*. Komendanci statków; francuskiego, amerykańskiego i dwóch angielskich zebrali się na naradę, celem ustalenia sposobu postępowania, ale zaraz na wstępie wynikło nieporozumienie na tle przewodniczenia w radzie. Anglia, która wysłała dwa okręty, gdy inne państwa tylko po jednym, rościła pretensje do kierowania ekspedycją w charakterze władczyni mórz. Stany Zjednoczone i Francja nie mogły się pogodzić z myślą podporządkowania się Anglii. Na szczęście skonstatowano, że dowodzący pancernikiem angielskim komendant Maxwell jest najstarszy wiekiem. Wobec tego został on powołany na głównodowodzącego admirała sprzymierzonej floty. Rada po długich dyskusjach, na skutek wiadomości radiotelegraficznych, zdecydowała dotrzeć do okrętu *Frache-Comte*, ażeby przesłuchać naocznego świadka niezwykłych wypadków, Michała Delattre, i

odczytać notatki panny Milburne. Oto dlaczego cztery pancerniki udały się na poszukiwania okrętu, na którym znajdowały się znane nam już postaci powieści.

Spotkanie było pełne kurtuazji ze stron obu. Komendanci pancerników powołali do Rady kapitana Florenville, Jerzego de la Blanchere, Nika Azard'a i pana de Vassaucourt, wszystkich z głosem doradczym. Pani Papacock nie dostała tego zaszczytu, co ją wielce oburzyło.

Co robić, jak opanować *djabłów*, nie narażając na niebezpieczeństwo ich więźniów?

— Bombardowanie jest oczywiście wykluczone — rzekł komendant angielskiego pancernika *Lewiatana*, pan Griffiths.

— Blokada wydaje mi się jedynym wyjściem — oświadczył komendant amerykańskiego pancernika *Wolność*, pan Stephenson.

— Tylko, że nie będzie ona skuteczną — dodał komendant francuskiego pancernika *Lazare-Carnot*, pan de Mirmont. — Te istoty żywią się skoncentrowanymi ekstraktami, które dobywają z powietrza i wody. Głodem ich nie weźmiemy, a w najlepszym razie zagłodzimy przeciw ich ofiary.

— W każdym razie — wtrącił kapitan Florenville — będzie można mieć ich na oku i unieruchomić. Nie sądzą chyba panowie, że pozostaną oni zawsze na pełnym morzu. Z chwilą, gdy ich maszyny i aparaty będą gotowe, udadzą się prawdopodobnie w kierunku jednego z kontynentów.

— Dlaczego — zapytał Nik — nie mielibyśmy spróbować porozumienia z nimi przy pomocy radja.

— Wiesz przecie dobrze — zauważył Jerzy — że ich promienie pomarańczowe neutralizują fale Hertza, a co najmniej psują aparaty i czynią je bezużytecznymi.

— Tak, ale to dlatego, że sami tego chcą. Jestem przekonany, że jeśli dowiedzą się o naszym zamiarze skomunikowania się z nimi, chętnie nas wysłuchają i odpowiedzą.

— A więc spróbujmy ! Na razie jedziemy ku nim i co ma się stać, niech się stanie.

Pięć statków zdecydowanie skierowało się w stronę „zorzy północnej”, która była im drogowskazem. Pędziły całą parą ku strasznej zagadce, o której rozwiązanie nikt jeszcze dotąd nie śmiał

się pokusić. Wszyscy dla bezpieczeństwa nałożyli gumowe płaszcze z kapturami i maski.

Była już późna noc. Im bardziej zbliżano się ku, tak zwanej przez Nika, djabelskiej eskadrze, światła stawały się żywsze i bardziej natężone. Odróżniano już refleksy czerwone, błękitne i fioletowe.

Niebawem pierwszy brzask perłową bielą, a po chwili subtelną różowością złagodził obce i jaskrawe blaski. Tysiące oczu przez zadymione, dla przeciwdziałania szkodliwym promieniom, lunety, badało horyzont z trwożliwą ciekawością, a serca były szybciej pod wpływem niepokoju i niecierpliwości.

Nagle ktoś krzyknął: „Widzę ich !”

Istotnie, w kilka chwil później wszyscy ujrzeli okręty.

Dwie radjodepesze.

Stały w szeregu, a najbliższy zdawał się być *Gigantic*. Po dokładniejszej obserwacji zauważono, że wszystkie są w ruchu.

Z pełną szybkością płynęły na wschód, a więc ku wybrzeżom Francji.

ROZDZIAŁ XV.

DWIE RADJODEPESZE.

Wypadki, które zaszły od tej chwili, należą już do historii. Rozgłoszone i komentowane we wszystkich językach świata, nie były wprawdzie podawane w wątpliwość, ale przeistaczano je na wszelkie możliwe sposoby. Wydaje nam się tedy celowem podanie na tern miejscu kilka wyjątków z dziennika okrętowego, prowadzonego ze znajomością rzeczy przez komendanta *Franche-Comte*, przy współpracy Jerzego de la Blanchere. Chociaż mowa w nim o faktach dobrze znanych, dziennik ten rzuca na nie nowe światło i podkreśla całą ich tragiczną powagę.

12 Maja g. 11 m. 25. Odbyło się drugie posiedzenie Rady. Zdecydowano ostatecznie pokusić się o rozmowę z *diablami* przez radjo zgodnie z wnioskiem pana Azarda. Pancernik angielski

Niezwyciężony, jako posiadający najsilniejszą stację, wysła depezę następującej treści:

„W imieniu ludzkości całej naszej planety wzywamy przedstawicieli mieszkańców Marsa, aby uwolnili wszystkich naszych współpracowników, których więżą na trzech zatrzymanych okrętach transatlantyckich. Gdybyśmy na to nie uzyskali zgody, prosimy o zwolnienie przynajmniej kobiet, dzieci i starców, których obecność może was tylko krępować. Mamy nadzieję nawiązania przyjaznych stosunków z pierwszymi podróżnikami, gdy wrócą wolność swoim jeńcom". Słowa takie, jak *bracia*, *braterski*, *wyraży podziwu*, proponowane przez pana Azard'a w tekście depezy, zostały odrzucone przez Radę, której większość nie kryje niechęci do intruzów.

12 Maja g. 17 m. 11. Depesza została wysłana w języku francuskim i angielskim.

13 Maja g. 10 m. 22. Przyszła odpowiedź w następujących słowach: „Marsjanie pozdrawiają mieszkańców Ziemi, swoich młodszych braci, i zrobią wszystko co można, aby ich wyrwać ze stanu barbarzyństwa. Dzieci, starcy, jak również duże dzieci z długim! włosami zostaną umieszczone na okręcie *Ile de France*, aby swobodnie mogły kończyć swoją podróż. Marsjanie zapraszają Ziemiaków na naradę, celem omówienia stałego porozumienia między Marsem i Ziemią w interesie postępu tej młodej i ciemnej planety".

Natychmiast zwołano Radę. Ogólne wrażenie depezy było ujemne. Oto wyciąg z protokołu posiedzenia:

— Komendant Griffiths z *Lewiatana*: Zgodzicie się panowie, że depeza jest dość obraźliwa.

— Pan Azard: Nie sądzę, aby Marsjanie chcieli nas obrażać. Nie znają oni naszych zwyczajów i obce im są takie pojęcia, jak grzeczność, kurtuazja, a zwłaszcza układność naszych dyplomatów. Twierdzą bez ogródek i bez omówień, co uważają za prawdę.

— Komendant Griffiths: To niemożliwe. „Młodszy bracia” więc mają nas niemal za dzieci.

— Komendant de Mirmont z *Lazare-Carnot*: Wyżej cenimy nasze barbarzyństwo od ich „cudownej” wiedzy.

— Kom. Maxwell z *Niezwyciężonego*: Ciekawe jednak, jak oni wyobrażają sobie porozumienie Ziemi z Marsem?

- Pan Azard: Sądzę, że chcą zawrzeć z nami traktat przymierza.
- Kom. Stephenson z *Wolności*: To znaczy zrobić z nas niewolników i stać się panami Ziemi.
- Kom. Maxweil: I morza. Na to Anglja nigdy się nie zgodzi !
- Kom. Florenville: Rzecz główna zresztą, aby wrócili wolność kobietom, dzieciom i starcom
- Kom. Stephenson: Czy można w ogóle zaufać ich słowu?
- P. de Vaussaucourt: W krotce się o tem przekonamy.
- Kom. Griffiths: Gdy dotrzymają przyrzeczenia, będziemy mieli mniej skrupułów, bombardując ich.
- Pan Azard: Tak pan sądzi? Przede wszystkim zbyt łatwo rezygnuje pan z jeńców-mężczyzn, a następnie byłoby to z naszej strony wielkim brakiem lojalności, wprost zdradą.
- Kom. Griffiths: A jednak trzeba stanowczo tych zaborców unieszkodliwić i oczyścić z nich naszą planetę.
- Kom. Maxwell, śmiejąc się: Tak, trzeba egzorcyzmować *djabłów*.
- Pan Azard: Powtarzam, strzeżmy się! Zguba, lub zbawienie ludzkości jest w naszych rękach. Żadnych gwałtów, zbyt drogo za nie zapłacimy.

13 Maja g. 15 m. 35. Wszystkie lunety, skierowane na *diabelskie* okręty, dostrzegają na nich niezwykle poruszenie. O ile się zdaje, okręt *Ile de France* opuszcza większa część jego załogi, natomiast kobiety, dzieci i starcy, znajdujący się na *Gigantic'a* i *Zoulouland'zie*, zajmują jej miejsce. A więc Marsjanie dotrzymują przyrzeczenia.

14 Maja g. 8 m. 43. Z grupy trzech okrętów, opanowanych przez Marsjan, wysuwa się *Ile de France* i zbliża ku nam powoli. Jedziemy na jego spotkanie.

14 Maja g. 10 m. 57. Spotkanie z *Ile de France*. Rada międzysojusznicza udaje się na jego pokład. Chwila głębokiego wzruszenia. Niepodobna opisać rozgrywających się pełnych rozczulenia scen i ogromu szczęścia obdarzonych wreszcie wolnością jeńców. Największą chyba radość okazywał Jerzy de la Blanchere z chwilą odzyskania ukochanej żony, a zachwyty Azard'a, który wreszcie poznał swoją kuzynkę pannę Alicję Milburne, nie miał granic. Obie panie wyróżniały się z pośród wszystkich wdziękiem, prostotą i pięknem swych postaci. Z pośród innych pasażerów



wymienimy lady Davidson, księżnę Fornabuoni z dziećmi, kardynała de Courrieres, arcybiskupa końskiego, pana Lefranc-Robin, znakomitego uczonego maharadży z Sigwała, znaną księżniczkę hinduską, pastora Coleridg'a z córkami, młodego Donald'a Withlock'a, syna króla odkurzaczy elektrycznych, słynnego miliardera i.t.d.

Smutne wrażenie sprawiły wśród powszechnej, radości liczne dzieci, oderwane od podróżujących z nimi ojców, gdyż jak wiadomo Marsjanie zatrzymali wszystkich mężczyzn, z wyjątkiem nieletnich i starców. Najwidoczniej te istoty z innej planety nie rozumiały naszych uczuć rodzinnych.

Sam okręt *Ile de France* znajdował się w bardzo smutnym stanie. Pozostawiono mu tylko najniezbędniejszą ilość siły pędnej, ażeby mógł się z nami połączyć, a choć posuwał się bardzo wolno, wyczerpał cały zapas węgla, w jaki go zaopatrzone.

Okręt ten nie mógł odbywać samodzielnie dalszej podróży, zwłaszcza, że i obsługę miał zredukowaną do minimum. Postanowiono tedy holować go do Europy, a zadanie to powierzono za wspólną zgodą okrętowi *Franche-Comte*. Stosowne zarządzenia wydane zostały przez przedstawiciela T-wa Transatlantyckiego pana de Vassaucourt, który uważa za swój obowiązek wrócić razem z nami, Wyrażając mu z tego powodu podziw, jednocześnie żałując, że

sam oddalam się z teatru wojny niejako, właśnie w chwili, gdy rozgrywać się będą decydujące i najciekawsze wypadki.

Oglądać je będą szczęśliwsi odemnie: państwo de la Blanchere, pan Azard i jego kuzynka panna Alicja oraz pani Papacock, którzy uprosili komendanta pancernika francuskiego *Lazare-Carnot*, aby ich przyjął na swój pokład. Coprawda, panna Milburne i pani de la Blanchere mogą być pożyteczne, jako cenne informatorki we wszystkim, co dotyczy Areanthropów, Co się tyczy Michała Delattre, myśli on tylko o jak najszybszem wyładowaniu we Francji, pragnąc uniknąć choćby na odległość wszelkich stosunków z *djabłami*.

Dwaj lekarze z *Franche-Comte* chcieli również brać udział w wyprawie przeciw *diabłom*, nie uzyskali jednak, ku wielkiemu swemu żalowi, pozwolenia.

15 Maja g. 2 m. 4. *Franche-Cotrde* holujący *Ile de France* udaje się do Havru. Pasażerów rozmieszczono na obu statkach. Służba sanitarna, na wszelki wypadek wzięta na okręt, może zapewnić ofiarom Marsjan najtroskliwszą opiekę. Zresztą poważnie chorych niema, są tylko wypadki lekkiej neurastenii, złego samopoczucia, wywołanego zmęczeniem i wzruszeniami. Pogoda piękna, morze najzupełniej spokojne. Wszystko, jak dotąd, idzie dobrze.

15 Maja g. 10 m. i. Przed chwilą straciliśmy z oczu pancerniki, udające się w kierunku *Gigantic'a* i *Zoulouland'a*,

15 Maja g. 10 m. 14. Słyszeliśmy wystrzał armatni. Co się stać mogło? Czyżby bombardowanie Areanthropów? Nieprawdopodobne.

15 Maja g. 10 m. 32. Dzieje się coś niezwykłego. Pogoda nagle się zepsuła. Niewiadomo skąd zjawily się chmury. Znosi się na wielkie gradobicie. W całej mojej praktyce marynarskiej nie zaobserwowałem tak gwałtownej zmiany pogody. Burza zresztą ominie nas z daleka. Ale, rzecz ciekawa, nasi pasażerowie, a zwłaszcza pasażerki są bardzo przerażone. Otaczają mnie: „Komendancie, uciekajmy całą siłą pary” — błagają. — „Dlaczego — pytam — niemą powodu do obaw”. — „Przeciwnie, należy się obawiać wszystkiego. Uciekajmy, może nas gonią. — „Kto? ” — „Oni, *djabły*, władcy pioruna i burzy”.

ROZDZIAŁ XVI.

W KTÓRYM JEST MOWA O KULISTYM PIORUNIE I O KANAŁACH NA MARSIE.

Smutne przewidywania i obawy pasażerów, zwolnionych przez Marsjan, sprawdziły się, niestety, aż nadto prędko. Wszyscy zapewne mają jeszcze w pamięci okropną katastrofę, w której zginął bez śladu admirałski okręt *Niewyciężony* wraz z jego komendantem Maxwellem, oficerami i całą załogą. Z relacji uczestników międzysojuszniczej Rady, oraz komendy innych pancerników, znajdujących się na szczęście dość daleko od centrum wybuchu, udało nam się odtworzyć przebieg katastrofy, nie tak dokładnie jednak, jakby to było możliwe na podstawie, zaginionych niestety, raportów komendanta Maxwella.

Opinia słusznie uczyniła odpowiedzialnym za katastrofę nieszczęsnego komendanta angielskiego pancernika, dowodzącego całą eskadrą, on to bowiem zdecydował wypowiedzieć wojnę Marsjanom. Nie pomogły rozsądne rady pana Azard'a, państwa de la Blanchere i panny Milburne.

Wystrzał, o którym wspomina w swoim dzienniku kapitan Fiorenville, miał być ostrzeżeniem pod adresem *Gigantic'a* i *Zoulouland'a*, poczerń, jak stwierdzają protokoły Rady, wysłano Marsjanom następujące ultimatum: „Zwolnijcie wszystkich jeńców, w przeciwnym razie rozpoczniemy blokadę i zniszczymy ogniem armatnim wszystkie wasze maszyny i aparaty”.

Niewiadomo, czy była i jaka odpowiedź Marsjan. Posiedzenie Rady, na którym zapadła powyższa decyzja, miało miejsce dnia 15 maja o godzinie 10-ej. W dziesięć minut później nastąpił wybuch, a już o g. 10 m. 32, według zgodnej relacji i pana Florenville i komendantów innych pancerników, piękne dotąd niebo pokryło się w sposób zupełnie niezrozumiały i nieoczekiwany straszniemi, żółtymi chmurami.

Oto, co widzieli świadkowie tej tragicznej sceny:

Z obłoków wyłoniły się nagle trzy ogniste kule i miarowo opadały



na okręt. Metalowa masa pancernika zdawała się nieprzeparcie przyciągać oślepiające swym blaskiem kule. Dwie zetknęły się w różnych punktach z opancerzeniem, trzecia zaś z armatą, co wywołało

trzy olbrzymie eksplozje. Widziano później, jak cały pancernik znalazł się w węzowych splotach płomieni, jednocześnie słychać było potężne wybuchy. Po długiej serii coraz silniejszych wybuchów okręt szybko pogrążył się w falach, sypiąc jednocześnie wokół z karabinów, maszynowych grad kul, które raniły widu marynarzy innych okrętów. Przyczyny tej nagłej katastrofy są jasne. Ogniste kule zapaliły prochy i wywołały eksplozję pocisków. To nie wszystko jednak. Dokładne badania zebranych odłamków stali, przeprowadzone przez Nika, wykazały, że wyładowanie ognistych kul, będących kulistymi piorunami nieznannej natury, spowodowało rozkład metalu, zmieniając jego układ molekularny.

Szczyściem, inne pancerniki pozostały nietknięte. *Djabły* celowały wyłącznie w okręt, z którego rzucony był pocisk i który pragnęły ukarać. Gdy to się stało, ani jedna kula nie wyłoniła się już z żółto-czarnych chmur. Pozostały one jednak nadal groźne. *Gigantic* i *Zoulouland* wciąż spowite były gęstą mgłą.

— Co panie myślą o tem wszystkim? — zwrócił się pan Mirmont, komendant pancernika *Lazare-Carnot*, do pani de la Bianchere i panny Alicji Milburne.

— Przedewszystkiem — odpowiedziała młoda dziewczyna — dzięki uporowi komendanta Maxvella (wprawdzie przypłacił to własnem życiem) między Areanthropa mi i mieszkańcami Ziemi istnieje stan wojny. Obawiam się, że wielkie to nieszczęście nie da się już odwrócić. Wszak Marsjanie zapowiedzieli wyraźnie, a nawet brutalnie, że nas unicestwią, jeśli ich przyjmiemy jak wrogów. Tern pewniej wykonają swą groźbę, że nadewszystko brzydzą się kłamstwem i obłudą.

— A zatem, co począć, czy próbować układów?

— Obawiam się, że jest już za późno.

— Zresztą nie mamy do tego upoważnienia. Musimy przedstawić sprawę naszym rządóm, które prawdopodobnie ustalą linję postępowania.

— Tak — zgodził się komendant Griffiths. — Będzie to jednak wymagało pewnego czasu, który pozwoli Marsjanóm wymknąć się.

— Jeden szczegóół mnie intryguje — wtrącił komendant Stephenson. — Te dziwne istoty zostały nazwane przez zwolnionych pasażerów Władcami pioruna i burzy i oto byliśmy świadkami

zjawisk, które całkowicie potwierdzają ten tytuł. Spowodowali oni najpierw gęstą mgłę, później groźne chmury, wreszcie kuliste pioruny, różne od tych, które znamy, gdyż na odległość rozkładają prochy, materiały wybuchowe, a nawet cząsteczki stali. Czy może pani nam wyjaśnić te cuda?

— Tego nie potrafię. Wiem tylko, że Marsjanie z powodu suszy, panującej na ich planecie i zbyt słabego ciśnienia atmosferycznego, niepozwalającego na utrzymanie się wody w stanie płynnym, musieli przeniknąć tajemnice meteorologii. Mogą dzięki elektryczności w miarę potrzeby zgęszczać parę wodną, pochodzącą z lodów podbiegunowych, i są w stanie rozkazywać wiatrom i obłokom. Zmagazynowaną w wielkich rezerwoarach wodę, dzięki ciśnieniu zgęszczonego powietrza, rozprowadzają nieznaną nam siłą pod postacią chmur deszczowych wzdłuż pól i ogrodów, rozplanowanych w linii prostej.

— Byłyżby to więc owe pasma ziemi pokryte roślinnością — odezwał się Jerzy — które Schiaparelli i tylu innych świątłych astronomów uważali za kanały?

— W istocie.

— Winszuję pani — rzekł Nik — jest pani pierwszą istotą ludzką, przed którą odkryte tajemnicę kanałów Marsa, w całej ich impnującej prostocie.

ROZDZIAŁ XVII.

NIEPOWODZENIE ŁODZI PODWODNYCH. TAJNY ROZKAZ.

Wiadomość o piorunującym zniszczeniu pancerniku *Niezwycięzono*, wprawiła w osłupienie rząd angielski i sprzymierzeńców. Wobec konieczności szybkiej decyzji, angielski premier i francuski prezes ministrów spotkali się w Boulogne, skąd wymienili szereg depech z prezydentem Stanów Zjednoczonych. Rezultatem tych narad była decyzja wysłania przeciwko Areaathropom wielkich łodzi

podwodnych, zaopatrzonych w armaty.

Można było przypuszczać, że ten rodzaj statków uniknie niszczącego działania wszelkich djabelskich promieni i kulistych piorunów.

Zadanie ich polegało na zniszczeniu przy pomocy specjalnych pocisków całej nowej konstrukcji na *Gigantic'a* i *Zoulouland'zie*.

Pozbawieni w ten sposób źródła energii elektrycznej, Marsjanie staliby się bezsilni. Innych środków, np. torpedy, nic można było użyć z powodu obecności na okrętach licznych jeszcze jeńców.

Nowy ten plan wyjątkowo szybko wprowadzono w życie i niebawem cztery łodzie podwodne, dwie francuskie i dwie angielskie, ruszyły przeciw *djabłom*.

Ale i Marsjanie nie byli bezczynni. Kiedy się rozproszyła sztuczna mgła, otaczająca miejsce ich postoju, okazało się, że oba okręty zniknęły. Pancerniki, nie znając kierunku ich drogi, nie mogły kontynuować pościgu.

— Z pewnością udali się zgodnie z pierwotnym zamiarem na wschód, ku najbliższemu kontynentowi, a więc do Europy — oświadczył Nik.

Po dłuższej dyskusji Rada zgodziła się z tą opinią. Jeden z pancerników podążył w kierunku wschodnim, drugi w stronę północno-wschodnią, trzeci zaś ku południowemu-wschodowi.

Istotnie, po jakimś czasie ujrzano *Gigantic'a* i *Zouloulanda*, jak ze znaczną szybkością i bez dymu płynęły ku wybrzeżom Francji. Sytuacja stawała się krytyczną.

Zaledwie około pięciuset kilometrów dzieliło Marsjan od wybrzeża Bretanii, gdzie, jak się zdawało, zamierzali lądować.

Łodzie podwodne, dzięki odblaskom *zorzy północnej*, otaczającym w nocy okręty Marsjan, mogły je śledzić z łatwością. Ostrożnie więc manewrowały pod wodą, aby pod osłoną nocy wypłynąć w pobliżu i zbombardować sieć elektryczną Areanthropów.

Pancerniki trzymały się w pobliżu, aby w miarę możliwości wspomagać łodzie wszelkimi rozporządzalnymi środkami.

— Co pan myśli o tym nowym ataku? - komendanta Stephensona.

— Obawiam się — odpowiedział komendant — aby *diabły* nie wywołały trąby morskiej, lub groźnych wirów, stanowiących niebezpieczeństwo nawet dla podwodnych łodzi.

— Co do mnie — dodał Nik — przypuszczam, że znajdą nowe środki obrony, których nie jesteśmy w stanie przewidzieć i, że i tym razem wyjdą zwycięsko.

— Nie wierzę w to, a w każdym razie nie widzę żadnego poważnego argumentu na poparcie pańskiego zdania.

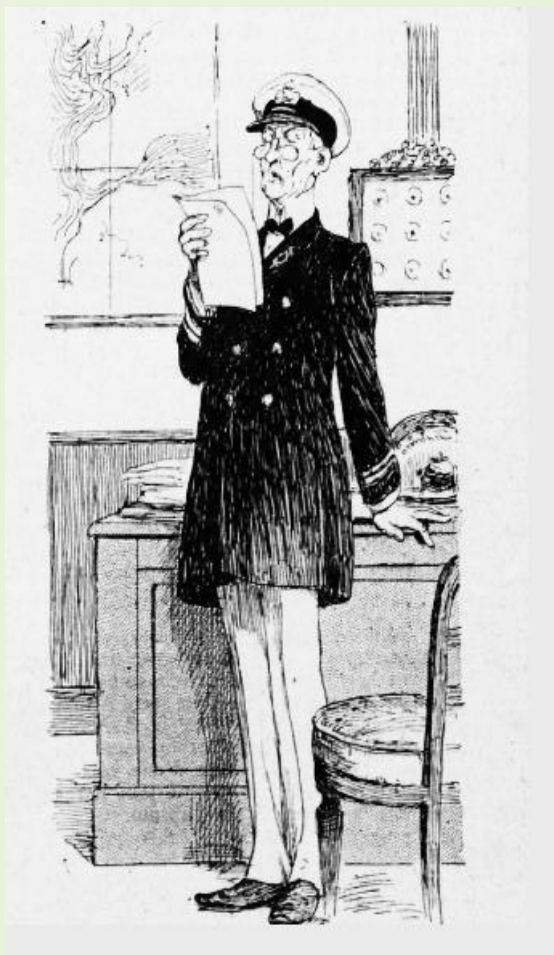
Noc była bardzo ciemna, tylko tajemnicze blaski oświetlały przestrzeń ponad *Gigantic'em* i *Zoulouland'em*. Wszystko zdawało się sprzyjać łodziom podwodnym. Czy dokonają swego niebezpiecznego i trudnego zadania?

W pewnej chwili wokół okrętów Marsjan morze poczęło fosforyzować. Nagle rzucone z nich niebieskawe światło przeniknęło głębie wód w zupełnie określonym kierunku. Najwidoczniej obecność łodzi podwodnych przestała być dla nich tajemnicą. O tym, co się działo naprawdę, dowiedziano się dopiero później. Po kilku trwożnych minutach, które wydały się wiekiem, ujrzano wreszcie łodzie, wypływające na powierzchnię, ale w jakim stanie ! Były one pokryte grubą warstwą lodu, która unieruchomiła zupełnie śruby; gorzej, bo i pokrywa wejściowa była tak opancerzona lodem, że załoga znalazła się jakby w potrzasku. Można sobie wyobrazić okropny stan jej umysłów, gdy skazaną została na zupełną niemoc w statkach, bez możliwości nawet wezwania pomocy.

Pancerniki, podczas gdy *djabły*, zgasiwszy niebieskie światło, puściły się w dalszą podróż ku wybrzeżom Bretanii, zbliżyły się ku łodziom.

I tym razem, jak zwykle, zwrócono się o wyjaśnienie do panny Milburne i do pani de la Blanchere.

— Przypominam sobie, istotnie — rzekła narzeczona Mika — że Marsjanie mówili kiedyś o tem niebieskiem świetle, mającem własność zmiany stanów skupienia ciał. Istoty z Marsa są mistrzami w tej sztuce. Wiemy wszyscy, że energia jest jedna, a światło, ciepło, elektryczność są różnemi jej odmianami, następującemi zależnie od drgania cząsteczek kosmicznych eteru. Również budowa ciał może się przekształcać zgodnie ze zmianami, zachodzącymi w konstrukcji samego atomu. Marsjanie urzeczywistnili nieziszczone marzenia średniowiecznych alchemików. Mogą oni w miarę potrzeby zamieniać jeden metal w drugi, zmieniając odpowiednio konstrukcję atomu, przy pomocy im wyłącznie znanych źródeł energii. Są to



uczeni, na nas jednak robią wrażenie cudotwórców, nazwijmy więc ich magami wiedzy.

— Brawo, kuzynko! — wykrzyknął Nik w uniesieniu. — Jestem dla ciebie pełen podziwu.

Skończono właśnie oswobodzanie łodzi z lodowej pokrywy przy pomocy natrysków gorącej wody, poczem miała się zebrać Rada dla wysłuchania raportów komendantów podwodnych statków, gdy przybył wielki krążownik angielski z admirałem O’Galliganem na pokładzie. Admirał miał ze sobą zapieczętowany tajny rozkaz z napisem: „Otworzyć w razie niepowodzenia ataku łodzi podwodnych”.

Z powagą, podyktowaną przez okoliczności, przystąpiono do łamania pieczęci. Obecni oczekiwali z bijącym sercem na odczytanie treści rozkazu. Po zaprzysiężeniu wszystkich, że dochowają bezwzględnej tajemnicy, admirał zaczął w te słowa:

„Pierwszy lord admiralicji rozkazuje nam zawiadomić Areanthropów o zupełnej naszej kapitulacji, pod warunkiem zwolnienia i wylądowania wszystkich jeńców. Pod tym pretekstem sprowadzimy Marsjan do Plymouth, mając na uwadze, aby okręty ich zarzuciły kotwicę na linii min, stanowiących stałą obronę podwodną naszego wielkiego wojennego portu. Gdy już nie będzie ludzi na Giganitic'a i Zouloulad'zie, będziemy mogli postąpić zależnie od okoliczności i, gdy tego zajdzie potrzeba, oba okręty z niepożądanymi gośćmi wysadzimy w powietrze on być w każdym razie wykonany przez angielskie okręty L' Empire i Leviathain”.

Po tych słowach przez chwilę zapanowała grobowa cisza.

Pierwsi wyrazili swe zadowolenie dysząc chęcią zemsty

oficerowie łodzi podwodnych. Przeciwnie, przedstawiciele marynarki francuskiej i amerykańskiej wysunęli poważne obiekcje, uważając plan admiralicji angielskiej za niebezpieczny w najwyższym stopniu dla całej ludzkości. Pragnęli oni skomunikować się ze swoimi rządami, co było jednak niemożliwe ze względu na konieczność zachowania tajemnicy, warunkującej powodzenie całej imprezy. Najpoważniejsze zarzuty wysuwali Nik i panna Alicja.

— Trzeba — odpowiedział admirał — pokonać te potwory. Trzeba, za wszelką cenę, uratować Ziemię.

— Raczej — oświadczył Nik — będzie to skazaniem na śmierć całego rodu ludzkiego.

— Moim obowiązkiem jest słuchać rozkazu. I będę mu posłuszny — zawyrokował admirał.

— A gdybyśmy uprzedzili Marsjan o tem, co ich czeka? — rzuciła pani de la Blanchere.

— W takim razie — rzekł zimno admirał — byłbym zmuszony traktować was jak wrogów. Aby zapewnić zachowanie tajemnicy, którą państwu powierzyłem, proszę panów komendantów sprzymierzonych pancerników o nieoddalanie się i zamknięcie stacyj telegrafu iskrowego, oraz o danie mi słowa honoru, że nie przedsięwzięją niczego, co by godziło w nasz plan. Jednocześnie zawiadamiam panów oficjalnie, że jestem mianowany głównodowodzącym całej eskadry.

Poczem admirał, zgodnie z decyzją rządów Wielkiej Brytanii, Francji, i Stanów Zjednoczonych, objął urządowanie. Trzeba się więc było poddać losowi, czekając na bieg wypadków.

Pod adresem Marsjan została wysłana następująca depesza:

"Jesteśmy skłonni do rozważenia i przyjęcia wszystkich waszych warunków, jeśli wysadzicie na ląd pozostałych jeńców. Oczekujemy w Plymouth, gdzie może nastąpić wylądowanie i ewentualne podpisanie zgody między Ziemią i Marasem. Pozdrowienia międzyplanetarnego braterstwa!"

Wkrótce potem nadeszła odpowiedz tej treści: „Mieszkańcy Ziemi! Przyjmujemy do wiadomości kapitulację, która przyniesie wam dobrobyt i szczęście. Jedziemy do Plymouth. Niech Wielki Budowniczy Wszechświata natchnie was mądrością, jeśli serca wasze są czyste! Niechaj się dokona przeznaczenie Ziemi !"

ROZDZIAŁ XVIII.

WYPADKI W PLYMOUTH.

Przystępujemy obecnie do opisu faktów powszechnie znanych, które wymagają jednak uporządkowania i obiektywnego przedstawienia z powodu licznych nieścisłości, szerzonych przez prasę i stugębną famę.

Opis, który tu dajemy, oparty jest na dokumentach ministerstwa marynarki, oraz na świadectwach osób, biorących bezpośrednio udział w wypadkach, a więc pana Azard'a, panny Milburne, państwa de la Bianchere.

Otóż, po roztelegrafowaniu radosnej wieści o bliskim już uwolnieniu jeńców, sprzymierzona eskadra skierowała się ku Plymouth.

Gigantic i *Zoulouland* przestały się ukrywać poza sztucznymi mgłami i również podążyły do angielskiego wojennego portu, gdzie władze pospiesznie zorganizowały świetne przyjęcie.

U wejścia do portu rozwieszono olbrzymi transparent z napisem: „Serdecznie witamy” i z wyobrażeniem Ziemi i Marsa, połączonych wstęgą symbolizującą przymierze, przyjaźń, a co najmniej szczerze porozumienie obu planet.

Pierwszy lord admiralicji we własnej osobie miał przyjąć świątłych i potężnych gości. W ostatniej chwili rozmyślił się jednak, w obawie zapewne, aby te niezwykle istoty, przy pomocy trojga swoich oczu, nie przejrzały istotnych jego zamiarów.

Powierzono zatem misję powitania władzom cywilnym, udekorowanym weteranom i oficerom marynarki, niewtajemniczonym w plany najwyższych czynników rządowych. Przygotowane były wspaniałe mowy, a nawet uroczysty obiad dla „ambasadorów Marsa”, którzy jednak, odżywiając się wyłącznie ekstraktami, dali do zrozumienia, że nie chcą sprawiać nikomu kłopotu i nie znoszą próżnej gadaniny.

Wreszcie nadszedł dzień oczekiwany. Pomimo starannego ukrywania przed publicznością godziny przybycia okrętów,

nieprzebrane tłumy, z trudem trzymane w korbach przez policję, zebrały się wszędzie, skąd tylko roztaczał się widok na port.

Przybywające pierwsze angielskie okręty *L'Empire* i *Leviathan* były przedmiotem niedającej się opisać owacji rozentuzjasmowanych tłumów. Lecz, gdy ujrzano za nimi tajemnicze statki *Gigantic* i *Zoulouland* z niezwykle konstrukcjami, z siecią drutów miedzianych, z olbrzymimi cewkami, antenami i receptorami, opanowało wszystkich osłupienie, które zdusiło w gardłach powitalne okrzyki i wiwaty.

Niezliczone lunety i lornetki skierowano na oba okręty, lecz nie ujrzano żadnego Marsjanina. Tylko jeńcy, zgromadzeni na górnym pomoście, tłoczyli się gorączkowo, oczekując swego wyzwolenia.

Wylądowanie odbyło się bez przeszkody i w miejscu z góry wyznaczonemu Areanthropowie wciąż byli niewidzialni. Gdy ostatni z mieszkańców Ziemi opuścił pokład (był to p. Wosnic, tłumacz, który, jak się zdawało, niechętnie porzucił Marsjan), najśmielsze z pośród urzędowych osób, wyznaczonych do przyjęcia *djabłów*, odważyły się wejść na okręty wszyscy doznali przykrego zawodu. Na pokładzie każdego z okretów były zakreślone czerwone koła, których w żaden sposób nie mogli przekroczyć. Nogi ich i ręce napotykały jak gdyby niewidzialny mur, bardziej niezdojtry, niż stalowy pancierz. Wkrótce zresztą komendant portu nakazał ciekawym powrót na ląd. Ewakuowano wszystkich z najbliższej okolicy, gdyż zbliżał się moment, w którym podwodne miny miały wypełnić swe straszne zadanie. *Gigantic* i *Zoulouland*, których całą załogę stanowili obecnie tylko Marsjanie, miały przejść ponad okropnymi narzędziami śmierci i zginąć od wybuchu min. Nie pociągnęłoby to za sobą zapewne śmierci Marsjan, gdyż mieli oni możliwość wznieść się w powietrze na swych udoskonalonych helikopterach. Zniszczone jednak zostaną ich elektryczne urządzenia i warsztaty, co uczyni ich znowu bezsilnymi, jak wtedy, gdy byli tylko rozbitkami na morzu. Obecnie znaną już była zadziwiająca i straszna moc ich trojga oczu i wiadomo było, jak się od nich zabezpieczyć. Nie wiele trzeba będzie czasu, aby wszystkich schwytać i zabić. Dyrektor *British Museum* zwracał się już do władz z prośbą o przekazanie mu zwłok tych potworów, gdyż pragnął ozdobić nimi najpiękniejszą salę tej instytucji.

Nadto spodziewano się, że latające maszyny nie będą mogły



funkcjonować, gdyż zapewne korzystają z fal elektrycznych, produkowanych przez tajemnicze generatory na mających ulec zniszczeniu okrętach.

Wszystko szło jak najlepiej i niebawem ludzkość miała być wolna od zniechęconych najeźdźców, pragnących wyzyskać Ziemię wyłącznie dla swoich celów.

Tymczasem Marsjanie widocznie puścili w ruch jakieś nowe maszyny, gdyż słycać było nieustający szum, przytłumiony wprawdzie, ale dość wyraźny. Zapadał wieczór. Widziano iskry, a raczej blado-fioletowe płomyczki, wydzielające się z anten i niezliczonych kabli na obu okrętach. Woda wokół okrętów silnie fosforyzowała.

Jednocześnie dziwne zjawiska skonstatowano w mieście. Pogasły lampy elektryczne, motory przestały działać, a w elektrowniach na skutek krótkich spięć wybuchały groźne pożary. Również zupełnie przestały działać, nie wiadomo dlaczego, telefony, telegraf, dzwonki elektryczne, odbiorniki telefonu i telegrafu iskrowego.

Później widziano, jak *Gigantic* i *Zoulouland* bez pośpiechu wyjeżdżały z portu, przeszły ponad linią min, minęły ją bez najmniejszej szkody i spokojnie wypłynęły w morze.

Wszyscy wtajemniczeni w okrutny i nieudany plan admiralicji wpadli w szal. Komendant portu, któremu powierzono wywołanie wybuchu, uważał się za skompromitowanego i strzelił do siebie, na szczęście strzał nie był śmiertelny, gdyż w krytycznym momencie jeden z oficerów trącił go w uzbrojoną rękę. Zrozpaczony był również

przedstawiciel pierwszego lorda admiralicji, panując jednak nad sobą, sprawdził natychmiast rzecz całą na miejscu, przyczem skonstatował:

- 1) że aparaty były w najzupełniejszym porządku;
- 2) że połączenie elektryczne było dokonane;
- 3) że iskra jednak nie wybuchła;
- 4) że fakt ten pozornie niezrozumiały musiał pozostawać w związku z tem, co się działo w mieście, mianowicie z nagłym przerwaniem wszelkich prądów elektrycznych;
- 5) że zjawisko to musieli wywołać nieufni Marsjanie, którzy, pragnąc udaremnić wszelki atak, poddali miasto i port działaniu jakiegoś nieznanego fluidu przeciwelektrycznego.

Ażeby nie mieć sobie nic do wyrzucenia, dano rozkaz strzelania nadbrzeżnym baterjom oraz wysłano kilka torpedowców w pościg za Marsjanami. Nie odniosło to; jednak żadnego skutku, pociski armatnie i torpedy, wskutek) działania owego przeciw elektrycznego fluidu, wybuchwały przed dojściem do celu, nadto, jak później stwierdzono, działanie tychże fal, czy też szczególnych wibracyj nie pozwalało najlepszym strzelcom na dokładne wyznaczenie celu. Najwidoczniej wibracje, wywołane przez Marsjan, w taki sposób załamywały światło, że wzrok ludzki mylił się w wyznaczaniu kierunku i miejsca, w którym wrogie okręty znajdowały się w danej chwili. Podobnie dziecko chybia celu, strzelając bez uwzględnienia praw załamania ze swego karabinka do pływającej w wodzie ryby.

Wkrótce zresztą Aeranthropowie skryli się za gęstym tumanem mgły. Wówczas aeroplany zaczęły ostrożnie śledzić sunący po morzu obłok.

Pierwszy lord admiralicji, nie ochłonawszy jeszcze z wściekłości wskutek niepowodzenia w Plymouth, zmuszony był już myśleć o obronie Londynu przed inwazją Marsjan. Wiadomość o odjeździe Areanthropów w nieznanym kierunku szybko rozeszła się wśród przerażonych tłumów, domagających się opieki rządu.

Obawy te były jednak płonne, a co najmniej przedwczesne. Piloci, śledzący wrogą eskadrę, nadesłali wkrótce przez pocztowego gołębia (telegraf bez drutu wciąż jeszcze nie działał) następującą depeszę:

„Marsjanie kierują się ku wybrzeżom Francji. Minęli Cherbourg i płyną w stronę Havru“.

CZEŚĆ TRZECIA.

ROZDZIAŁ XIX

MÓWI O TEM, CO SIĘ DZIAŁO W HAVRZE.

Nasi znajomi, przebywający na pancernikach, z łatwością zrozumieli, co zaszło. Pułapka się nie udała. Raz jeszcze Areanthropowie, dzięki swej niezwykłej wiedzy, udaremнили obłudny plan mieszkańców Ziemi. Wojna trwała i bez wątpienia stanie się odtąd bardziej zaciętą.

Bolesna la myśl przepelniała smutkiem serca panny Milburne, pani de la Blanche re, Jerzego i Nika. Nie ukrywali oni przed sobą strasznych obaw, z którymi łączyło się uczucie wstydu, że należą do zdradzieckiego rodzaju ludzkiego.

— Cóż poczniemy? — zapytał Jerzy.

— Wrócimy do Francji — rzekł Nik. — Przyznam się, że mam już dość tych niezwykłych przygód, marynarskiego żyda, a nade wszystko tych ciągłych obaw. Chciałbym znowu ujrzeć... — miał powiedzieć „mój *Swawolny Zakątek*” ale ugryzł się w język, aby nie wymówić tej mało wytwornej nazwy, i ciągnął dalej — zobaczyć znowu Paryż, Bois - Colombes i mój mały domek, w którym będę miał zaszczyt przyjąć moją kuzynkę.

— Owszem — zgodziła się panna Milburne — z przyjemnością pana odwiedzę, ale później. W tej chwili pragnę, zobaczyć się z Marsjanami, aby im powiedzieć, że nie wszyscy ludzie są obłudni i nielojalni.

— Jest to również mój zamiar — oświadczyła pani de la Blanche-

re. — Być może, że w tej chwili mamy w swoich rękach los całej ludzkości. Bez wątpienia Marsjanie są bardzo rozgoryczeni. Robią przygotowania do spustoszenia naszego biednego globu ażeby na nim osiedlić istoty sobie podobne, a co najmniej obrócą nas wszystkich w niewolników. Kto wie, czy nie jest to moment jedyny, aby jeszcze zachwiać ich postanowieniem.

— Myślę, że pani ma słuszość — powiedział Nik. — Jest sprawą pierwszorzędną wagi zobaczyć się z Areanthropami, podróż jednak najeżona jest trudnościami i niebezpieczna. Proponuję więc, abyśmy ją odbyli we dwóch z Jerzym.

— Zgoda — oświadczył Jerzy.

— Nie puścimy was samych — zaprotestowała panna Alicja — musicie mieć tłumaczy. Nie znacie języka Areanthropów. Obecność nasza jest konieczna.

— Jeśli podróż jest niebezpieczna — dodała pani de la Blanchere — tem bardziej chcemy być z wami.

— Droga Viviana... — szepnął Jerzy.

W tej chwili zbliżył się komendant pancernika *Lazare-Carnot*, oświadczając, że ma ważną wiadomość. Wszyscy natychmiast otoczyli go wkoło.

--- Musimy się, niestety, rozstać — powiedział. — Otrzymałem z Ministerstwa Marynarki rozkaz jak najprędszego wysadzenia państwa na ląd z powodu mogącego grozić pancernikowi niebezpieczeństwa. Zadanie moje nie jest jeszcze ukończone. Muszę krążyć po kanale La Manche i obserwować Marsjan, Będę próbował znowu zawiązać walkę i w razie potrzeby blokować Havre lub zarzucę kotwicę w Cherbourgu.

— Nie przerażają nas niebezpieczeństwa, komendancie — powiedziała panna Alicja.

— Wiem o tern. Muszę jednak być posłuszny rozkazom. Sądzę, że najprościej będzie zostawić państwa w Plymouth, skąd z łatwością dostaniecie się do Francji.

— A więc trudno, musimy się zastosować do okoliczności. Dziękujemy bardzo zagościńę. Ufamy, że unikniemy wszyscy wypadków, któreby okryły Ziemię żałobą... *Lazare-Carnot* nie był nawet zmuszony zawrócić, pancerniki angielskie *L' Empire* i *Leviatan* powrotu do Plymouth i okręt admirałski wziął na swój

pokład naszych podróżnych. Pancernik *Wolność* wezwany został do powrotu na wody amerykańskie.

Po wylądowaniu w Plymouth Nik, panna Alicja, pani Papacock i państwo de la Blanchere poczęli się starać o jak najszybszy powrót do Francji. Nieprzewidziane jednak przeszkody utrudniały wykonanie zamiaru. Z rozkazu admiralicji komunikacja pasażerska pomiędzy Southampton a Havrem była zamknięta. Pozostawała droga na New-Haven, Folkestone i Douvres.

Nasi znajomi opuścili Plymouth, pogrążony do połowy w ciemności skutkiem krótkich spięć zaszłych w elektrowniach, i siedli do pociągu, udającego się do New- Haven. Dowiedziano się tam, że ze względów ostrożności odjazd statku do Dieppe został wstrzymany na czas nieokreślony.

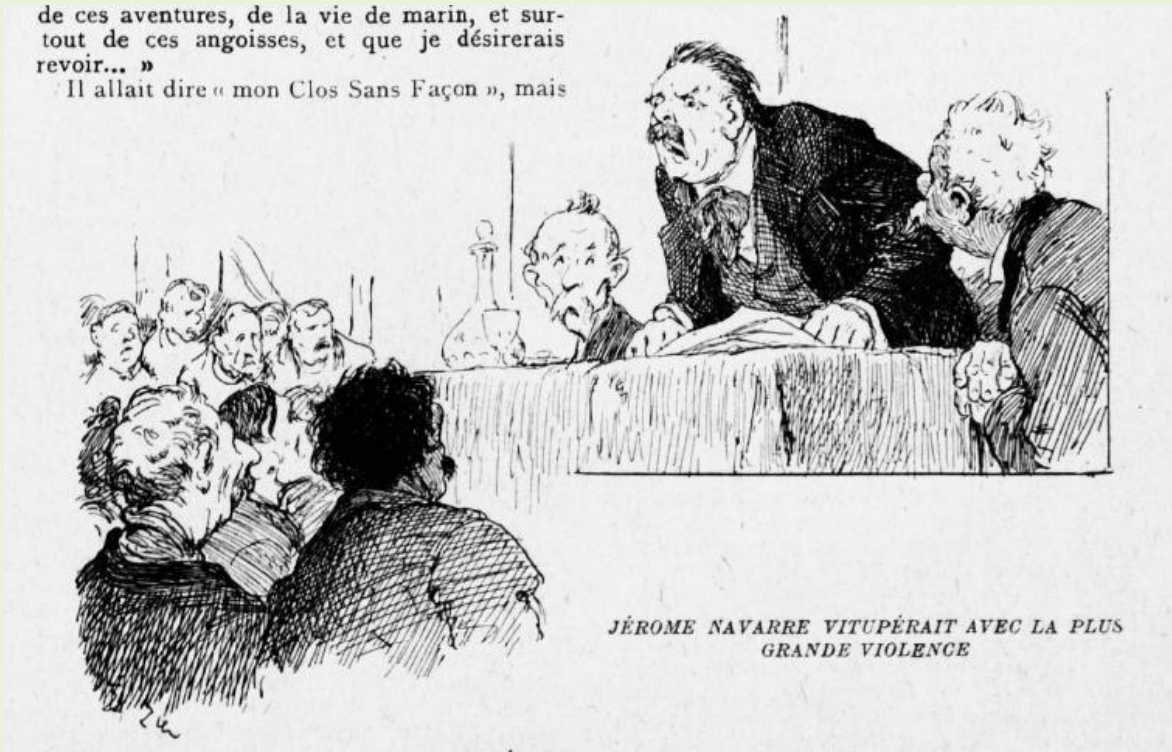
Po zebraniu zupełnie pewnych informacji, że linja Folkestone - Boulogne była czynna, Jerzy zatelegrafował do redakcji *Nowin*, żądając przysłania do Boulogne dzielnego szofera z samochodem.

Tymczasem nadzwyczajne rzeczy działy się w Havrze. Miasto opanowane było przez agitatorów i rewolucjonistów, którzy, mimo braku poważnych przyczyn natury ekonomicznej, wywołali strajk robotników portowych i usilnie go podtrzymywali przy pomocy wieców i manifestacyj. Tego wieczora w miejscowym cyrku komunista Hieronim Navarre, poseł do parlamentu, miał wygłosić wielką mowę, której oczekiwano w najwyższym podnieceniu. Rozagitowane przez partyjne dzienniki, ulotki i afisze, zdenerwowane tłumy wypełniły salę po brzegi. Już w ciągu dnia poważne starcia miały miejsce pomiędzy strajkującymi z jednej, a tak zw. „żółtymi”, czyli pragnącymi powrotu do pracy, z drugiej strony. Jednego z robotników wrzucono nawet do stawu; na szczęście udało go się w porę wyratować.

Mury oblepione były czerwonymi plakatami, na których widniały najordynarniejsze przekleństwa i groźby pod adresem „wyzyskiwaczy”, pijących krew robotniczą: „Zburzmy twierdzę burżuazji, podpalmy fabryki, wysadźmy w powietrze okręty i.t.p. “ Otóż w cyrku, z estrady, nad którą wznosił się olbrzymi transparent z napisem: „Trzecia międzynarodówka. Proletariusze wszystkich krajów łączcie się! “ i emblematy komunistyczne, kielnia i młotek, Hieronim Navarre wielkim głosem grzmiał przeciwko klasom

de ces aventures, de la vie de marin, et surtout de ces angoisses, et que je désirerais revoir... »

Il allait dire « mon Clos Sans Façon », mais



JÉROME NAVARRE VITUPÉRAIT AVEC LA PLUS GRANDE VIOLENCE

posiadającym, rentjerom, burżujom, darmożjadom, kapitalistom, kupcom i przemysłowcom, których utuczył pot i krew ludu. Głosił on zasadę nieuniknionej walki klas: „Żadnej współpracy ze zbrodniarzami, którzy chcą nas trzymać w niewolnictwie! Głosimy świętą wojnę przeciwko pijawkom-kapitalistom naszego kraju !“ Grzmot oklasków, przerywanych dzikimi okrzykami aprobaty, rozległ się po przemówieniu pana Hieronima, chociaż wszystkim znany był jego książęcy sposób życia. Był to człowiek, zbogacony przez małżeństwo i prowadzący różne podejrzane interesy.

Napuszony i zadowolony, miał zamiar właśnie dalej przemawiać, gdy nieprzewidziany wypadek przerwał jego krasomówstwo. Na sali nagle bardzo się ściemniło i niebawem zgasły wszystkie lampy. Całe zgromadzenie znalazło się w ciemnościach.

Domyślano się powszechnie, że to robotnicy elektrowni przyłączyli się do strajku. Rozległy się brawa i wniesiono kilka lamp naftowych. Ktoś wpadł na myśl zatelefonowania do elektrowni, nie otrzymał jednak połączenia. Telefony przestały działać.

— To z pewnością sztuczka łamistrajków. Pozbawili nas elektryczności i wyłączyli telefon zakrzyknął gorliwy komunista, Franciszek Laboeuf, robotnik fabryki tytoniu.

Zdanie to znalazło żywy oddźwięk na sali. Odpowiadało ono nastrojowi chwili i trafiało do przekonania podnieconemu

nienawiścią tłumowi

— Śmierć łamistrajkom! — wołano.

— Śmierć dyrektorom, oni to podtrzymują łamistrajków i śmieją się z nas!

— Podpalić giełdę — ryknął pewien tragarz, który robił wrażenie dobrze pijanego.

— Tak, tale, podpalić giełdę — rozległy się wściekłe okrzyki, gdy tymczasem, przerażony obrotem rzeczy Hieronim Nayarre, próżno starał się uspokoić swych kompromitujących wielbicieli.

Tłum wysypał się na ulicę i z okrzykami pociągnął ku giełdzie. Po drodze niektórzy z manifestantów zabierali przerażonym dozorcóm domowym blaszanki z naftą, inni nie wiadomo skąd wyciągali wiązki słomy, byli i tacy, którzy nieśli stoły, krzesła, ławki. Wszystkie te przedmioty zlane naftą buchnęły olbrzymim płomieniem, obejmującym mury giełdy. Wkrótce piękny gmach, uważany za twierdzę kapitalizmu, cały objęty był pożarem. Złowroga luna zawisła nad miastem.

ROZDZIAŁ XX

OPOWIADA, W JAKI SPOSÓB SKOŃCZYŁY SIĘ

ROZRUCHY.

Niebawem w całym pędzie nadjechała straż ogniowa. Tłum obrzucił strażaków kamieniami, odłamkami żelaza i różnymi przedmiotami. Szał zniszczenia, ogarniający manifestantów, ciągle wzrastał. Nieliczna policja była zupełnie bezsilna. Władze wezwały na pomoc, wojsko.

Właśnie w momencie, gdy z najbliższych koszar nadeszli żołnierza, zebrani spojrzeli w górę i ze wszystkich piersi wyrwał się okrzyk zdumienia. Ujrzano w powietrzu niezwykle zjawisko. Na tle kłębiących się z zawrotną szybkością chmur rysowały się wyraźnie ciemno-fioletowe smugi świetlne. Opisując w powietrzu spirale, wszystkie chmury gromadziły się nad miastem. Od strony portu

przebłyskiwało światło pomarańczowe.

Cizba strajkujących w swem niszczycielskiem zaślepieniu sądziła, że w mieście wybuchły inne jeszcze pożary. Byłyż one dziełem przypadku, czy zamachami rewolucjonistów? To drugie przypuszczenie nie łatwiej trafiało im do przekonania.

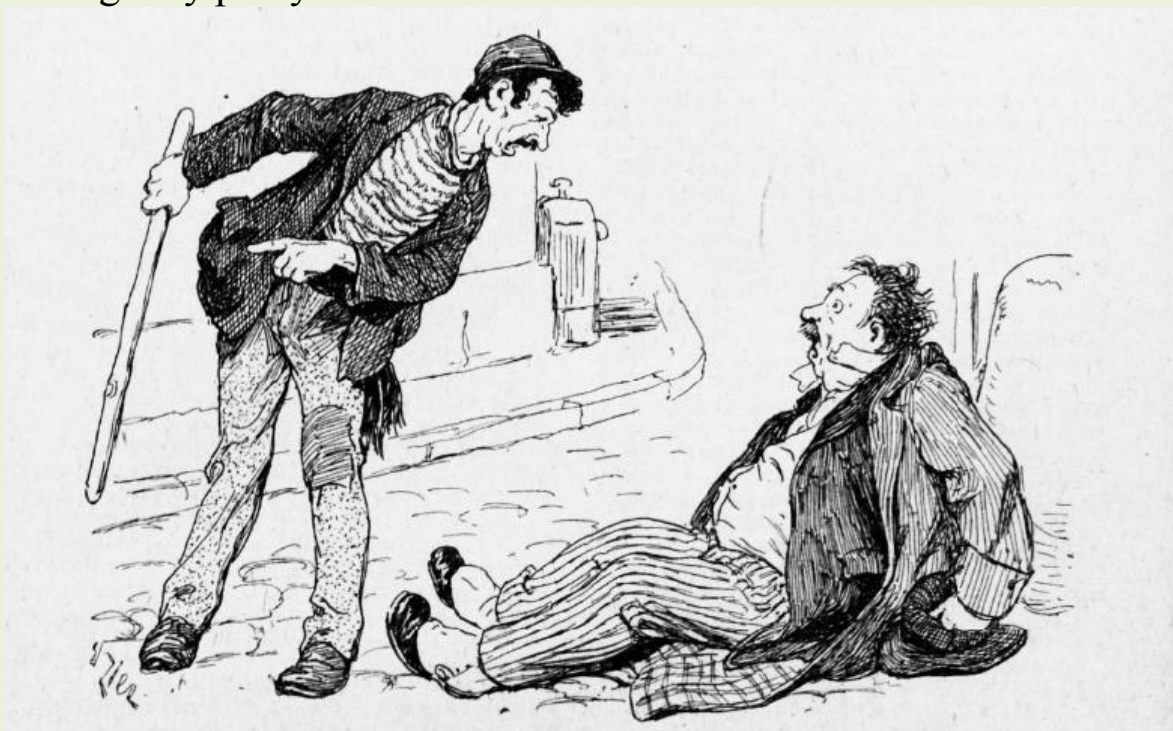
Wysłano ludzi na zwiady, ale nikt z nich nie powrócił.

Nagle pomarańczowe światło objęło całe miasto. Jego promienie zdawały się mieć źródło w chmurach. Najmniej spostrzegawczy z pośród tłumu zrozumieli wkrótce, że światło pochodzi z latawców bardzo nisko szybujących nad ziemią. Dochodziło zresztą uszu zebranych przenikliwie warczenie zupełnie inne od szumu zwykłych aeroplanów.

Snopy światła rzucane były kolejno w główne ulice i bulwary, poczem skoncentrowały się na placu Giełdy. Ustał natychmiast ogłuszający zgiełk zebranego tłumu i plac zaległa przerażająca cisza. Wszystko jak gdyby zamarło; rozhlukani robotnicy zamienili się w nieruchome posągi, które niebawem ożyły na nowo, wykonywując ruchy wolne, miarowe, prawie mechaniczne. Wszyscy ustawili się w prawidłowe szeregi, później w oddziały, nad którymi komendę objęli zaimprovizowani dowódcy. Wojsko to, maszerując w doskonałym ordynku, skierowało się ku portowi. Nie tylko komuniści objęci zostali tą zastraszającą psychozą. Żołnierze, policjanci, strażacy, jednym słowem wszyscy, których musnęły pomarańczowe promienie, zostali jak gdyby usidleni przez nie, dotknięci tą samą biernością, przeistoczeni w niewolników. Te karne stada prowadzili do nieznanego celu wybrani z pośród nich dozorczy, działający w myśl wyższych jakichś i tajemniczych rozkazów. Dowódcami na ogół nie byli ci, których przeciętna opinia uważałaby za godnych tego stanowiska, lecz prości robotnicy i żołnierze. Natomiast podprefekt, oficerowie, deputowany Hieronim Navarre, zamagnetyzowani przez promienie, w niewolniczym tłumie stali się zwykłymi pionkami.

Gdy tylko który z szeregowców, ranej wrażliwy na działanie pomarańczowych promieni, próbował się buntować, wówczas dowódcy oddziałów, uzbrojeni w pałki lub w pręty żelazne, okładali go razami, niczem narowistego konia. Coś podobnego przytrafiło się komunistycznemu posłowi. Gdy uczynił gest protestu, omal że nie został na śmierć zatłuczony przez „towarzysza” Galambert, sekre-

tarza giełdy pracy w Havrze.



W ten sposób z różnych punktów miasta kroczyły ku portowi żałosne pochody ludzi, zamagnetyzowanych przez zagadkowy fluid i przypominających stada bydła, prowadzonego na ubój.

.....

W trzy dni później panna Alicja Milburne i jej towarzysze w eleganckim samochodzie redakcji *Nowin* pędzili w kierunku Havru. Auto prowadził Albert Landry, świetny szofer, niegdyś zwycięzca rajdów, po ciężkim wypadku pozostający w służbie prywatnej.

Szalona jazda w zwykłych okolicznościach byłaby bardzo przyjemna. Pogoda była piękna, niebo czyste i tylko lekkie podmuchy wiatru miłe chłodziły twarze podróżnym. Panna Alicja i pani de la Blanchere zajmowały przednie siedzenie, naprzeciwko ulokowali się Nik i pani Papacock. Jerzy siedział obok szofera.

— Droga kuzynko — pytał Nik — czyż nie piękny jest kraj, przez który jedziemy?

— O tak, wszak to owa kwitnąca i płodna Normandja.

— Kto wie, czy nie ta płodność właśnie sprowadza tu Areanthropów.

— Niestety, należy się obawiać, że ich przybycie doprowadzi do spustoszenia tej Ziemi.

— Tylko z winy jej mieszkańców. Czemuż ludzkość na ogół jest ograniczona !?

— Jestem pełna podziwu — ciągnęła panna Alicja — dla tych szczególnych istot, posiadających wiedzę tyle wyższą od naszej.

--- Ja również; wydają mi się oni jednak w porównaniu z ludźmi upośledzeni pod niektórymi względami, np. pod względem uczucia.

— Możliwe, lecz z uczucia rodzą się błędy i fałszy.

— Jest ono również boskim przewodnikiem ku prawdzie, pięknu i dobru.

W miarę jak podróżni nasi zbliżali się do miejsca niezrozumiałych i strasznych wypadków, konstatawali wzrastającą wśród mieszkańców trwogę. Dieppe było jeszcze dość spokojne, lecz miejscowość Fecamp wyludniała się w oczach. Odtąd auto coraz częściej spotykało pojazdy, wypełnione po brzegi przerażanymi ludźmi, którzy z tem, co mieli najcenniejszego, uciekali z zagrożonej okolicy. Jedni jechali do Paryża, gdzie spodziewali się skuteczniejszej opieki rządu, inni liczniejsi udawali się w góry, Wogazy, Alpy, nawet Pireneje, w obawie, że *djabły* popłyną Sekwaną w głąb kraju, oczywiście już na innych, mniejszych statkach.

W rzeczywistości żaden z uciekinierów nic nie wiedział. Słyszeli jednak opowiadania o strasznych pożarach i krwawych walkach w Havrze, o zniszczeniu połowy miasta, o wybiciu albo zamknięciu w więzieniach storturowanych mieszkańców, o tem, że wojska wysłane przeciw Marsjanom zostały unicestwione i wiele innych alarmujących plotek, które się łatwo rodzą w chwili zamętu. Co się tyczy naocznych świadków, tych brak było z powodu czarodziejskiego działania ujarzmiających promie ni. Ktokolwiek ujrzał choćby refleks magicznego światła i pochody nieszczęsnych skazańców na ciężkie roboty, uciekał co sił starczyło. Widząc podróżnych, kierujących się do fatalnego miasta, wszyscy okazywali najwyższe zdziwienie.

— Jak to — wołano — jedzcie do Havru, czyż nie wiecie, co tam się dzieje? Narażacie się na śmierć i najsrozsze męki! Zresztą, nie będziecie mogli się tam dostać — przejazd wzbroniony!

— Przesada! — odpowiadała panna Alicja. — Właśnie jadziemy do Havru, aby się porozumieć z temi strasznemi istotami, pochodzącemi z Marsa.

— Ach, pani ich nie zna — wołały przerażone głosy. — Zabijają państwa albo porwą jak tyłu naszych krewnych i znajomych.

Mimo te wszystkie przestrogi sześciu nieustraszonych podróżnych z szybkością, na jaką tylko mogło się zdobyć auto, podążało ku „przekłętemu miastu”, w samą paszczę okrutnych *djabłów*.

ROZDZIAŁ XXI

NIEPRZEWIDZIANA SPRZECZKA I ROZCZULAJĄCA ZGODA.

W pewnej wiosce niedaleko Havru prefekt departamentu pan Isambert i generał Savard, dowódca 3-ej dywizji, założyli główną kwaterę, nie puszczając nikogo do miasta.

Dopiero po okazaniu swych legitymacyj dziennikarskich i po dłuższych pertraktacjach Nik i Jerzy uzyskali pozwolenie przejazdu.

Zresztą władze miały do pokonania trudności, przekraczające ich możliwość. Siły policyjne i wojskowe, wysłane do Havru, nie powróciły. Również nie ujrzano więcej aeroplanów, wysłanych na zwiady. Przepisowe kauczukowe płaszcze i maski okazały się bezskuteczne. Areanthropowie, jak się zdawało, przekształcili swe promienie magnetyczne.

Od strony morza pancernik *Lazare-Carnot*, torpedowce i łodzie podwodne blokowały port, chociaż bez rezultatów, obawiając się zbliżyć, aby ich nie spotkał los angielskiego pancernika *Niezwykłego*.

Oczekiwano na przybycie tanków. Niewiele jednak spodziewano się po nich, gdyż Marsjanie mogli najtwardszą stal rozłożyć zupełnie na cząsteczki. Na wszelki wypadek wokół miasta kopano rowy, w nadziei, że ochronią one żołnierzy od szkodliwych promieni. Jednocześnie komisja, złożona z najwybitniejszych uczonych, pracowała nad znalezieniem środków, neutralizujących działanie promieni Marsjan.

Nie było to rzeczą łatwą, gdyż dla skutecznych studiów należało poddać się ich działaniu, co się równało zupełnemu pozbawieniu woli. Wielu ochotników bohatercko zaofiarowało się dla wypróbowania różnych ubrań i masek ochronnych. Żaden z nich nie wrócił. Zaczęła się szerzyć panika. W całym departamencie wprowadzono stan obłączenia.

Łatwo się domyśleć, że w tych warunkach nasi automobiliści uważani byli za szaleńców.

Generał Savara pożegnał ich jak skazańców, a prefekt ironicznie polecał im sporządzić testament. Mimo to nieustraszenie puścili się w dalszą podróż, chociaż wieczór już zapadał. Przybyli wreszcie na przedmieście Havru. Ulice były bezлюдne, domy, wyjąwszy kilka ruder, opustoszałe. Po bliższej obserwacji zauważono za szybami okien, w głębi sieni i na podwórkach, nieliczne blade i przerażone twarze. Jerzy próbował wybadać kilku tych nieszczęśliwców, nie mógł z nich jednak wydobyć dorzeczej odpowiedzi. Wskazano mu



człowieka, który, ujarzmiony przez *djabłów*, został jednak zwolniony, jako zbyt słaby do pracy. Ale ten nic nie pamiętał i nie mógł udzielić żadnych wyjaśnień, robił wrażenie człowieka, który postradał zmysły.

Auto posuwało się dalej. Nagle Nik stuknął się w czoło.

— Musimy koniecznie dać o sobie znać Areanthropom, w przeci-

wnym bowiem razie ulegniemy działaniu pomarańczowych promieni i zostaniemy wcieleni jak bezmyślne istoty do szeregów pracujących, a wówczas wszelkie porozumienie będzie już niemożliwe.

— A więc uprzedźmy ich o naszym przybyciu. Na szczęście promienie magnetyczne nie działają w tej chwili.

— Tak, ale czy nie odczuwacie jakiegoś dawnego drgania?

--- Istotnie, odczuwam w nogach jak gdyby mrówki. Nie jest to zresztą przykre. — Nigdy nie byłem lepiej usposobiony ani silniejszy.

— Ja również.

Jak gdyby dla zadania kłamu temu optymizmowi, rozległa się silna detonacja. Pękła opona tylnego koła w samochodzie. Wypadek ten mógł spowodować niepożądane opóźnienie. Wszyscy zakrzętnęli się koło naprawy. Szofer przy pomocy lewara uniósł tył samochodu, Jerzy odwiązał szybko zapasowe koło. Jednocześnie Nik podbiegł do pobliskiej pompy, aby napełnić wodą chłodnicę. Panna Alicja pobiegła do sklepiku, chcąc nabyć balon benzyny. Drzwi sklepiku były na oścież otwarte — wewnątrz nie było nikogo. Każdy szczegół świadczył o panicznej ucieczce. W jednym kącie czarny kot raczył się porzuconym na ziemi słoikiem konfitur. Młoda dziewczyna znalazła bez trudu to, czego szukała, zostawiając na ladzie opłatę za nabytą w szczególnych warunkach benzynę.

Tymczasem pani de la Blanchere, która wyszła z auta, aby użyć nieco ruchu, krzyknęła: — Jakież brudne jest nasze auto! — i zaczęła je energicznie czyścić przy pomocy pani Papacock.

— Nie trudź się, droga Viviano — rzekł Jerzy.

— Sprawia mi to przyjemność, zresztą czuję potrzebę pracy i muszę dać ujście swej energii.

--- Zapewne wciąż odczuwasz te jakieś mrówki w rękach i nogach i to cię podnieca do ruchu.

W tej samej chwili *odgłosy* żywej sprzeczki doszły ich uszu. To Nik podniesionym głosem rozmawiał z szoferem.

— To śmieszne dać się tale długo zatrzymać przez głupie pęknięcie opony.

— Niema w tern nic dziwnego po tak szalonej jeździe, śmieszne raczej jest przybycie tu, *diabłom* na pożarcie.

— Udławiliby się panem.

— Udławiliby się, czy nie, dość już mam tej pracy ponad siły dla

ludzi, którzy zamiast być wdzięczni, nie szczczędzą obelg. Radźcie sobie sami, wracam i zabieram auto do Paryża.

— Ma pan słuszość oświadczyła pani Papacock — i ja mam już dość Marsjan, ich promieni i ich cudów. Zmęczyła mnie ślepa uległość fantazjom niedowarzonej dziewczyny.

— Niech się pani uspokoi — rzekła surowo pani de la Banthere. — Nie godzi się mówić w ten sposób o swej wychowanicy, niemal córce, tak dobrej i inteligentnej. Nie sądziłam, że jest pani zdolna na coś podobnego...

— Dziękuję, kochana Viviano — odpowiedziała Alicja — nie zwracaj uwagi na słowa pani Papacock. Zawsze była nieznośna. Uważam zresztą, że na te okropne awantury naraził nas wszystkich mój kuzyn, pan Azard.

— Ach, więc to ja jestem wszystkiemu winien, kuzynko?

— Zapewne, żeby nie pan, nie przybyłabym do Francji. Raczy pan sobie przypomnieć, że przyjazd mój, zgodnie z ostatnią wolą mego ojca, nie miał na celu studjowania obyczajów Marsjan, lecz wprowadzenie mnie przez pana w wielki świat Paryża.

— To prawda — przyznał Nik z ironją. — Właśnie teraz powinniśmy biegać po balach, koncertach, eleganckich herbatkach, teatrach, wyścigach, dancingach i t. p.

Przy wyliczaniu wszystkich tych światowych rozrywek, które budziły w nim zgrozę, zimny pot wystąpił mu na czoło.

— Stańć oko w oko wobec największych niebezpieczeństw wydaje mi się rozkoszą w porównaniu z odrabianiem tej pańszczyzny — pomyślał.

— Dziękuję, impertynent z pana nielada.

— Nienawidzę pani.

Rozmowa przybierała ton kłótni. Twarde i nieprzyjemne, słowa padały jak grad. Niewiadomo, do czegooby doszło, gdyby nagle wszystkich nie ogarnęło subtelna niebieskie światło, niby jakaś szczególna, kojąca zorza.

— Jakież to piękne — wykrzyknęła Viviana. — Odczuwam w duszy rozkoszny spokój i wstydę się mego zdenerwowania. Przepraszam panią Papacock i żałuję bardzo mych niegrzecznych słów.

— Ach, pani, ja to proszę pannę Alicję o przebaczenie za niemile

słowa, które nie wiem, jak mi się wyrwały.

— Ja również — oświadczyła panna Milburne, obejmując swą guwernantkę — wyrzucam sobie niesprawiedliwe traktowanie pani i proszę mego kuzyna Nika o zapomnienie niezasłużonych wymówek.

— Droga kuzynko, cofam ze wstydem przykre słowa, wypowiedziane pod adresem pani. Co zaś do pana, panie Landry, mam nadzieję, że nie żywi pan do mnie urazy. Nie pana to wina, że pękła opona.

— Ach, panie, całą winę biorę na siebie, jestem zbyt nerwowy. Nie opuszczę państwa pomimo grożących niebezpieczeństw.

— Bravo! — zakończył Jerzy. — A wiecie, co to wszystko znaczy? Oto podlegliśmy wpływowi zagadkowych fluidów, będących na usługach Marsjan. Drgania, które odczuliśmy jak gdyby mrówki w nogach, podnieciły nasze nerwy i energię, niebieskawe zaś światło usunęło to podniecenie. Teraz pomyślmy o **tem**, jak dać znać o sobie *diabłom* i w jaki sposób wysiać dostatecznie zrozumiały sygnał?

— Najlepiej chyba — powiedział Nik — gdy noc zapadnie, użyć również z naszej strony jakichś świetlnych znaków, jeśli znajdziemy na to sposób.

— Owszem — zgodził się Jerzy — nasze auto ma przecież silny reflektor.

— Doskonale. Widzę w pobliżu wielki, biały mur, którego użyjemy jako ekranu. Rzućmy nań znak, ujawniający naszą obecność i pokojowe zamiary. Może pani, panno Alicjo, jako znająca język tych potężnych istot, zechce dać mi jakąś wskazówkę.

Możnaby przesłać znak, wyrażający u nich uczucie braterstwa. Dwie równoległe przecinają w poprzek elipsę, co ma oznaczać: pójdźmy razem ręką w rękę przez życie.



— Zrobione. Panie Landry, niech pan puści w ruch dynamo, ja przygotuję reflektor.

Po chwili Nik wyciął z papieru znak Areanthropów i umieścił go na reflektorze. W ten sposób znak w dużym powiększeniu odbił się na murze i widoczny był z daleka. Jednocześnie dawano głośne sygnały trąbą.

Odpowiedź nastąpiła niebawem. Wspaniały snop pomarańczowego światła padł na mur, ogarniając podróżnych swemi magnetycznymi promieniami. Natychmiast pociągnięci byli ku źródłu tego światła i uświadomili sobie, narzucony obcą wolą rozkaz:

— Podążajcie ku morskiej latarni.

ROZDZIAŁ XXII.

NIEPOKOJĄCE ŚWIATŁO.

Automobil ruszył w drogę ku wzgórzom, na którym stała latarnia morska. Było coś fantastycznego w tej nocy, przesyconej niepokojącymi błyskawicami światła, w których czuło się jakąś nieznaną i straszną potęgę. Zdawało się, że na rozkaz uczonych magów, przybyłych z innego świata, działają jednocześnie ukryte żywioły lądu, morza i nieba.

Niezależnie od tych światła i niewidzialnych fluidów, przebiegających przestrzeni i wszystko przenikających, na skrzyżowaniach ulic umieszczone były projektory o różnym natężeniu. Projektory rzucały snopy światła, na razie przynajmniej nieszkodliwego, wzdłuż ulic, bulwarów i placów; była to owa niebieskawa jasność, o własnościach kojących, siejących spokój, możnaby rzec zniewalających.

To też gdy auto jechało zwolna po zboczach wzgórz, podróżni zamiast dawnego zdenerwowania czuli w sercach podziw i prawie sympatię dla „mistrzów promieni”, jak nazwał Marsjan pan Azard. Tymczasem liczne niepokojące wskazówki świadczyły, że na wzgórzach dzieją się rzeczy niezwykle. Nietylko widziano na niebie refleksy, krzyżujących się potężnych światła, lecz echo donosiło jakieś ponure i wzmagające się hałasy, ostre lub przeciągłe krzyki, przerywane jękami i posępnym zawodzeniem.

Po przybyciu auta ku latarni morskiej oczom podróżnych przedstawił się widok, mrozący krew w żyłach.

Ujrzano w głębi, unoszące się z latarni wprost ku górze dwa olbrzymie ciemno-fioletowe promienie, które ginęły gdzieś w przestworzach niebios.

Wokół latarni wznosiły się rozległe budowle, a raczej wielkie baraki, z których dochodziło niezwykle sapanie potężnych maszyn.

Uwaga wszystkich skupiła się jednak na czymś znacznie okropniejszym. Na plac, tworzącym regularne koło, kręciły się jak w kieracie masy zupełnie bezwolnych, nieustannie jęczących i zawodzących ludzi. Jaskrawy, czerwony promień, rzucony z prawej strony latarni, raził nieszczęśliwców, niemających możliwości ukrycia się przed nim. Niekiedy próbowali zatrzymać się na chwilę w swej krzyżowej drodze, ale wówczas smagał ich promień pomarańczowy, pod działaniem którego automatycznie posuwali się dalej, zbliżając się nieuchronnie ku czerwonemu palącemu biczowi. Wówczas przeraźliwe jęki przesywały powietrze.

— To okropne — szepnęła panna Alicja, odwracając się od obrazu, przypominającego piekło dantejskie.

W chwili, gdy Nik zamierzał podzielić się wrażeniami z towarzystwem, pani Papacock przeraźliwie krzyknęła. Ukazała ze zgrozą straszną istotę, zmierzającą ku automobilowi. Był to olbrzym, mający 2 1/2 metra wysokości, o wielkich stopach, szerokiej piersi i olbrzymiej o trzech oczach głowie.

Dwoje oczu miał zamkniętych, trzecie rzucało niebieskawy, fosforyczny, jak u kota, blask.

Podniósł prawą rękę do czoła, poczem wyciągnął ją ku głowom tych, których chciał powitać. Zgodnie ze wskazówkami panny Alicji przybysze pozdrowili go w podobny sposób. Poczem Marsjanin rzucił dwa krótkie słowa.

— Mówi: Chodźcie za mną — wyjaśniły panna Milburne.

— Pieszko, czy w aucie? — zapytał Jerzy. Czy możemy samochód tu zostawić?

— Sądzę, że tak, zresztą zapytam.

Wymieniła kilka gardłowych dźwięków z Marsjaninem, który natychmiast rozlał wokół wozu jakiś płyn, świecący czerwonym światłem.



— Teraz — rzekła panna Alicja — auto jest Zabezpieczone, nikt nie zdoła przekroczyć zaczarowanego koła, Chodźmy za naszym przewodnikiem. Jest on bardzo uprzejmy i nazywa się Momm-Trump, oznacza to „trójkąt równoboczny”, będący symbolem równego charakteru i dojrzałości umysłu. Spotykałam go na

pokładzie *Zoulound'a*, między swoimi odgrywa on rolę podrzędną, jest jednak wzorowym pracownikiem.

— A kto jest przywódcą całej wyprawy Marsjan? — spytał Nik.

— Jest nim starzec, o którym już słyszeliście; nazywa się Raph-Glymm, co znaczy: „gwiazda mądrości”.

— Czy to ich król? Czy **może** prezydent republiki?

— Ani jeden, ani drugi. Rządy mają oligarchiczne, na czele stoi nie kasta, lecz grupa najdoskonalszych jednostek.

— Powołanych bez wątpienia przez wybory? Ale w jaki sposób się to odbywa?

— Zupełnie inaczej, niż u nas. Ich uczeni wynaleźli od dawna aparaty rejestrujące, bardzo czułe, dla badania zdolności umysłowej i wartości moralnej danego osobnika. Każdy jest poddany takiemu egzaminowi, skąd łatwość wyboru najzdolniejszych ministrów, prawodawców i najgodniejszego naczelnika państwa.

— Czy intrygi jednakże nigdy nie górują nad zasługą?

— Nie, gdyż w dziedzinie rachunku niemożliwa jest pomyłka, zagadnienie jest rozwiązane, albo nie. Najpiękniejsze słowa nic nie znaczą wobec wymowy cyfr.

— A namiętności ludzkie?

— Przepraszani, mówimy nie o ludziach, lecz o Marsjanach. Znają oni jedną tylko namiętność, jest nią pragnienie wiedzy. Są dość rozsądni, aby z rezygnacją objąć miejsce, które wyznaczyły ich zdolności.

W tej chwili uprzejmy Momm-Trump zatrzymał się przed barakami.

— Jesteśmy na miejscu — rzekła pani de la Blanchere.

— W głównej kwaterze panów Marsjan — dorzucił Jerzy.

— Może pani zechce, kuzynko, zwrócić się do naszego przewodnika o wyjaśnienie tej smutnej sceny, której przed chwilą byliśmy świadkami.

Panna Alicja zwróciła się do Marsjanina, poczerń przetłumaczyła odpowiedź:

„Są to zbuntowani robotnicy, najinteligentniejsi i najenergiczniejsi, którzy próbowali wzniecić wśród towarzyszków ducha oporu i organizowali strajk. Ponieważ zdolności umysłowe czyniły ich mniej wrażliwymi na pomarańczowe promienie, zostali poddani torturze

przez światło, budzące śmiertelną trwogę.

— Cóż to takiego?

— Ludzie pod wpływem tych promieni dostają manji prześladowczej, lękają się własnego cienia, są dotknięci ostrą neurastenią, która w końcu prowadzi ich do samobójstwa. Promienie pomarańczowe jednak zmuszają ich do życia i dalszych cierpień. Po tych okropnych mękach staną się zupełnie biernymi.

— Przemówi pani za nimi, prawda?

— Mam właśnie ten zamiar.

Nasi podróżni pod wodzą Momm-Trumpa weszli do głównego baraku i znaleźli się w wielkiej sali, gdzie zostawiono ich samych. Panowała tam przyjemna i niezwykła świeżość, niewiadomo skąd przenikało kojące światło. Na jednej ze ścian rozwieszony był wielki ekran, wzdłuż innych stały liczne półki i stoliki z tajemniczymi narzędziami, a więc miedziane, lub platynowe lewarki, cewki, rurki szklane, dyski, elektromagnesy, ampułki i wiele różnych aparatów, nie przypominających w niczym, używanych przez naszych inżynierów. Niektóre z tych mechanizmów drgały, tykotały, niepokojąco sapały i wydawały różne nieokreślone dźwięki, świadczące o działaniu potężnych prądów elektrycznych, lub nieznanymi fluidów. W głębi sali rzucały się w oczy szerokie otwory, zamknięte przez metalowe płytki. Znaczenie ich niebawem się wyjaśniło, doszedł bowiem z tej, strony głos niewidzialnego Momrn -Trampa. Młoda Amerykanka tłumaczyła jego krótkie przemówienie.

„Znakomity Raph-Glymm, szanowny nasz naczelnik, przeprasza, że nie może was przyjąć w tej chwili; czuje się niezdrów z powodu zbyt dużego upału. Jednakże będziecie mogli rozmówić się z nim krótko przy pomocy telefonu z głośnikiem i ujrzycie jego szlachetne rysy dzięki telewizji. Macie do waszej dyspozycji tabliczki, eliksiry i gazy odżywcze, jak również odświeżający prąd elektryczny. Gdybyście nadto czegoś potrzebowali, wyrazicie przez telefon swe życzenia, a będą natychmiast spełnione. Dzisiejszej nocy muszą wam wystarczyć maty, znajdujące się w sali, gdyż brak nam chwilowo łóżek. Jutro dostaniecie lepsze pośłania. Niech wielki *Elektrotechnik Świata* ma was w swej opiece!

ROZDZIAŁ XXIII.

U MARSJAN.

Gdy minęła pierwsza emocja, znajomi nasi poczuli, upadają ze znużenia i głodu, nie jedli bowiem nic od rana.

— Nie mam już sił — rzekł szofer, kładąc się jak długi na pierwszą z brzegu matę.

— Mój żołądek od dawna dopomina się o swe prawa — oświadczył Nik.

— Mój również — potwierdziła pani de la Blanchere.

— Co do mnie — powiedział Jerzy — jestem głodny jak wilk i spragniony jak,.. jakież to zwierzę ma największe pragnienie?

Pani Papacock złorzeczyła bezustannie Marsjanom, Francuzom, Anglikom i kolejno wszystkim towarzyszom, czyniąc ich, odpowiedzialnymi za wypadki.

— Przede wszystkim należy zjeść kolację — zdecydował Jerzy. Żono, zechciej przetłumaczyć na język Marsjan nasze życzenie.

Pani de la Blanchere wypowiedziała kilka mało harmonijnych dźwięków. Natychmiast opad! przytwierdzony na zawiasach do ściany stół. Jednocześnie zostały oświetlone cztery przezroczyste tabliczki z napisami. Panna Alicja wyjaśniła:

— Doskonale. Oto co nam proponują jako menu: *Potrawa stała, płynna, gazowa i elektryczna.*

Pod pierwszym napisem leżała duża płaska bombonierka, wypełniona pigułkami odżywcze, pod drugim ustawione były szeregi buteleczki napełnione płynem. Jako posiłek gazowy figurował zwykły balon, jakiego używamy do zgęszczonego gazu. Pod czwartym napisem stał niezwyklej rozmiarów fotel z platynowemu poręczami; wielkość jego zastosowaną była do kolosalnego wzrostu Marsjan.

— Pigułki i eliksir — wyjaśniała dalej panna Alicja — spożywa się jak zwykły posiłek, ale z lepszym skutkiem. Gaz wzmacnia płuca i jednocześnie odżywia. Co się tyczy fotela, podlega się na nim działaniu specjalnego prądu elektrycznego, który ma własność zabijania wszelkich toksyn w komórkach nerwowych, usuwa

zmęczenie i jego skutki, jednym słowem w zupełności może zastąpić sen. Przypuszczam, że wszyscy podzielą moje zdanie, aby pierwszy skorzystał z fotela nasz wierny i padający ze zmoczenia szofer. Z pewnością po chwili wróca mu dawne siły.

— Dziękuję — rzekł niepewnie Landry. Boję się trochę, czy to nie jest fotel elektryczny na wzór amerykańskich?

— Może pan być zupełnie spokojny — niejednokrotnie na pokładzie *Zoulouland'u* wyjaśniano mi pożytek tego sprzętu.

— A więc dobrze, spróbuję jego cudownej mocy.

I Landry siadł w fotelu, kładąc ręce na poręczach, jednocześnie z rąk do rąk przechodziła bombonierka z pigułkami, a pani de la Blanchere raczyła swych przyjaciół maleńkimi kieliszkami eliksiru. Nik, zawsze oryginalny, zabrał się do balonu z gazem, który wydał mu się wyborny i posilny.



Nagle rozległ się dźwięk jakiegoś niezwykłego dzwonka. W tej samej chwili ekran na ścianie został oświetlony. Ujrano na nim pomarszczoną twarz przywódcy Areanthropów, mrugającego trojgiem swoich oczu, co miało zastąpić uśmiech. Jednocześnie rozległy się nieprzyjemne dźwięki głośnika telefonicznego. Raph-Glymm tak przemawiał:

--- Pozdrawiam was wdzięczne istoty o długich włosach i wy, mieszkańcy ziemi, mniej fałszywi i zepsuci, jak sądzę, od waszych bliźnich. Witani was z przyjemnością w miejscu, z którego zatriumfuje potęga Marsjan. Sądzono nam panować nad waszą

Ziemią, tak, jak na mocy prawa mądrzejszego podbiliśmy już młodszą planetę, nazywaną przez was Wenerą. Jak wam mówiono, czuję się trochę niezdrów, gdyż mój organizm sterany już wiekiem nie jest przyzwyczajony do ziemskiej temperatury. Na naszym globie jest zazwyczaj bardzo zimno. Mam nadzieję, że będę mógł was przyjąć jutro.

— Szanowny ojcie — odpowiedziała panna Milburne. — Modlimy się o twoje zdrowie. Pozwól, że będziemy błagać cię o łaskę dla nieszczęśliwych skazańców, których straszne cierpienia widzieliśmy przed chwilą.

— Stanie się zadość waszej prośbie; wydam rozkaz, aby zaprzestano ich męczyć.

— Dzięki ci, ojcie, podziwiamy twoją mądrość i dobroć.

— Więc do jutra, wypocznijcie w spokoju! Moje błogosławieństwo jest z wami!

Nasze towarzystwo ułożyło się do snu, jak mogło, nie był to jednak sen głęboki. Nik śnił, że stary Raph-Glymm, w charakterze mera dawał mu ślub z panią Papacock, poczem państwo młodzi udali się w podróż poślubną na objazd planet naszego systemu słonecznego.

Na szczęście fotel elektryczny z powodzeniem zastąpił wszystkim brak snu.

Nazajutrz, zgodnie z obietnicą, naczelnik *djabłów* przyjął swych gości i pozwolił im zwiedzić „Areopolis”, jak nazywał Jerzy osadę Marsjan.

W innych barakach znajdowały się laboratorja elektryczne, fizyczne, chemiczne, bakteriologiczne i prywatne mieszkania Areanthropów. Ponieważ nie znosili oni zbyt wysokiej temperatury, dachy pokryte były specjalną masą, pochłaniającą promienie słoneczne.

Reszta placu przed latarnią zabudowana była warsztatami, składami, różnymi pracowniami mechanicznemu, chemicznemu a nadewszystko elektrycznemu. Był również garaż dla słynnych helikopterów. Wszystko to różniło się wielce od tego, cośmy przywykli oglądać na naszej Ziemi.

— Przyznaję, że mi to imponuje — oświadczył Nik. — Tracę głowę, jesteśmy dziećmi w porównaniu z temi istotami.

Raph-Glymm chętnie dawał pobieżne wyjaśnienia wszystkich

instalacji.

— „Siłę motorową — mówił za pośrednictwem panny Alicii — stanowi elektryczność, znajdująca się w niewyczerpanej obfitości w wyższych warstwach powietrza, skąd chłoną ją owe promienie fioletowe, które widzieliście wczoraj w nocy. W biały dzień są one niewidoczne. Elektryczność doprowadzona jest do potężnych transformatorów, które przekształcają ją na prąd, używany przez nasze motory i aparaty. Co zaś do zwykłego oświetlenia, to dostarczają go nam świecące mikroby, hodowane specjalnie i umieszczane na sufitach, tapetach i t. p.

„Dla osiągnięcia ciemności wystarczy specjalne wyładowanie elektryczne, dzięki któremu „gasną” mikroby. Prąd przeciwny zapala je”.

Dalsze słowa przerwał Marsjaninowi straszny krzyk szofera Landry. Miał on nogę uwięzioną w czymś, co się poruszało i sprawiało wrażenie splotu powrozów.

— Uwolnijcie mnie od tej ośmiornicy — błagał Landry.

— Nie jest to ośmiornica, tylko żyjąca alga — wyjaśnił Jerzy. Podobną już raz wyłowiliśmy z morza, podróżując na *Franche-Comte*.

Raph-Glyinm odwrócił się, otworzył swe trzecie oko i skierował je na potwora, zresztą bardziej wstrętnego niż groźnego, który natychmiast skurczył swe macki.

— Jest to okaz zwierząt-roślin, żyjących na naszej planecie. Jest ona dość suchą jak wara wiadomo, i rośliny, mogące się poruszać, instynktownie kierują się ku bagnetom, które zastępują nam jeziora i morza. Nie zapuszczają one korzeni, lecz czerpią parę wodną przez pęcherzyki swoich macek, a gdy gleba wyschnie, dążą gdzie indziej. Algi te dochodzą nieraz do wielkich rozmiarów.

— Czy macie ze sobą inne okazy waszej flory albo fauny? Owszem, patrzcie.

To mówiąc, przywódca Marsjan wskazał rodzaj kretowiska, popatrzał na nie przenikliwie pomarańczowym okiem i prawie natychmiast wyszło na powierzchnię dziwne stworzenie z dziobem i sześciu łapami.

— Ależ to jest kret z dziobem — zawołał Nik.

--- Macie państwo przed oczyma — ciągnął Raph-Glymm —

zwierzę, u nas bardzo rozpowszechnione, przebywające pod ziemią i odżywiające się roślinami oraz larwami owadów. Ciężenie u nas jest mniejsze, dlatego czuje się ono tam lepiej kopie korytarze o wiele głębsze i porusza się szybciej.

Dostojny przewodnik podszedł właśnie do rodzaju olbrzymiego kurnika, w którym za jego zbliżeniem rozległy się przeraźliwe gwizdy, podobne do dźwięków mechanicznej syreny.

— Czy to ptaki? — zapytała pani Papacock.

— Niekoniecznie. Są to małe uskrzydłone czworonogi.

Na skutek pomarańczowego spojrzenia Marsjanina jedno z tych stworzeń uczepiło się drutów kurnika. Pomimo drobnych kształtów było ono straszne, przypominało młodego krokodyła. Miało tyleż łapek co kret, pyszczek wydłużony, usiany małemi, ostremi zębami, uszy jak u nietoperza, skrzydła, a na ogonie żądło, jak u szerszeni, tylko stokroć większe.

— Zwierzęta te są niebywale żarłoczne i rozmnażają się z nadzwyczajną szybkością. Niegdyś omal nie spustoszyły całego Marsa, pożerając jego roślinność i uśmiercając inne zwierzęta swemi jadowitymi żądłami. Ale już od dawna oswoiliśmy je z łatwością, dzięki prądom elektrycznym, które pozwalają nam poskramiać wszelkie żyjące stworzenia.

Raph-Glymm spiorunował swem czerwonym okiem małego krokodyła, który padł martwy i natychmiast został spożyty przez swych towarzyszków.

Widzowie tej sceny wyrażali właśnie swój podziw i przerażenie, gdy do naczelnika podbiegł Marsjanin, wręczając mu radjodepeszę. Pochodziła ona z głównej kwatery francuskiej i zawierała te słowa:

„Poddajcie się, w przeciwnym razie będziemy atakować i zwyciężymy za wszelką cenę”.

Raph-Glymm po odczytaniu tego ultimatum pogardliwie mrugnął trojgiem swoich oczu, poczem bez żadnego komentarza rzekł, a raczej rzucił rozkaz tym, których oprowadzał:

— Chodźcie za mną, pokażę wam teraz mikroba nagłej śmierci.

ROZDZIAŁ XXIV.

SYTUACJA STAJE SIĘ TRAGICZNA.

Zwiedzających królestwo Marsjan ogarnęło nieme przerażenie, *gdy* wstąpili w progi laboratorium, gdzie szeregami stały klosze i probówki, nieznanymi kształtów słoje, zawierające płyny różnych kolorów i posiewy wszelkiego rodzaju bakteryj.

Raph-Glymm nie bez dumy wskazał jednym ze swych długich palców flakon, wypełniony różowawą cieczą.

— Oto najczystsza hodowla mikroba nagłej śmierci. Zasługuje on w zupełności na tę nazwę, każdy bowiem żywy organizm w zetknięciu z nim w przeciągu kilku sekund umiera. Jeśli sobie tego życzyście, mogę wam zademonstrować działanie tego bakcyła na jakimś stworzeniu, lub na jednym z owych zbuntowanych robotników, którym należy się kara.

— Ach nigdy! — wykrzyknęła przerażona panna Alicja. — Błagam Cię... Charakterystyczny gwizd nie pozwolił jej dokończyć zdania. Ziemia zadrżała, straszne słoje zadzwoniły w sposób niepokojący, niewiele brakowało, aby się potłukły. Jerzy de la Blanchere i Landry pobledli i spojrzeli na siebie. Odgadli, że nad ich głowami przeleciał armatni pocisk największego kalibru.

Opuszczono laboratorium i w tej samej chwili naczelnikowi Marsjan wręczona została druga radjodepesza następującej treści: „Ostatnie ostrzeżenie. Za godzinę przystępujemy do ataku”.

Raph-Glymm zmarszczył brwi.

— Zaczynam żałować — powiedział — że nie rozbroiłem zupełnie tych głupców, którzy ośmielają się nam grozić. Nic łatwiejszego, jak zabić ich wszystkich i spowodować rozsądzenie armat. Ich lekkomyślność mogła doprowadzić do rozpowszechnienia w mieście, w okolicy i na całej Ziemi strasznych mikrobow, które przed chwilą oglądaliście. Nam nic nie grozi, od zarażenia jesteśmy zabezpieczeni ochronnym szczepieniem. Wolelibyśmy jednak nie doprowadzać do zagłady całej ludzkości...

Słowa te przejęły obecnych dreszczem zgrozy.

— Proszę mi pozwolić- — błagał Jerzy — udać się do głównej

kwatery i wyjaśnić władzom sytuacją, w której z pewnością się nie orientują. Może zdołam uzyskać odwołanie ataku, którym grożą.

— Dobrze. Chcę jednak, abyście poznali przedtem wszystkie nasze środki i o wszystkim mieli możliwość powiadomić waszych braci.

Zbliżono się do murowanego budynku, w którym znajdowały się dziwnych kształtów metalowe aparaty. Niektóre z nich przypominały wielkie armaty, ustawione pionowo lub poziomo. Te drugie skierowane były na miasto przez specjalne otwory w murze.

— Oto — rzekł Raph-Glymm — druga nasza elektrownia, która działa wówczas, gdy czerpanie elektryczności z powietrza jest z tych czy innych względów niemożliwe lub niewystarczające. Motory te są poruszane siłą rozkładu metali. Wiadomo wam, że stan skupienia wszystkich ciał uwarunkowany jest potężną siłą przyciągania międzycząsteczkowego; otóż rozkład cząsteczek, który potrafimy spowodować, stwarza nieobliczalną siłę energetyczną, która jest w stanie zniszczyć cały kraj i wywołać najokropniejsze kataklizmy, jednakże, dzięki specjalnym piecom elektrycznym, sporządzamy metale w ten sposób, że ich dysocjacja następuje nie od razu, ale stopniowo, co pozwala na użytkowanie tej olbrzymiej siły dla naszych potrzeb. Właściwe transformatory dają nam możliwość przekształcania jej na promienie świetlne, ciepłe, bądź energię mechaniczną.

— To cudowne — szepnął Nik.

— Tu znowu mieści się nasz szpital — ciągnął Marsjanin. — Chorzy leczeni są przeważnie przez stosowanie różnych promieni, skutecznych we wszystkich chorobach. Obok znajduje się laboratorium fizjologii eksperymentalnej i zakład pielęgniarstwa dla noworodków.

Z kolei zwiedzono salę, w której temperatura była stała i dość wysoka. Były w niej cztery szklane klosze, zaopatrzone w rurki, łączące je z rezerwoarami. Znajdowały się tam dzieci Marsjan, rosnące niemal w oczach w tych szczególnych wylęgarniach. Leżały prawie nieruchomo na poduszkach z platynowego mchu. Przekręcenie dane- go kurka wystarczało, aby spowodować kąpiel z ciepłej wody, wysuszyć prądem suchego powietrza, lub nakarmić



niemowlę odżywczą substancją.

— Biedne maleństwa — szepnęła pani de la Blanchere.

Towarzysze jej nie dzielali tych tkliwych uczuć.

— Przypomina mi to — rzekł, cichutko Landry — potworki, przechowywane w spirytusie w muzeach przyrodniczych.

— A co jest tam? — zapytał Jerzy, wskazując hangar, w którym nagromadzone były wielkie ilości skrzyń.

— Są to — wyjaśniał Raph Glymm — znalezione w mieście zapasy rumu, wódek i w ogóle alkoholu, które kazałem tu przynieść. Wydało mi się konieczne usunięcie tej niebezpiecznej trucizny, której mieszkańcy Ziemi używają przez brzydkie łakomstwo, z przed oczu naszych robotników. Później cały ten alkohol będzie zużyty dla produkcji chemicznej.

— Dalibóg — szepnął Nik — pomimo wszystko chętniebym wypił kieliszek koniaku albo rumu.

— Cicho, milcz pan! — rzuciła panna Alicja z lękiem.

Wówczas dopiero Nik zauważył wielką bladość na twarzy swojej kuzynki.

--- Co pani jest? — zapytał.

— Jestem bardzo zmęczona i wszystkie te wzruszenia są nad moje siły. Lękam się, aby tragiczne te wypadki nie doprowadziły do zagłady świata. Cierpią tem więcej, że nie potrafimy jej powstrzymać.

Wybuchła nerwowym płaczem, który uspokoił ją nieco.

— Droga kuzynko — rzekł Nik — nie należy się poddawać tyra smutnym refleksjom; zmęczenie pani po tylu wysiłkach ubiegłej doby jest zupełnie zrozumiałe. Nie trzeba się zanadto przejmować tem, co zdarzyć się może. Dołożymy wszelkich starań, aby uchronić naszą Ziemię od grożących jej nieszczęść. Trzeba żywić nadzieję!

— Śpieszę do sztabu generalnego — powiedział Jerzy. — Wierzę, że zdołam udaremnić nieszczęsny projekt ataku. Zaproponuję zawieszenie broni, które będzie wstępem do stałego pokoju między Ziemią i Marsem. Czy chce mi kto towarzyszyć?

— Naturalnie ja — rzekła Viviana.

— Ja również — zawołał Landry.

— Co do mnie, nie mogę w tej chwili opuścić mojej kuzynki — dodał Nik.

— Moje miejsce również jest przy niej — oświadczyła pani Papacock.

Raph-Glymm ze zdziwieniem przyglądał się panie Alicji, a jego normalne oko wyrażało uczucie sympatii. Wydał z siebie kilka dźwięków bardziej harmonijnych niż zazwyczaj, które oznaczały:

„Duże dzieci o długich włosach są istotami pięknymi, lecz kruchymi. Szczęście to dla nas, że nie mamy takich istot na naszej planecie! “

Poczem odprowadził młodą Amerykankę do wielkiej Sali centralnego baraku, urządzonej najwygodniej. Wreszcie pod adresem Jerzego, za pośrednictwem tłumaczącej jego słowa pani de la Blanchere, powiedział co następuje:

„Proszę dać do zrozumienia pańskim braciom, że mogę zniszczyć nie tylko ich liczną armję, ale przez różne kataklizmy jestem w stanie doprowadzić do wyludnienia całą Ziemię. Promienie, którymi rozporządzam, neutralizują działanie waszej elektryczności i zniszczą w kilka sekund wasze armaty, aeroplany i wszelkie maszyny, zabijając naturalnie waszych żołnierzy. Gorzej jeszcze, mogą wywołać burzę, deszcz, powódzie, albo suszę, która strawi wszystkie plony. Posieję między wami bakcyła nagłej śmierci, który was wszystkich wygubi, a trupy pożrą nasze żarłoczne skrzydlate krokodyle.

„Wówczas na nasz znak bracia nasi z planety, zwanej u was Marssem, przybędą w podobny sposób jak my i osiedlą się na tym globie, który jest prawem dziedzictwem rasy wyższej niż wasza. Idźcie, czas nagli, i powtórzcie wiernie waszym dowódcom wszystko, coście widzieli i słyszeli”.

Po tych słowach Raph-Glymm majestatycznie się oddalił.

Słuchaczów jego ogarnęła śmiertelna trwoga.

Jerzy przygryzł wąsa, co świadczyło o silnem wzruszeniu, Landry daremnie zaciskał pięści, pani de la Blanchere po przetłumaczeniu ostatnich słów Rapha zalała się łzami.

— Śpieszmy się — rzekła do męża — termin ultimatum wkrótce upłynie.

— Za pół godziny — odpowiedział Jerzy, patrząc na zegarek. — Zdążymy, ale nie mamy ani chwili do stracenia.

— Wyślijmy radjo-depeszę, że też wcześniej nie pomyśleliśmy o tem.

— To nie wystarczy, ale może macie rację.

Pośpieszono zatelegrafować:

„Nie atakujcie. Niebezpieczeństwo grozi całej Francji. Osobiście wyjaśnimy sytuację”.

Niebawem nadeszła odpowiedź:

„Niemożliwe. Decydujący atak przygotowany. Ratujcie się ucieczką. W razie potrzeby zniszczymy całe miasto”.

— Prędko do samochodu! — wykrzyknął Jerzy.

Nie można było jednak doń się zbliżyć. Krąg, zakreślony *przez* Momm-Tnimpa, uniemożliwiał dostęp. Trzeba było odszukać Marsjanina. Wreszcie auto ruszyło z największą szybkością.

--- A pani Alicja — wykrzyknęła pani de la Blanchem. — Zapomnieliśmy o niej! A pani Papacock i pan Azard? Nic możemy ich zostawić na pastwę grożącej im śmierci.

— Zostało nam wszystkiego dwadzieścia minut — odpowiedział *Jerzy* — niepodobna wracać. Zresztą bądźcie spokojni, atak nie nastąpi. Niebawem dotrzemy do głównej kwatery i potrafimy wytłumaczyć dowództwu cały absurd walki z wszechpotężnymi Marsjanami. Będziemy tam najdalej za 10 minut i...

W tej samej chwili auto uległo strasznemu wypadkowi. Tylne koło oderwało się i roztrzaskało. Jadący ocaleli cudem. Niemniej sytuacja była nader krytyczna. Była wprawdzie zapasowa opona, ale nie było koła.

Czas naglił. Za kwadrans miał się rozpocząć absurdalny atak, mający w skutkach sprowadzić zagładę całej ludzkości.

ROZDZIAŁ XXV.

NIEOCZEKIWANA KATASTROFA.

Panna Milburne, odprowadzona wraz z panią Papacock i z Nikiem przez Rapha Glymma do głównego baraku, długo jeszcze nie mogła przyjść do siebie. Budziło to szczery niepokój w sercu Nika. Gdyż wspólne niebezpieczeństwa i ciężkie przejścia zbliżyły do siebie



oboje młodych bardziej, niż to mogła uczynić narzucona w testamencie wola dalekiego kuzyna.

— Droga kuzynko — odezwał się Nik, widząc, że panna Alicja jest już w stanie rozmawiać — rozpacz mnie ogarnia, że tyle pani cierpi przeze mnie.

— Przez pana, kuzynie?

— Bez wątpienia. Przecież, aby mnie poznać, wybrała się pani w podróż do Francji i wpadła w szpony Areantropów.

— Nie ma w tem pańskiej winy; zależało mi bardzo, aby wiernie wypełnić wolę ojca.

Po tych słowach zwróciła się do pani Papacoeck:

— Może pani zechce sprawdzić, co się dzieje na dworze. Czuję się już zupełnie dobrze i, jeśli nie jest zbyt duszno, chętnie odetchnęłabym świeżem powietrzem.

Guwernantka skierowała się do drzwi, lecz po chwili wróciła skonsternowana.

— Rzecz dziwna. Nie mogę otworzyć żadnych drzwi. Zdaje się, że są zamknięte od zewnątrz.

— Czyżbyśmy byli jeńcami? — zaniepokoił się Nik i począł sprawdzać zamki.

Istotnie, oba wejścia do sali zamknięte były na potężne zatrzaski.

Nie było jednak czasu na domysły, gdyż natychmiast po skonstatowaniu smutnej, a co najmniej zagadkowej sytuacji, uwaga jeńców została całkowicie pochłonięta przez dziwne i niepokojące zjawiska. W powietrzu unosiły się niebieskie, różowe, amarantowe,

pomarańczowe i fioletowe światła, przebiegające wzdłuż kabli elektrycznych, wokół maszyn i wszystkich przedmiotów metalowych. Ze znanego nam już fotela elektrycznego wybuchały, trzeszcząc, snopy iskier. Gorzej, bo umieszczone wzdłuż ścian baraku cewki z platynowego drutu z niewiadomej przyczyny stały się czerwone i ziały gorącem. Każdej chwili łatwopalne ściany baraku mogły stanąć w płomieniach.

— Uciekajmy — zawołał Nik — niebezpiecznie tu pozostawać! Czuję, że dzieje się coś poważnego i niezwykłego.

— Ale jakie wyjść, gdy jesteśmy zamknięci?!

Mik chwycił nagle ciężki balon z gazem odżywczym, zerwał łączące go z inhalatorem cienkie rurki i pociągnął ku drzwiom. Tym zaimprovizowanym taranem zaczął uderzać z całej siły w zasuwę i zamki drzwi, które wreszcie ustąpiły. Czas był najwyższy, gdyż płomienie zaczęły już obejmować ściany baraku.



Odzyskawszy wolność, nasza trójka rozejrzała się wokoło. Wielkie słupy dymu, świadczące o innych pożarach, przesłaniały widok. Niebo pokrywały olbrzymie czarne chmury o posępnym wyglądzie.

— Gdzież są Areanthropowie? — spytała panna Alicja, — Dziwne, że ich nic widać w tak groźnym niebezpieczeństwie.

— Mnie to również bardzo dziwi. Na pewno rozporządzają potężnymi środkami dla zwalczenia tej klęski, lecz coś im przeszkadza w ich zastosowaniu. Ale co? Zresztą pożary, jak się zdaje, wywołane zostały nienormalnymi zjawiskami elektrycznymi, co dowodziłoby, że Marsjanie przestali panować nad niebezpiecznymi swymi maszynami.

Nik pobiegł do baraku, w którym rezydował Raph-Glymm. Wbrew obawom drzwi były otwarte. Wszedł i z piersi wyrwał mu się krzyk przerażenia. Chciał zabronić wstępu obu kobietom, było już jednak za późno. Spojrzenia pani Papacock i panny Alicji padły w głąb sali, gdzie leżało wielkie martwe ciało Rapha-Glymma w kałuży zielonej krwi. Troje rozszerzonych jego oczu wyrażały prócz cierpienia nie wypowiedziany smutek i rozpacz. Narzędzie zbrodni, wielki topór, leżało obok zapomniane widocznie przez jednego z robotników, zajętych przy budowie. Poza zwłokami przywódcy Marsjan leżały rozciągnięte olbrzymie ciała jego współpracowników, zabitych w podobny sposób. Mordercy najwidoczniej doskonale znali anatomiczną budowę Marsjan, gdyż ciosy wymierzone były w arterję, odpowiadającą u ludzi arterji szyjowej. Należało przypuszczać, że straszny cios na wysokości przeszło dwóch metrów mógł być zadany tylko przez Marsjanina.

— Niech się pani oddali — rzekł Nik do swojej kuzynki, słaniającej się na nogach pod wrażeniem posępnego obrazu.

— Nie opuszczę pana - odpowiedziała, czyniąc nad sobą bohaterski wysiłek.

— Biegnijmy ku latarni.

Lecz i tam straszny widok przedstawił się ich oczom. Dozorcy przy odbiorniku elektryczności atmosferycznej, dwaj kolosalni Marsjanie, leżeli zamordowani jakimś ostrem i ciężkim narzędziem,

— Co tu robią butelki? — zawołała panna Alicja.

Istotnie, ziemia usłana była odłamkami szkła.

— Czy to przypadkiem... — Nik nie dokończył zdania i zostawiając na chwilę swe towarzyszkę, udał się do pobliskiego baraku.

To, co tam ujrzał, musiało być szczególnie wstrząsające, gdyż wybiegi natychmiast ze zmienioną twarzą.

— Nie zbliżajcie się — krzyknął obu paniom — niebezpiecznie. Panna Alicja pełna trwogi wzywała Nika:

— Błagam, niech pan wróci. Proszę patrzeć, jak gwałtownie szerzy się pożar. Za chwilę wszystko pochłona płomienie. Nie zapominajmy o innych grożących nam niebezpieczeństwach, wszak latające krokodyle mogą się wyrwać z klatki...

— A bakcyle nagłej śmierci... Uciekajmy, uciekajmy!

— Któż zdoła przewidzieć, jakie spustoszenia i katastrofy mogą wywołać nieopanowane fale elektryczne i inne fluidy w generatorach.

Coraz nowe wybuchy wstrząsały powietrzem. Atmosferę przecinały fantastyczne race. Nad miastem rozszożyła się burza i pioruny z niesłychaną mocą padały jeden za drugim. Nasza trójka rzuciła się do ucieczki. Nik chwycił na ręce upadającą ze zmęczenia pannę Alicję. Ale dokąd się schronić? Nagle przyszedł mu na myśl leżący w pobliżu jeden z fortów podziemnych, broniących wybrzeża. Dobiegli tam wkrótce. Wrota stały otworem, wewnątrz nie było nikogo. Nik, obarczony drogim ciężarem, znalazł się wraz z panią Popacoc w głębokim lochu, który mógł dać bezpieczne schronienie, nawet podczas bombardowania. W chwili, gdy narzeczeni odetchneli wreszcie z ulgą, znalazwszy się w bezpiecznym miejscu, całym wzgórzem wstrząsnął tak straszny i potężny wybuch, że zdawało się, iż cały Havre pada w gruzy.

ROZDZIAŁ XXVI.

REWOLTA W HAVRZE.

Długo jeszcze śmiertelna trwoga ciążyła nad trójką naszych przyjaciół. Po pierwszej nastąpiły liczne nowe eksplozje, ale już

słabsze. Później wszystko się uspokoiło, ale spokój ten miał w sobie coś posepnego i przypominał cmentarną ciszę.

Nik pierwszy wyszedł na zwiady. Burza minęła. Okolice fortu świadczyły o przerażających spustoszeniach, dokonanych przez katastrofę. Kamienie, odłamki drzewa, żelaza, dachówek, łupku, mnóstwo poduczonego szkła pokrywało ziemię grubą warstwą. Gdzie niedzie leżały olbrzymie belki, wielkie bloki kamienne i różne przedmioty, wyrwane z domów mieszkalnych i przeniesione wybuchem na znaczną odległość. Dachy na domach były pozrywane, wiele domów w ruinie, inne zupełnie znikły z powierzchni. Niektóre tylko domy przez jakiś kaprys losu stały prawie nietknięte. Wszystko obejmowała śmiertelna cisza,

— Mogą panie już wyjść — rzekł Nik do swych towarzyszek.

Cała trójka skierowała się ku miastu, konstatując, że zniszczenie w dalszej okolicy portu jest mniejsze. Ucierpiały tu przeważnie tylko górne części domów. I rzecz zdumiewająca, wszelkie przedmioty metalowe uległy wszędzie rozbiciu na drobne kawałki, a nawet zupełnemu sproszkowaniu. Były to najwidoczniej skutki rozkładu, spowodowane przez powstające bez kontroli fantastyczne reakcje fizyczno-chemiczne, których tajemnicę posiadali Areanthropowie.

— Jestem bardzo niespokojna o losy mojej drogiej Viviany — szepnęła panna Alicja.

— I Jerzego — dodał Nik. — Z pewnością ujrzymy ich wkrótce zdrowych i całych.

W tej samej chwili usłyszano jakiś groźny pomruk, przypominający dalekie wrzaski rozszalałej tłuszczy powiedział Nik.

--- Musimy być ostrożni ---powiedział Nik. --- Nie wiemy, co nas otacza i jakiego rodzaju wypadki rozgrywają się w mieście. Wejźmy do tej willi z uchyloną furtką.

Szybko po schodach wbiegł aż na strych i spojrzał w kierunku, skąd dochodził hałas. Przerażony wypadł natychmiast, wołając:

— Musimy się skryć, olbrzymi tłum zbuntowanych robotników zbliża się od strony miasta. Robią wrażenie ogromnie podnieconych i gotowych na wszystko. Zresztą, słyszą panie ich dzikie okrzyki. Szukajmy schronienia!

— Drzwi domu są zamknięte! — jęknęła pani Papacock.

— Tam będziemy bezpieczniejsi — odrzekł Nik, wskazując drwa-

Inie, przylegającą z drugiej strony do willi i wypełnioną zapasami drzewa na zimę.

Pomógł obu kobietom ukryć się za szczapami drzewa, poczem znalazł i dla siebie kryjówkę, pozwalającą na obserwację wszystkiego, co się dzieje wokół.



Czas naglił, bo wrzeszczący tłum płynął już ulicą i na widok okazałej willi, w której ukryli się nasi znajomi, czoło pochodu zatrzymało się. Krzyki przycichły, rozległy się natomiast z tłumy ordynarne żarty i wyzwiska.

— Hej, przyjaciele! — zawołał, budzący swoim wyglądom postrach, włóczęga. — Odpocznijmy tu trochę, radziłbym dożyć wizytę piwnicy tego domu.

— To nie zaszkodzi — odpowiedział inny, głosem zachrypłym, zdradzającym zamiłowanie do trunków. — Trzeba przecież oblać wolność miasta!

Brawa i głośna krzyki radości rozległy się po tych słowach i natychmiast ludzie, uzbrojeni w potężne lewary i inne narzędzia, rzucili się do wyważenia zewnętrznych drzwi piwnicy.

Żelazne drzwi przez kilka minut stawiały opór natarciu, co doprowadzało do szału opętańców, szukających ulgi w ohydnych

przekleństwach. Wreszcie drzwi ustąpiły i tłuszcza, tłocząc się i popychając, wpadła do piwnicy. Krzyki radości dowodziły, że znaleźli to, czego szukali. Zresztą, wkrótce trzask tłuczonych butelek, rozwiązłe piosnki i pijackie krzyki były najlepszym dowodem bestialskich scen, rozgrywających się w piwnicy.

Nik, siedząc cichutko w swojej kryjówce, starał się zdać sobie sprawę z rozgrywających się wypadków. Niewątpliwie w chwili wybuchu, a może nieco wcześniej, absolutna władza magnetyczna, którą mieli nad ujarzmionym tłumem robotników Marsjanie, upadła. Wszyscy ci mężczyźni i kobiety, prawdziwi niewolnicy, upadający pod ciężarem pracy, poczuli się nagle wolni w momencie, gdy rozpetane fluidy wzniecały w mieście liczne pożary.

To nagle przejście z najcięższego jarzma do zupełnej swobody, w tak niezwykłych okolicznościach, sprzyjało rozbudzeniu w tym tłumie najniższych instynktów. Z, takimi ludźmi niepodobna się było porozumieć, ani stawić im oporu.

Właśnie dwaj z pośród nich wyszli z piwnicy i zataczając się, zmierzali ku drwalni.

— Co może być w takiej klatce? — wybełkotał jeden z nich i otworzył drzwi ku wielkiemu przerażeniu obu kobiet.

— Pi — odpowiedział drugi — kupa drzewa, nie marny tu nic do roboty.

— A żeby tak podpalić dla śmiechu?

— Mnie już i tak za gorąco, milcz bałwanie!

— Sam jesteś bałwan, psi synu!

I dwaj pijacy nagle rozwścieczeni rzucili się do bójki. już od kilku minut słyhać było w powietrzu charakterystyczna warczenie.

— Aeroplan — szepnął Nik.

Wkrótce potem rozległa się automobilowa trąbka i tętent galopujących koni. Odgłosy te doszły do uszu włóczęgów. Przesiali się boksować, zmierzając ku wyjściu.

— Baczość! — rzekł jeden. — To wojsko i policja! Chodź prędzej!

— Tchórz z ciebie! Nie masz krwi w żyłach — odpowiedział drugi --- ja się tam nie boję, nawet żeby mieli armaty i karabiny maszynowe.

I począł na cały głos kląć i wygrażać. Rozległy się wkrótce słowa

komendy wojskowej. Po chwili żołnierze opanowali ulicę i niewielki oddział z oficerem na czele wkroczył na podwórze willi. Wszystkich pijaków dla wytrzeźwienia zamknięto w próżniowej już piwnicy. Tymczasem policjanci nie bez trudu pochwycili i prowadzili dwóch włóczęgów. Inni awanturnicy rozproszyli się lub byli zatrzymani.

Nik i jego towarzyszki z westchnieniem ulgi opuścili swe kryjówki. Oficer zbliżył się, salutując.

— Zapewne mam zaszczyt mówić z panną Milburne?

— Tak jest — odpowiedziała, wyciągając doń rękę, którą porucznik pocałował z galanterją.



— Pozwoli pani, że się przedstawię — porucznik Fercourt z 39-go p. p.

— Z panią zapewne pan Azard? — ciągnął oficer.

— On sam. Bardzo mi przyjemnie pana poznać. Może jest pan w stanie udzielić nam nowin o naszych przyjaciółach, panu i pani de la Blanchere?

— Oczywiście. Bardzo niepokoiли się z powodu państwa. Wyznaję, że sam, słysząc te okropne wybuchy, miałem was za straconych.

— Najbliżej od latarni położony fort uratował nas od zguby.

— A, cóż Marsjanie, co się z nimi stało?

— Mam powody przypuszczać, że wszyscy co do jednego zginęli.

— Chwalić Boga! Mam rozkaz zaprowadzić państwa do magistratu, do generała Savard, dowódcy 3-ej dywizji. Są tam również ministrowie wojny i spraw wewnętrznych, prefekt burmistrz, kilku posłów, senatorów i dziennikarzy...

Ach, ci dziennikarze! Od dawna już obiegaliby główną kwaterę. Trzeba było się przed nimi bronić i zwalczać ich, najazd prawie równie dokuczliwy, jak Areanthropów. Przesiano **ich** bardzo skrupulatnie, jedynie przedstawiciele wielkich organów prasy otrzymali przepustki, znaczenie których sprowadzono do minimum przez liczne ograniczenia.

Wiadomość o oswobodzeniu Havru, jakkolwiek nieogłoszona jeszcze oficjalnie, szybko się rozchodziła i trzeba było rozstawić gęste posterunki straży, aby zamknąć dostęp miasta dla ciekawych tłumów od strony lądu, morza i Sekwany.

Zajął się tem minister spraw wewnętrznych z prefektem, mającym pod swoimi rozkazami duży oddział żandarmerii i policji. Minister wojny i generał Savard zastosowali środki wojskowe, których wymagały okoliczności, gdyż w mieście i okolicy ogłoszony został stan oblężenia.

Gdy porucznik Fercourt i jego towarzysze przybyli do magistratu, właśnie szef sztabu generalnego telefonował do Paryża celem porozumienia się z dyрекcją kolei państwowych w sprawie wstrzymania ruchu pociągów między Rouen i Havrem. Telefon i telegraf już naprawiono i łatwo sobie wyobrazić, że jeden i drugi nie próżnowały.

Nika i obie panie wprowadzono niebawem do generała Savard, który energicznie uściskał im dłonie, mówiąc:

--- Przyznaję, że nie spodziewałem się już ujrzeć moich nieustraszonych automobilistów.

— Prawdę mówiąc — odpowiedział Nik — djabelscy Marsjanie wydali mi się mniej groźni od rozbestwionego tłumu mieszkańców Ziemi, których byliśmy jeńcami.

— Tak, miasto jest jeszcze pełne szumowin, grabiących sklepy i domy, podpalających składy i okręty.

— Możliwe, że większość tych pożarów wynikła na skutek działania promieni Areanthropów, których natężenie stało się zbyt silne, gdy zginęli kontrolujący je inżynierowie i robotnicy.

— Ach, więc zdaniem pana Marsjanie zginęli przed wybuchem? Nik opowiedział generałów: o zamordowaniu Arentropów, poczem dodał z niepokojem w głosie:

— Ale nie widzę tu mojego przyjaciela, Jerzego de la Blanchere?

— Jest w mieście przy komendancie straży ogniowej, gaszą pożary, dokładając starań, aby ocalić chociaż jakieś fragmenty maszyn, skonstruowanych przez Marsjan. Pan de la Blanchere może być dumny z powodu swego przybycia na czas do głównej kwatery. Gdy samochód jego z powodu strzaskania koła został unieruchomiony, zabrał rower z opuszczonego sklepu i ledwie żywy ze zmęczenia przybył właśnie w chwili, gdy miałem dać rozkaz ataku.

— Co pociągnęłoby za sobą naszą śmierć i nieobliczalne wprost katastrofy.

W tej chwili zabrzmiał dzwonek telefonu.

— Balio! — rzekł generał. — To pan, panie de la Blanchere? Świetnie. Właśnie jeden z pańskich przyjaciół dopytuje się o pana, pan...

— Azard — podpowiedział Nik.

— Tak jest, pan Azard. Jest zdrow i cały, podobnie jak i obie panie, które mu towarzyszyły. Cieszy to pana, prawda? Mnie również bardzo... Hallo! Co pan mówi? Rewolucjoniści przeszkadzają w gaszeniu pożarów? Należy ich rozpedzić na cztery wiatry. Co takiego?... Rozporządzają tajemniczą bronią, pozostawioną przez Arentropów? Rodzaj miotaczów ognia?... Trzeba udaremnić ich działanie... Łatwo to powiedzieć, istotnie... W każdym razie bądźcie ostrożni, za chwilę przybędę na miejsce.

— Przeklęci Marsjanie! jeszcze po śmierci dają się nam we znaki!

ROZDZIAŁ XXVII.

CO POZOSTAŁO Z SIEDZIBY MARSJAN NA ZIEMI

Generał Savard wsiadł do swego samochodu wraz z Kikiem i kilku

wyższymi oficerami, między którymi był i naczelny lekarz III-go korpusu armii. Pannę Alicję i panią la Blanchera uproszono, by niepotrzebnie nie narażały swego życia w zrewoltowanym mieście. Pozostawione dla wypoczynku, w jednym z zarekwirowanych przez wojskowość domów, przyrzekły nie ruszać się z miejsca

W istocie sytuacja budziła jeszcze poważne obawy.

Zażarte walki między rebeliantami i obrońcami porządku nie ustawały. Z obu stron było wielu rannych, a nawet zabitych. Ta rzeź bratobójcza przypominała żywo tragiczne wypadki z czasów komuny 1871-go roku. Należało za wszelką cenę ten szaleńczy wybuch, aby nie ogarał innych części kraju.

Wezwano do pomocy oddziały kawalerji, lecz jej ataki zostały udaremnione przez powstańców dzięki nieznanemu środkowi obrony, którym rozporządzali. Był to rodzaj muszkietu, dużego karabinu z lufą ze zwykłej dość cienkiej stali. Strzelał on na niewielką odległość, grubemi kulami, wybuchającemu bez hałasu, rozsiewając tumany białego pyłu. Ktokolwiek odetchnął takim zapyłonym powietrzem, dostawał zawrotu głowy, zaczynał kichać bezustanku, aż wreszcie padał, niby martwy na ziemię.

Łatwo zrozumieć przerażenie Jerzego de la Blanchere i tych wszystkich, którzy wiedzieli o istnieniu bakcyli śmierci. Okrutna ta obawa zatruwała przyjaciół radość spotkania.

— W każdym razie — mówił generał Savard — trzeba próbować walki z zarazą. Musimy najdokładniej izolować dotkniętych tą chorobą, i innych zaopatrzyć w maski, zabezpieczające od gرازów trujących. Nadto użyję do atakowania tych buntowników tanków, a wówczas zobaczymy, czyje będzie na wierzchu.

— Oczywiście. — zgodził się Nik. — Ci ludzie, mam wrażenie, przeważnie podnieceni są przez alkohol, którym pocieszali się po niewoli u Areanthropów. Wpadłem na myśl pewnego środka, który sędzę, możnaby z powodzeniem w danym wypadku zastosować.

— Mów pan.

— Ale pozwoli mi pan, generale, z moim przyjacielem Jerzym, udać się na wzgórze pod latarnią morską, celem przeprowadzenia badania przyczyn katastrofy i zebrania cennych resztek aparatów i instalacyj, zaprowadzonych przez Marsjan.

— Zgadzam się, zwracam jednak pańską uwagę na niebezpiecze-

ństwo, jakie przedstawia przedwcześnie może badanie tych miejsc.

— Wiemy o tem i łatwiej niż ktokolwiek inny potrafimy uniknąć niebezpieczeństwa.

— Idźcie tedy. Stawiam jednak warunek. Będzie wam towarzyszyć jeden z oficerów sztabowych, oraz inżynier, delegowany przez ministra wojny. A teraz proszę, niech pan wyłoży swój pomysł.

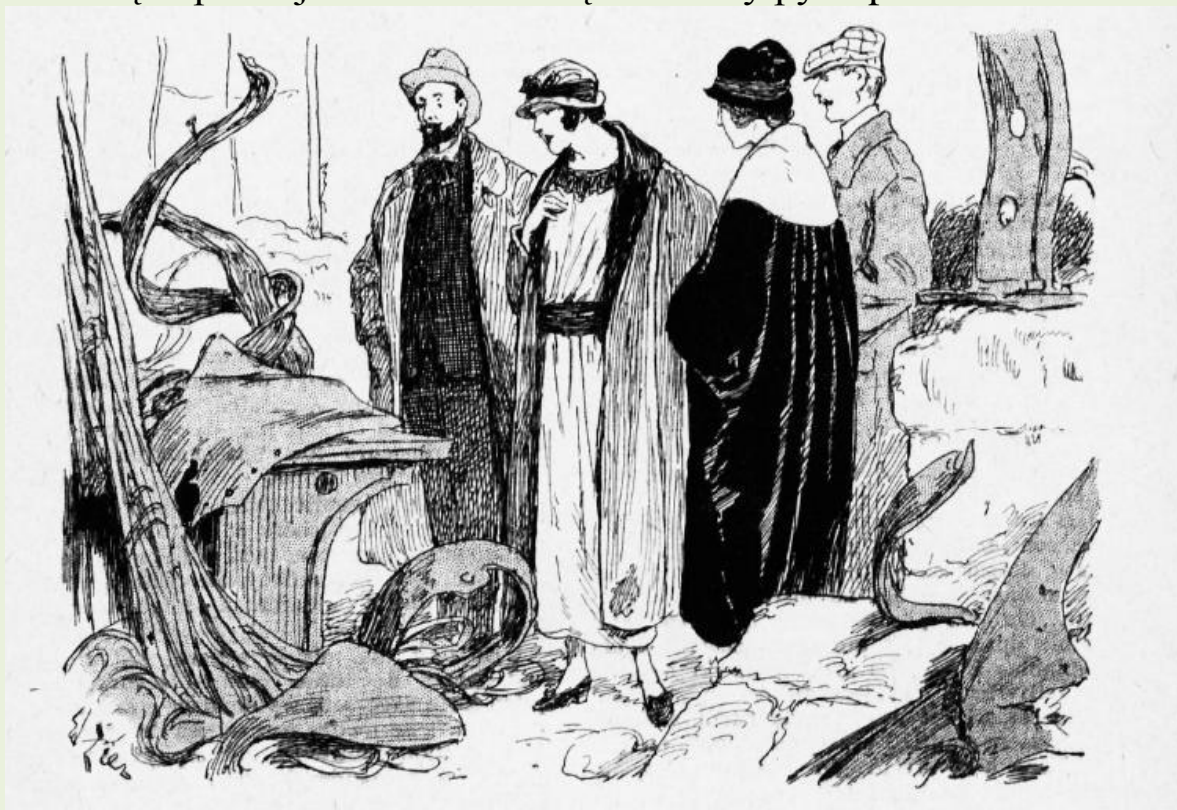
Mik szepnął kilka słów generałowi, który, śmiejąc się, wyraził swą zgodę.

Wkrótce samochód wojskowy wiozł członków zaimprovizowanej komisji śledczej ku latarni morskiej, niedawnej siedzibie Marsjan.

Liczne patrole wojskowe nie puszczały nikogo w kierunku wzgórza, ale, zaopatrzeni w wyraźny rozkaz naczelnego wodza, Nik i jego towarzysze z łatwością dotarli na miejsce przeznaczenia.

Ruiny i pogorzelnisko robiły straszne wrażenie. Latami, baraków, wszelkich budowli i maszyn nie było śladu. Wszystko było spalone, odrzucone przez wybuch w morze lub obrócone w perzynę.

Wciąż opadał jeszcze na ziemię delikatny pył z powietrza.



— Cóż za spustoszenie! — zawołał oficer sztabowy.

— Obawiam się — rzekł z żalem naczelnny inżynier — że nic nie znajdziemy.

--- Kto wie --- rzucił oficer, puszczając ze smyczy towarzy-

szacego mu psa policyjnego. --- Szukaj, Kiki, szukaj --- zachęcał. Mądre zwierzę było posłuczne. Czuło jednak dzięki doskonałemu swemu węchowi coś niezwykłego, gdyż, idąc za jakimś śladem, zdradzało wielki niepokój i niepewność. Pies obleciał wzgórze wokoło i zaczął grzebać w gruzach. Niebawem przyniósł kawałek zwęglonej cegły.

— Pozwoli mi pan zbadać ten odłamek — prosił Nik.

I w tej samej chwili krzyknął radośnie.

— Patrzcie! — pokazał czarne jakieś ślady, rysujące się na cegle.

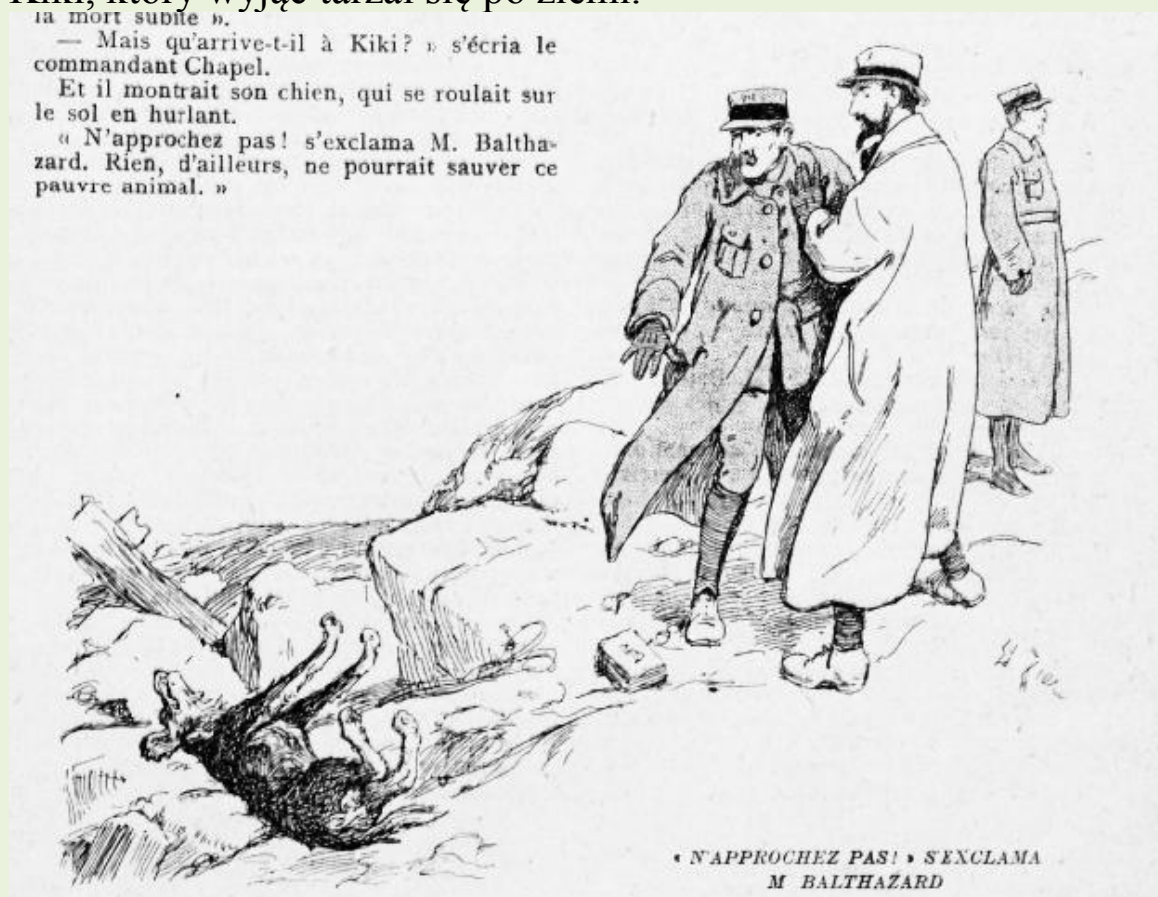
— Cóż to takiego?

— Do licha! — zawołał Jerzy, rzuciwszy okiem na cegłę. — Toż to odcisk szkieletu latającego krokodyla.

Niewtajemniczonych oficerów sztabowych poinformowano o tych strasznych, na szczęście zniszczonych już przez wybuch i pożar, stworzeniach.

— Oby się okazało, że podobny los spotkał bakcyła nagłej śmierci — odezwał się Nik.

— Ale cóż to się stało psu? — zawołał nagle inżynier, ukazując Kiki, który wyjął tarzał się po ziemi.



— Nie zbliżajcie się — ostrzegał Nik — nic zresztą nie zdoła już uratować biedne go zwierzęcia.

Istotnie, pies niebawem zdechł w okropnych konwulsjach.

— Zatem groźny mikrobia nie zaginął — zawyrokował Jerzy.

— Najwidoczniej. Zmieńmy szybko rękawiczki i nie dotykajmy więcej tego kawałka cegły. Należy zdezynfekować całe wzgórze, gdyż okazuje się, że ogień nie strawił wszystkiego jeszcze.

— Najlepiej będzie — wtrącił oficer — oblać wszystko silnymi środkami dezynfekcyjnymi, później zgromadzić gruzy w głębokich rowach, wypełnionych niegaszonym wapnem. Zaraz wydam stosowne rozkazy.

To rzekłszy, udał się do pobliskiego posterunku, zaopatrzonego w telefon.

— Czy aby rebelianci swymi miotaczami nie rozsiali już mikrobia? — wyszeptał Nik. — Byłoby to gorsze od najstraszniejszej, średniowiecznej „czarnej śmierci”.

— Czy istotnie niema tu już żadnego śladu Areanthropów? — zapytał Jerzy.

— Niebawem rozpoczniemy poszukiwania. Byłoby szaleństwem zapuszczać się na zarażony teren przed zastosowaniem niezbędnych środków ochronnych.

Po chwili wrócił sztabowy oficer od telefonu.

— Mam dobrą nowinę — wołał — dowiedziałem się, że zatruci, którzy budzili w nas tyle niepokoju, wrócili do siebie. Ów proszek tajemniczy, który wprowadzony do dróg oddechowych powodował silne omdlenia, zawierał na szczęście nie groźne mikroby śmierci, lecz inne, których działanie jest przykre, ale przejściowe. Wchodzi tu prawdopodobnie w grę zwykła broń policyjna, używana przez Marsjan dla zwalczania opono

— Odetchnąłem z ulgą, tyle zagadek nas otacza, że można było się wszystkiego obawiać — powiedział Nik.

— Co się tyczy kampanji dezynfekcyjnej, wkrótce nadejdą ludzie z potrzebnym materiałem.

Rzeczywiście po chwili przybyli żołnierze, wioząc na dwóch ciężarowych samochodach wapno, łopaty, kauczukowe buty i ubrania, i potężne środki dezynfekcyjne.

Sanitarjusze wojskowi, przywdziawszy ochronne ubranie,

spryskali całe wzgórze antyseptycznymi płynami, później saperzy wykopali olbrzymi, głęboki dół, napełnili go wapnem, wrzucili doń wszelkie podejrzane odłamki i niedopalone resztki baraków.

Nik, Jerzy i oficerowie, w takichże kauczukowych ubraniach, kierowali pracą.

--- O, spójrzcie tam! -- zawołał Jerzy.

We wskazanym kierunku ujrzano kilka zwęglonych kości wielkich rozmiarów.

— Kości Marsjan — zaopiniował Nik — trzeba je zebrać ostrożnie *i* zachować jak relikwje.

— Tak pan sądzi. — wyraził wątpliwość oficer -- a jeśli są zarażone przez straszego bakcyła?

— Ogień je zdezynfekował.

— To niepewne, gdyż nierówno są przezeń strawione.

— Ależ to nieoceniony skarb, to prochy ludzi z Marsa.

— Względy bezpieczeństwa przede wszystkim! Musimy się w tej sprawie zwrócić do generała Savard.

Oficerowie udali się na posterunek telefoniczny. Tymczasem Jerzy zaopatrzony, jak przystało wzorowemu dziennikarzowi, w aparat fotograficzny, zrobił zdjęcia kości i różnych fragmentów wzgórza.

Po jakimś czasie przybył generał Savard, przybrany również w ochronny kostjum.

— Upoważniam panów — rzekł, obejrzawszy kości — do zabrania cennych szczątków pod warunkiem jednak, że będą obficie zlane odkażającym płynem i zamknięte w bardzo szczelnym oszklonem pudle. To samo zrobimy z innymi przedmiotami, które pożytecznie byłoby zachować.

Z wielkim zapalem wznowiono poszukiwania.

Niewiele jednak było do zrobienia w tem królestwie śmierci.

Znaleziono tylko kawałeczki platyny, które uniknęły rozkładu, różnobarwne kulki stopionego szkła, pochodzące zapewne z butelek od alkoholu, zarekwirowanego przez Marsjan. Wyszperano jeszcze trochę kości Areanthropów *i* owych dziwnych zwierząt, przypominających krety o śmiesznych dziobach. Cienka warstwa ziemi, pod którą żyły, nie uratowała ich od śmierci, ale ocaliła szkielety.

Jeszcze jeden zawód oczekiwał poszukiwaczy na gruzach kolonji Marsjan: zwęglone kości przy pierwszym dotknięciu rozsypały się na

popiół.

ROZDZIAŁ XXVIII.

NOWINY ZE " SWAWOLNEGO ZAKĄTKA".

Wszystko zatem, co zostało z tak strasznych do niedawna Areanthropów, sprowadzało się do pewnej ilości węgla i fosforanu wapnia, okruchów platyny, sproszkowanych metalów, których próbki skrzętnie zebrano, i odłamka cegły z odcisniętym konturem latającego krokodyla.

Przypominamy sobie, że Jerzy de la Blanchere miał szczęśliwą myśl sfotografowania i przeprowadzenia pomiarów kości Areanthropów. Odbitki tych właśnie fotografii, powiększone do naturalnej wielkości, możemy oglądać w pierwszorzędnym muzeum antropologii porównawczej, w nowym i bardzo jeszcze ubogim dziale, zatytułowanym: „ludzkość innych planet”: pterooanthropowie (ludzie uskrzydleni), Marsjanie albo Areanthropowie (homo martius).

Resztę zniekształconych zupełnie szczątków wrzucono do rowu i przykryto warstwą niegaszonego wapna.

Po dokonaniu całej pracy dezynfekcyjnej generał Savard z grupą towarzyszących mu osób wrócił do ratusza.

— Panie generale — zaczął Nik — czy mój środek przeciw rebeljantom okazał się skuteczny?

— Doskonale. Obrzuciliśmy ich zgodnie z pańską radą specjalnie spreparowanemu granatami z amoniakiem. Pijana tłuszcza, otrzeźwiona wyziewami, zaprzestała ataku i poddała się pod warunkiem pełnej amnestii, co było zresztą zamiarem rządu.

— Ślicznie. Pozostają więc do zwiedzenia warsztaty i urządzenia na zabranych przez Marsjan okrętach. I tu proszę bardzo o udział w wyprawie razem z panami.

— Zgoda. Wie pan zapewne, że wybuchy, pożary i rewolta wszystko zniszczyły.

— Wiem o tem i obawiam się bardzo, że nie ciekawego nie zostało. Zresztą zobaczymy.

W planowanej wycieczce Dozwolono wziąć udział i paniom. Łatwo się domyśleć, jak skwapliwie przyjęły zaproszenie.

Miasto na każdym kroku przypominało stłumioną przed chwilą rewolucję. Na szerniałych od ognia murach widniały ślady kul, na jezdniach i chodnikach stały kałuże niezmytej jeszcze krwi. Przedzierano się przez ruiny i barykady, z których unosiła się dusząca, woń dymu, potu i spalonej farby. Wszystko to sprawiało wrażenie posępne i odrażające.

Zwiedzanie warsztatów, tych nawet, których rusztowania nie runęły, zawiodło oczekiwania. Pozostały tylko poskręcane przez ogień kadłuby, które nie dawały żadnego pojęcia o maszynach, pracujących tu do niedawna. Ten sam zawód na okrętach, które z wielkim trudem udało się ocalić od zupełnego zniszczenia. Ujrzano tylko poplątane szczątki i ruinę.

— Niczego się tu nie dowiemy — powiedział Nik — największe tajemnice Marsjan zginęły wraz z nimi na wzgórzu pod latarnią.

— Niestety, olbrzymia to strata dla naszej nauki.

— Ostatecznie, rzecz główna, żeśmy się uwolnili od tych potworów — wtrąciła pani Papacock.

— Od *potworów* o tyle doskonalszych od nas — poprawiła panna Alicja.

— Możliwe—zgodził się generał — ale dlatego właśnie zrobiliby z nas niewolników pod pretekstem odrodzenia ludzkości.

— Kiedy — zapytał Jerzy — zniesiona zostanie cenzura, niepozwelająca na dokładne informowanie prasy? Kiedyż wreszcie powrócimy do normalnych stosunków?

— Zwrócę się w tej sprawie o instrukcje do rządu. Niech pan pomyśli, że panika wyludniła miasto, że wiele sklepów, domów, zakładów przemysłowych zostało bez dozoru. Trzeba zapobiec grabieżom i nieporządkom, wielka maszyna społeczna stopniowo tylko może być puszczona w ruch. Na plan pierwszy wysuwa się sprawa zaopatrzenia miasta w żywność. Gdyby wszyscy mieszkańcy już teraz powrócili, pozbawieni chleba, mięsa i węgla, umarliby z głodu.

— To prawda.

— Na razie wezwiemy do powrotu tylko przedstawicieli handlu i produkcji spożywczej, oraz pracowników zakładów użyteczności

publicznej. Później pozwolimy na powrót innych kategorii obywateli. Dość długo jeszcze obowiązywać muszą przepustki miastem.

--- Ale w jaki sposób zabroni pan wstępu do miasta przybywającym droga powietrzną? Jak ci lotnicy na przykład?

To mówią, Nik wskazał wielki aeroplan, krążący nad miastem.

— Ho, ho — rzucił generał — ten ptaszek wydaje mi się podejrzany. Proszę pójść na miejsce lądowania — rozkazał adjutantowi — aresztować pilota i pasażerów, jeśli się dostatecznie nie wylegitymują. Co do mnie, muszą się udać na konferencję z prefektem i deputowanym Navarre w sprawie uprzątnięcia spalonych okrętów i warsztatów, oraz w sprawie transportów żywności.

Istotnie, w głównej kwaterze zastano już pana posła komunistycznego Hieronima Navarre. Zdawał się być mniej przedsiębiorczy, niż przed ostatnimi wypadkami. Może go uspokoiła trochę niewola, w którą wpadł jak zwykły śmiertelnik. Starannie unikał wszelkiej aluzji do mizernej roli, jaką odegrał, a bunt robotników uważał za fakt bez znaczenia.

— Niech pan przyzna, panie pośle — zaczął generał Savard — że pomimo wszystko dzisiejszy ustrój społeczny lepszy jest od tego, którego przedsmak dali nam Marsjanie.

— Przypuszczam — odpowiedział wymijająco pan Hieronim — że wyjątkowe okoliczności, w jakich powstała kolonja Marsjan, nie pozwalają na wyrobienie sobie dokładnego pojęcia o ich ustroju społecznym. W każdym razie ich cudowna wiedza zasługuje na nasz podziw.

— Oczywiście, wielka szkoda, że nie możemy z niej korzystać.

--- Co się tyczy ich promieni magnetycznych i środków represyjnych — ciągnął deputowany — gdybym znał ich tajemnicę, wielki dzień zwycięstwa rewolucji byłby bliski.

— Wobec tego — zakończył generał — możemy się tylko cieszyć, że nie jest pan wtajemniczony, zresztą — dodał złośliwie — miał pan możliwość na swej osobie ocenić sympatyczne metody Marsjan.

Tymczasem aeroplan, dostrzeżony przez Nika, wylądował na wzgórzu. Pilot i pasażerowie natychmiast zostali zatrzymani. Okazało się, że są to dziennikarze amerykańscy, przebywający chwilowo w Paryżu. Postanowili tym najpewniejszym sposobem

lokomocji dostać się na miejsce wypadków. Wkrótce po nich przybył w samochodzie, zaopatrzonego w pozwolenie ministra spraw wewnętrznych, znakomity astronom pan Marion. Z przyjemnością uściskał dłoń swego przyjaciela Nika, przygłębił go jednak bardzo fakt zniszczenia wszelkich śladów wiedzy Marsjan. Płakał z żalu, oglądając zdjęcia fotograficzne Jerzego de la Blanchere.

— Ach! — jęknął. — Jakże chętnie oddałbym resztę mego życia za możliwość ujrzenia i rozmowy z Areanthropami.

Niebawem przywrócono komunikację. Miasto szybko zaczęło się zaludniać. Nasi znajomi, których nazywano już bohaterami *walki światów*, otrzymali wiele listów. Między innymi panna Alicja dostała pełen przerażenia list od swego reagenta pana Eljasza Gregora, a Nik od przywiązanej służącej Atalji.

Ten drugi uważamy za bardzo ważny dokument chwili i dlatego podajemy zeń kilka wyjątków.

"Proszę pana, biorę pióro do ręki, aby dać panu trochę nowin z „Zakątka”. W pierwszych słowach mego listu donoszę, że zdun przyniósł bardzo słony rachunek za naprawę pieców: 999 fr. 95 et., nie ośmielił się jednak nicpoń zażądać całego tysiąca. Musi go pan skrzyczeć, aby coś opuścił. Dziuba znowu rzuciła się na listonosza i rozdarła mu spodnie, za co musiałam go wynagrodzić. Tak mnie to zdenerwowało, że wkrótce potem dwie kury uciekły do sąsiada. Z wielkim trudem udało mi się je pochwytać. Przy tej okazji dostałam kataru. Byłam chora i opuszczona jak pies. Luba i Czarus źle się czuli, sprowadziłam więc do nich weterynarza, który i mnie wyleczył. Madej ma się doskonale, chociaż ledwie nie został zabity, bo trzeba panu wiedzieć, że któregoś dnia ktoś przerzucił przez mur stary kamasz. Niewiele brakło, a trafiłby w psa. Z przykrością donoszę panu, że w naszym ogrodzie jest kret, ale łatwiej bym chyba złapała zająca za ogon, niż tego szkodnika. Znalazłam za to mysz zabita w pułapce, zawsze będzie o jedną mniej. Zaniósłam ją Lubie, ale tak ją pan zepsuł, że spojrzęła na mnie z pogardą i poszła wygrzewać się na słońcu.

„Jestem niespokojna, co się z panem dzieje. Sklepiarz z rogu mówił mi wczoraj, że żywcem połknął pana djabeł, który spadł z nieba. Gdyby naprawdę to się miało stać, radzę panu ułożyć się w poprzek. Liczę, że wkrótce dostanę od pana list z pieniędzmi i

podwyżkę na nowy miesiąc za te wszystkie moje kłopoty. W oczekiwaniu proszę przyjąć wyrazy mojego wysokiego szacunku, z którym pozostaję oddana i wzorowa służąca Estera (bardziej znana pod imieniem Atalji)".

ROZDZIAŁ XXIX.

OŚWIADCZYNY.

Wyżej przytoczony list odczytał Nik swojej domniemanej narzeczonej w salonie domu, w którym chwilowo mieli swoje locum.

Jerzy i Viviana, wyczerpani przeżytemi niedawno *wzruszeniami*, udali się do swoich pokojów.

Panna Alicja, pólżąc na kozetce, z rozkoszą zażywała zasłużonego spoczynku.

Niestrudzona pani Papacock kreśliła artykuł dla nowojorskiego *Exprpresu*.

— Podoba mi się ten list — rzekła z uśmiechem panna Alicja — Atalja wydaje mi się bardzo sympatyczną osobą.

— Śmiem twierdzić, że pani dobroć to sprawa, moja kuzynko — odpowiedział Mik — że widzisz wszystko w różowych barwach.

— Z pana również dobry chłopiec i to szczególnie podoba mi się w tobie, Niku. Czy pozwolisz mi się w ten sposób nazywać?

— Jestem wzruszony. Sprawisz mi tem wielką przyjemność, kuzynko.

— Chciałabym jak najprędzej zobaczyć twoją willę w Bois-Colombes. Jak ją nazywasz?

— Trochę śmiesznie: *Swawolny Zakątek*.

— Bardzo ładnie.

— Podziwiam twoją dobroć.

— Wydaje mi się — zauważyła guwernantka z grymasem, który miał oznaczać uśmiech — że oboje zapominacie o najważniejszej sprawie.

— Cóż to takiego, droga pani Papacock?

- Ustalenie terminu waszego ślubu.
- Ma pani słuszość — rzekła młoda dziewczyna — co o tem sądzisz, drogi Niku?
- Jestem tego samego zdania. Tylko nie wiem, czy mi wolno marzyć o tak wielkiem szczęściu?
- Dlaczego nie, Niku! Szczęście, jak powodzenie, sprzyja odważnym.
- A więc — rzekł Nik, podnosząc się i kłaniając ceremonialnie — Alicjo Milburne, moja droga kuzynko, mam zaszczyt prosić cię o rękę.
- Bardzo mi to pochlebia, kochany Niku. Oddaję ci rękę pod pewnemi jednak warunkami, które natychmiast wyłożę.
- Słucham pełen niepokoju.
- Najpierw musisz mi przysiąc, że będziesz kochającym mężem.
- Przysięgam.
- Następnie trzeba, żebyś przejął, cały interes mego ojca. Nazwę firmy można zmienić na „Milburne i Azard”.



— Zrobione, z zastrzeżeniem jednak, że pracę techniczną, administracyjną i wszelką inną złożę na barki dyrektorów, inżynierów i.t.p., gdyż sam nie mam pojęcia o sztuce czyszczenia obuwia.

— Oczywiście, tak myślałam. Po trzecie, zatrzymamy jako swego doradcę prawnego, szanownego Eljasza Gregor'a.

— Chętnie, dzięki jemu przecież poznaliśmy się.

— Po czwarte, udamy się do Stanów Zjednoczonych, abyś

zwiedził ten cudowny i drogi mi kraj. Ale najpierw musisz mi pokazać najpiękniejsze okolice wspaniałej Francji.

— Przyjęte z aplauzem ! Czy to wszystko?

— Tak mi się zdaje.

— A teraz, piękna kuzynko, czy mogę z mojej strony wysunąć pewne, nie powiem warunki, ale skromne życzenia.

— Słucham cię, Niku.

— A więc pozwolisz mi nadal prowadzić studia.

— Ależ naturalnie. Ufundujemy nawet specjalne laboratorja i instytuty badań naukowych.

— Będzie to dziełem wielkiej zasługi. Po drugie, zachowamy mój drogi *Zakątek* w Bois-Colombes z jego mieszkańcami: Lubą, Czarusiem, Dziubą i Madejem, nawet z Atalją.

— Zgadzam się chętnie, będziemy tam spędzać najpiękniejsze dni wiosny.

— Dziękuję, najdroższa. Po trzecie, pragnę, abyśmy nie prowadzili zbyt światowego życia.

— Ja również za niem nie przepadam.

— Pozwolisz mi zostać takim, jakim jestem, z brodą i wąsami.

— Dobrze.

— Pozwolisz mi palić fajkę.

— Pozwalam.

— I w ogóle robić, co mi się podoba?

— Tak, o ile to będzie miało jakiś sens.

— Wobec tego oddają ci się całkowicie, moja kochana, i czuje się bardzo szczęśliwym.

— Ale Nik!, zapomniałam o jeszcze jednym warunku!

— Wielki Boże, trzęsę się ze strachu. Jakiż to?

— Przyrzekasz być zawsze szanującym i oddanym przyjacielem pani Papacock, dla której mam tyle uczucia.

Nik zawahał się chwilę.

— Owszem... przyrzekam — powiedział wreszcie bez wielkiego entuzjazmu.

— Prawda, że pani również zachowa zawsze przyjaźń w sercu dla mego przyszłego męża?

Guwernantka wyraziła zgodę bezbarwnym uśmiechem.

— A więc — ciągnęła panna Alicja — ażeby przypieczętować ten

sojusz, uściskajcie się.

Pani Papacock niezbyt skwapliwie nadstawiła swój pergaminowy policzek, na którym Nik złożył z rezerwą lekki pocałunek.

— Teraz w drugi policzek i mocniej.

Ceremonia powtórzyła się bez wielkiego zapału.

Młoda dziewczyna śmiała się do łez.

ROZDZIAŁ XXX

ODKRYWA PRZYCZYNY DOBROCZYNEJ KATASTROFY.

Tymczasem z godziny na godzinę życie wracało do normy w opustoszałym doniedawna mieście. Mieszkańcy wracali, organizacja transportów żywności dokonana została szybko i funkcjonowała bez zarzutu. Prawda, że z wyjątkiem nielicznych szkód, spowodowanych przez pożary, gmachy publiczne były nietknięte. Należało tylko nanowo przystąpić do pracy.

Na rzecz ofiar Mirsjan organizowano liczne imprezy ; dobroczynne. Między innymi zdecydowano sprzedać na ten cel przez licytację kawaleczki platyny, zebrane na zgłiszczach siedzimy Areanthropów. Takież przeznaczenie miał dochód z biletów wejścia na strawione do połowy przez pożar okryty *Gigantic* i *Zoulouland*, odwiedzane przez tłumy turystów.

Marszałek sejmu, pan Lamberrier, przybył osobiście, aby uświetnić te uroczystości. Oprawdano go z honorami wszędzie, gdziekolwiek działy się jakieś wypadki. Z marszałkiem przybyli liczni goście, zwłaszcza wielu posłów, delegaci Akadernji Umiejętności oraz przedstawiciele Wielkiej Brytanji i Stanów Zjednoczonych.

Wieczorem w salonach *Frascati* odbył się wspaniały bankiet. Wzdłuż ścian porozwieszano zdjęcia Jerzego, wyobrażające zwęglone kości Areanthropów i nieliczne okazy fauny z Marsa. Wiele innych zdjęć ilustrowało strawione ogniem zakłady i maszyny oraz zniszczone okręty. Szczególne zainteresowanie obudziły

oryginalne rysunki Nika, na których odtworzył on z pamięci podobizny Marsjan. Zwłaszcza podziwiano barwny szkic, podkreślający troje zadziwiających oczu Areanthropów.

Marszałek sejmu wygłosił wielką mowę, której cenniejsze wyjątki przytaczamy poniżej.

„Było to więc, szanowne panie i panowie, prawdziwe najście, podstępne i niespodziewane, zrealizowane dzięki cudownym odkryciom naukowym Marsjan. Ten wysoki niedostępny dla nas poziom wiedzy omal nie oddał garstce tych szczególnych istot całej naszej Ziemi w niewolę. Jeśli nie osiągnęli oni tego celu, stało się to z przyczyn specjalnej natury, których istotę wyłoży niebawem w swoim referacie jeden z bohaterów tej tragicznej awantury, ceniony dziennikarz, powiem nawet uczony, pan Nikodem Azard. (Gorące oklaski).

„Wyjaśni on państwu, jaki to szczęśliwy przypadek unicestwił niezłomną potęgę tych potworów. Miałbym sobie za złe odkrycie rąbka jego tajemnicy. Zresztą nie chcę opóźnić momentu, w którym będziecie państwo mieli przyjemność usłyszeć wszystko z ust pana Azard'a. Niech mi tylko wolno będzie wyrazić na tem miejscu współczucie rządu dla ofiar najbardziej nieoczekiwanej katastrofy, oraz pozdrowić mocarstwa, będące naszymi sprzymierzeńcami w tej nowej dziwacznej wojnie: Wielką Brytanię, której Areanthropowie zagrozili odebraniem panowania na morzach i Stany Zjednoczone, których potężny przemysł musiałby wkrótce dotkliwie odczuć i ugiąć się wobec potężnej wiedzy inżynierów z Marsa. (Oklaski i różne okrzyki).

„Nadto składani hołd osobie, która w tych trudnych okolicznościach wykazała podziwu godną odwagę i odznacza się niezwykłą inteligencją, jak również urodą. Mam na myśli pannę Milburne, którą niebawem najśłodsze więzy małżeństwa połączą z panem Nikodemem Azard. (Żywe oklaski i odruchy sympatii).

„Z prawdziwą przyjemnością każdemu z nich, imieniem rządu, wręczę krzyż Legji honorowej. (Entuzjastyczne okrzyki).

„Nie mogę pominąć milczeniem wielkich zasług pani de la Blanchere i jej męża, uzdolnionego dziennikarza, jak również wszystkich, odgrywających wybitną rolę w tym dramacie, nie wyłączając pana posła Hieronima Navarre, który go odczuł na

własnej skórze. (Ironiczne półśmiechy).

„Teraz odpowiem na pytanie, które czytam na wszystkich twarzach. Czy oni wrócą? Czy mamy się obawiać nowego ataku *djabłów* o potrójnym wejrzaniu? — Otóż nie! Jestem o tem najmocniej przekonany. Niewątpliwie, w razie powodzenia wyprawy, ojczysta ich planeta byłaby o tem powiadomiona. W jaki sposób, nie mam pojęcia, ale byłaby z pewnością. W braku jakiegokolwiek wiadomości z ziemi od swych wysłańców Areanthropowie co najmniej na przeciąg kilku stuleci zaniechają wśród nas kolonizacji, co według zapewnień starego Rapha-Glymma, udało im się przeprowadzić na Wenerze.

„Możemy zatem spać spokojnie. Bez wątpienia na swoich mapach nieba opatrzyli już oni Ziemię wyjaśniającą uwagą:

„Planeta niedostępna dla Marsjan”.

Kiedy z kolei zabrał głos Nik, na sali zapanowała pełna skupienia cisza.

„Szanowne panie i panowie — zaczął, skubiąc nerwowo swoją artystyczną brodą — byłbym pożałowania godzien, gdybym miał obowiązek wygłaszania wielkiej mowy. Przede wszystkim brak mi wszelkich zdolności krasomówczych, bądź przyrodzonych, bądź nabytych, następnie, po znakomitym mówcy, którego przed chwilą oklaskiwaliście, próżno siliłbym się was oczarować. Nadto wypada wziąć pod uwagę, że *djabły*, o których mam zamiar mówić, nie znają lub mają w pogardzie sztukę krasomówczą, więc przebywając ostatnio wśród nich, nie mogłem się w sztuce tej wydoskonalić. Na szczęście zadanie moje sprowadza się po prostu do wyjaśnienia państwu, w jaki sposób doszło do owej opatrnościowej katastrofy, dzięki której uniknęliśmy jarzma.

„Nie będę wracał do wypadków powszechnie znanych, które stały się tematem owych świetnych artykułów w prasie, w szczególności pióra mego drogiego przyjaciela, Jerzego de la Blanchere. (Oklaski i okrzyki: „oraz pańskie”).

„Dziękuję uprzejmie słuchaczom, którzy łaskawie pamiętają moje skromne feljetony. Zadajecie sobie państwo bez wątpienia pytanie, jakież to cud działał, że *zielone djabły*, owe istoty fantastyczne, ci olbrzymi, czyniący wrażenie wszechpotężnych i niezwycięzonych, zniknęli co do jednego wraz ze swemi dziwnymi maszynami, cudo-

wnemi urządzeniami i tern wszystkim, co zgromadzili na wzgórzu z latarnią. Niebawem to wyjaśnię. (Okrzyki: „słuchajcie, słuchajcie!”).

„Przedewszystkiem ustalmy liczbę tych potworów. Jestem niemal pewny, że było ich dwunastu. Przybyli na Ziemię, a raczej na morze, w czterech pociskach, z których każdy mieścił trzech Areanthropów. Nie należy zapominać, że istoty te są o wiele większe od nas. Pociski zaopatrzone były w specjalne śruby, pozwalające im utrzymać tę samą zawrotną szybkość zarówno w atmosferze Marsa, jak we względnej próżni, którą zwykliśmy nazywać eterem. Po wejściu w sferę przyciągania ziemskiego pasażerowie szczególnych tych pocisków, odwrócony di teraz w sposób naturalny cięższym końcem ku Ziemi, użyli obrotu tych samych śrub, które ich posuwały naprzód, do złagodzenia szybkości spadku i ochłodzenia rozpalonego już, na skutek tarcia, do czerwoności metalu. Oto jest wytłumaczenie słynnych meteorów na Atlantyku i ciekawych obserwacji komendanta Le Rouzic: zahamowany spadek i promieniowanie poniżej domniemanego bolidu. Pierwsi rozbitkowie, a raczej wysłańcy Marsa, zauważeni i zabrani przez okręt *Gigantic*, opanowali go wkrótce w sposób wszystkim już znany. Przede wszystkim wyruszyli na poszukiwania swoich współbraci, których miejsce upadku w przybliżeniu było im znane, zresztą wskazywały je efekty świetlne, towarzyszące upadkowi. Jednocześnie zorganizowali na okręcie warsztaty, zmontowali wszelkiego rodzaju maszyny, instalacje mechaniczne, a nadewszystko elektryczne, niezbędne dla zbudowania potrzebnych aparatów. Następnie przy pomocy pomarańczowych promieni opanowali statki *Ile de France* i *Zoulouland*.

„Niewątpliwie znane są państwu z prasy, mające wszelkie pozory prawdy, hipotezy na temat źródeł i podstaw wiedzy Marsjan. Gdy przekonali się, że wszystko w przyrodzie, a więc ciepło, światło, siła przyciągania, zależy od jedyne go fluidu, przyjmującego różne postaci, zdołali go opanować przy pomocy energii elektrycznej. Niewyczerpane źródło tej energii znaleźli w wyższych warstwach powietrza, skąd sprowadzają ją, jak po przewodnikach, przez pionowe snopy promieni, podobnych do promieni ultrafioletowych, lecz widocznych dla oka.

„Wiedząc, że materia jest jedna, i że wszystkie dala powstały z

przekształcenia lub różnego ustosunkowania atomów i cząsteczek, odkryli tajemnicę przemiany i rozkładu metali. Mało tego, z chwilą gdy opanowali proces rozkładu metali, stał się on dla nich źródłem niewyczerpanem energii, której używają przy pomocy projektorów i innych aparatów do wysyłania świetlnych i ciemnych promieni, oraz fal elektrycznych — lub fluidycznych (możliwe, że wchodzi tu w grę inna jakaś odmiana energii, nie elektryczność). Dzięki źródłom zadziwiającej energii, którą rozporządzali, mogli Marsjanie nadawać kierunek chmurom, rozkazywać deszczowi, burzom i piorunom, i podziwiać należy raczej ich wiedzę, niż cudowność wywoływanych zjawisk.

„Proszę mi wybaczyć tych kilka może zbyt technicznych uwag, wracam teraz już do samych Areanthropów.

„Na podstawie różnych wskazówek i badań doszedłem do przekonania, że nie są oni między sobą równi. Dzielą się na trzy gatunki: mózgowców (uczonych, inżynierów i innych kieowników), tę kategorię nazwiemy *Martius sapiens*; robotników, pracujących pod dyktando pierwszych, niby pszczoły robotnice w ulach, będzie to *Martius operarius*; i żywicieli (*Martius genitor-educator*), zajmujących się dziećmi i pracą domową. Wszystkie trzy gatunki są starannie dobrane i podlegają surowym prawom.

„Marsjanie nie znają instytucji małżeństwa dla tej prostej przyczyny, że niema Marsjanek. Niektórzy twierdzą, że dzięki temu życie ich jest spokojniejsze (wybuchy śmiechu na sali). Nawet gdyby to było prawdą, szanowne panie, nie zazdroszczę im wcale i twierdzę, że pod tym względem są wobec nas upośledzeni. (Żywe oklaski).

„Każdy pocisk zawierał po jednym przedstawicielu wszystkich trzech gatunków. Zatem kolonja pod latarnią morską składała się z czterech uczonych pod przewodnictwem Rapha-Glymma, naczelnika całej wyprawy, czterech robotników i tyłuż żywicieli, których główne zajęcie stanowiła hodowla małych Marsjan, mających w przyszłości pomnożyć kolonję Areanthropów na Ziemi.

„Robotnicy poza zwykłą pracą mieli obowiązek we dnie i w nocy pilnować bezpieczeństwa baraków. Wszyscy pamiętamy, że Marsjanie potrafili całkowicie usunąć potrzebę snu.

„Teraz opowiem państwu, co zobaczyłem w chwili, gdy po odkryciu trupów zamordowanych *djabłów* zajrzałem do jednego z

baraków, w którym były nagromadzone wódki i likiery, pochodzące ze składów w Havrze. Otóż, w kałuży alkoholu z rozbitych butelek i beczulek leżało sześciu pijanych do nieprzytomności Marsjan. Mdły zapach etylu wypełniał cały barak. Pijani Marsjanie robili wrażenie bezmyślnych bydląt, a olbrzymi wzrost czynił ich jeszcze więcej godnymi pogardy. Z trudnością mogli się poruszać i wymawiali słowa pozbawione sensu, kłócąc się między sobą.

„Jeden z nich zauważył mnie, chciał się podnieść, nie zdołał jednak tego uczynić i ciężko opadł z powrotem na ziemię; wówczas skierował na mnie swoje trzecie oko, chcąc mnie zranić lub zabić, lecz alkohol zniszczył tajemniczą władzę czerwonego spojrzenia, stało się ono niepewne i blade.

„Reszta potworów poszła za przykładem pierwszego, ale również bez skutku. W jednym kącie zauważyłem z przerażeniem zbroczone krwią ciało ludzkie. Tymczasem pożar szerzył się ze zdwojoną siłą, musiałem się wycofać. Niewiele brakowało, aby zginął jedyny świadek opisaney tu sceny, gdyż w kilka minut później straszliwa eksplozja zniszczyła całe wzgórze.

„Cóż to się stało? Łatwo rozwiązać tę zagadkę. Ktoś z ludzi, pracujących pod rozkazami Marsjan, z nałogu a może z powodu osłabienia, zapragnął wódki i wyłamał drzwi do składu. Zaskoczony przez dozorcę wyznał swój zamiar uraczenia się ognistym płynem, służącym na Marsie wyłącznie do potrzeb przemysłu. Dozorca-Marsjanin zasmakował w zdradzieckim napoju i zachęcił do pijaństwa swych towarzyszków. Raph-Glymm i jego pomocnicy musieli surowo skarcić lekkomyślny postępek robotników-Marsjan, którzy, nie panując już nad sobą w pijackim szale, wymordowali swych przywódców i współpracowników.

„Tymczasem maszyny, pozbawione dozoru, groziły katastrofą. W przewodnikach prądu elektrycznego, którego napięcie i natężenie bezustannie wzrastały, nastąpił szereg krótkich spięć, wznecając pożar w kilku miejscach jednocześnie. W tym samym czasie dysocjacja metali w motorach, dokonywana bez kontroli, wywołała w rezultacie, podobnie jak to się dzieje z ciałami wybuchowymi, rozkład momentalny. Z tego powodu wszystko w promieniu kilometra obrócone zostało w perzynę, a wzgórze z latarnią morską zburzone. Dlatego pozbawieni jesteśmy choćby niewielkiej próbki

tajemniczego metalu *martium* i z tej samej przyczyny tak mało znaleźliśmy platyny.

„Jakież z tego wszystkiego wnioszek? Że alkoholizm, ta poniżająca i niszcząca plaga, zgubił Marsjan i unicestwił przewagę, którą im dała nad nami ich wspianiała wiedza. Cóż to za lekcja dla nas!

„Zastanówmy się. Tak, istotnie Marsjanie okazali się nieskończenie doskonalszymi od nas. A jednak i ja, chociaż mam dla nich szczery podziw, czuję się szczęśliwy, że uniknąłem ich panowania. Oni nas, my zaś ich nie jesteśmy w stanie zrozumieć.

„Niechaj Ziemia spełni swe przeznaczenie, krocząc wolno, zbyt wolno niestety, po drodze postępu.

„W jednej wszakże dziedzinie jesteśmy bogatsi od naszych sąsiadów z Marsa, w dziedzinie uczuć. Jeśli chcemy być wciąż mądrzejszymi, jednocześnie pragniemy być lepszymi. Nauka ma nas prowadzić ku Dobru! Jeżeli po kilku stuleciach, albo tysiącach lat, człowiek posiada wiedzę, jaką dzisiaj rozporządzają Marsjanie, będzie ona bezwartościową, jeśli zatracimy ideały i zapomnimy o pięknie duszy.

„Gdy w piękne noce będziemy wpatrywać się w krwawą planetę, z której przybyły te podziwu godne potwory, nic miejmy zazdrości w sercu, powiedzmy sobie tylko: jesteśmy nieskończenie małymi, lecz i nieskończenie wielkimi mieszkańcami Ziemi. Jest coś bardziej boskiego, niż najgenialniejszy umysł, to nasze serce, w którym drga nieprzenikniony fluid, nazywany „miłością”.

Frenetyczne oklaski nagrodziły mówcę. Nik wzruszony zajął miejsce obok przyszłej swej żony, panny Alicji Milburne.



Rozdział I. „Swawolny Zakątek” pana Nikodema Azsrd’a.....	1
„ II, w którym jest mowa o pewnym astronomie, polewacze, ziarnach i kurach.....	6
„ III. Nieoczekiwany list.....	12
„ IV. Widnokrąg się zaciemnia. Po małych niepowodzeniach perspektywa wielkich nieszczęść.....	17
„ V. Pan Azard podróżuje... ..	22
„ VI. Zakątek gości panią Papacock.....	29
„ VII. W jaki sposób została zorganizowana wyprawa.....	34
„ VIII. Pełzające wodorosty	41
„ IX. Butelka	47

CZĘŚĆ DRUGA.

Rozdział X, Tragiczne szczątki.....	58
„XI. Znowu mowa o „diablach”	64
„XII. Pierwsza tragedia z powodu platyny	70
„XIII. Druga tragedia z powodu platyny.....	76
„XIV. Śladami Marsjan	82
„XV. Dwie radjodepesze.....	88
„XVI. w którym jest mowa o kulistym piorunie i o kanałach na Marsie	92
„ XVII. Niepowodzenie łodzi podwodnych. Tajny rozkaz	95
„ XVIII. Wypadki w Plymouth.....	100

CZĘŚĆ TRZECIA.

Rozdział XXIV. Sytuacja staje się tragiczna	130
„ XXV. Nieoczekiwana katastrofa.....	135
„ XXVI. Rewolta w Havrze.....	139
„ XXVII. Co pozostało z siedziby Marsjan na Ziemi... ..	144

„	XXVIII. Nowiny ze „Swawolnego Zakątką"	150
„	XXIX. Oświadczyńy.....	154
„	XXX. odkrywa przyczynydobroczyńnej katastrofy...	157

